



# IDA FINK

## PODRÓŻ

FINK MOBILIZUJE W SWYCH CZYTELNIKACH  
MIŁOŚĆ ŻYCIA, BY POMÓC IM ZROZUMIEĆ ISTOTĘ GWALTU,  
JAKIM JEST NIENAWIŚĆ.

PIOTR ŚLIWIŃSKI „TYGODNIK POWSZECHNY”

# IDA FINK

PODRÓŻ



Copyright © 1990 by Ida Fink

First published by Aneks Publishers London 1990

Republished by Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2004

Wydanie III

Warszawa 2012

Redaktor cyklu: Adam Pluszka

Korekta: Katarzyna Pawłowska

Redakcja techniczna: Alek Radomski

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Pol

Fotografia wykorzystana na okładce  
oraz fotografie wykorzystane we wnętrzu książki  
pochodzą z prywatnego archiwum autorki

Projekt logo cyklu: Anna Pol

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

ISBN 978-83-7747-339-9

Konwersja do formatu MOBI: Virtualo Sp. z o.o.

[virtualo.eu](http://virtualo.eu)

# Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [Epilog](#)

Dla Miri i Heleny

Stojąc w oknie, pomyślała: niech spadnie gwiazda. Była przesądna, wszyscy wtedy byli przesądni, każdy na swój własny, sobie tylko znany sposób. Miała spory zapas własnych zabobonów, ale gwiazd spadających w nim nie było – był to przesąd romantyczny, zbyt trudny do spełnienia. A jednak tego wieczoru pomyślała: niech spadnie gwiazda, choć była już późna jesień, a gwiazdy – jak wiadomo – spadają tylko latem. Mimo to uparcie patrzyła w niebo i w pewnej chwili ujrzała na horyzoncie błysk, który zaraz zgasł – to ktoś nieostrożny zapalił w domu światło, nie zasłoniwszy uprzednio okna. Ten błysk w ciemności nie był, lecz mógł być gwiazdą, na którą czekała, i znak ten wzięła za dobry omen.

W walizce przygotowanej na drogę leżała podkowa, a właściwie tylko połówka podkowy, co według wierzeń niweczy skuteczność jej działania. Nie zraziło jej to. Znalazła tę złamaną podkowę w chwili, gdy ojciec wskazywał jej drogę do chaty chłopskiej, w której miała wraz z siostrą przenocować. To wystarczyło. Uwierzyła w połówkę podkowy i w umowną gwiazdę.

Tą późną jesienią panowała w getcie martwa cisza. Wąskie, strome uliczki najuboższej części miasta, brukowane kocimi łbami, świeciły za dnia pustką i dopiero pod wieczór rozbrzmiewały zmęczonym krokiem wracających z pracy w kamieniołomach. Liczba powracających na noc do getta zmniejszała się gwałtownie i wszyscy zdawali sobie sprawę, że następny transport – karawana aut ciężarowych, które opuszczą plac przed łaźnią – będzie liczebnie najmniejszy i zarazem ostatni. Było już późno, należało się spieszyć. Można więc rzec, że papiery nadeszły w ostatniej chwili, wtedy gdy po miesiącach czekania straciły nadzieję, że je otrzymają.

Wieczorem wykradły się z ojcem z getta. Czekali w zaułku klasztornym, dzielącym miasteczko na dwa światy. Grube pnie kasztanów służyły im za ochronę. Zaufana osoba, która przywiozła papiery, wręczyła im jedną kenkartę i dwie nowiutkie metryki, pachnące świeżym drukiem. – A druga kenkarta? Dla młodszej córki? – wykrzyknął ojciec. Zaufana osoba wytłumaczyła, że na fotografii Elżbiety nie widać było – tak jak żądają władze – lewego ucha i to zaważyło na losach dokumentu, który bez uwidocznienia w należyty sposób lewego narządu słuchu wzbudziłby podejrzenia. – Lepiej nie mieć kenkarty niż mieć ją sfalszowaną w partacki sposób – dodała. To brzmiało rozsądnie, ale było w najwyższym stopniu niepokojące. Elżbieta miała ciemne włosy i śniadą cerę. Dawniej mówiono, że jest podobna do Włoszki.

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć zaufanej osobie, która ponadto stwierdziła, że zdobycie dokumentów wymagało nie tylko wielkiej sumy pieniędzy i długiego czasu, ale też wiele trudu i odwagi, oraz że należy być zadowolonym z tego, co się otrzymało.

W klasztorze odezwał się dzwonek wzywający na wieczorną modlitwę. Ten cienki, srebrzysty dzwonek był im dobrze znany – słyszeli go dawniej co wieczór w ich domu nad rzeką, który stał niedaleko klasztornego zaułka. Tym razem przestrzeń dzieląca ich od dawnego domu, rzeki i ogrodu wydała się ogromna.

Wiedzieli też, że zaraz po dzwonku odezwą się organy.

– Trudno – powiedział ojciec. – Ale i te metryki... takie jakieś nowe, nieprawdziwe... Czy pani sądzi, że można się nimi posługiwać?

– Panie doktorze – odrzekła zaufana osoba – metryki nie są po to, żeby je pokazywać. Jak przychodzi do pokazywania, to znaczy, że jest bardzo źle.

Ojciec nie odpowiedział, wyjął z kieszeni kopertę z pieniędzmi. W klasztorze grały już organy. Zaufana osoba przeżegnała się, nakreśliła na czołach dziewcząt znak krzyża, po czym wyjęła z torebki dwa blaszane medaliki z Matką Boską i zawiesiła im na szyi.

\*

Nikt z nas nie myślał wtedy o podróży, a jednak chwili, która jest jej właściwym początkiem, wtóruje głucho dudnienie kół pociągu i gwizd parowozu przecina nocną ciszę. Do niedawna nikt z nas nie wiedział, że odgłosy stacji kolejowej, odległej o trzy kilometry, słychać w miasteczku tak wyraźnie, gdyż wszystkie pociągi zwykły były przyjeżdżać i odjeżdżać za dnia. To nowy czas przyniósł ze sobą odjazdy nocne, nieobjęte żadnym rozkładem jazdy, a nocna cisza wydobyła owe gwizdy i stłumiony, podziemny jak gdyby stukot kół.

Za każdym razem staliśmy na ganku, czekając sygnałów. Po raz pierwszy zdarzyło się to wczesną wiosną, staliśmy w głośnym bełkocie wezbranej wody – gdyż właśnie tej nocy ruszyła na rzece kra – i w mokrych od leżenia na ziemi płaszczach, odwagi nam brakło, by wejść do domu, usiąść przy stole, położyć się na łóżku, wrócić do normalnych codziennych czynności. Wtedy nagle zaskoczył nas gwizd. Wysłuchaliśmy go w milczeniu, słabł, cichł, a wraz z nim słabło i cichło dudnienie ziemi. Kiedy na powrót wróciła cisza, wiadomo już było, że pociąg nabrał rozpędu i wjechał w las. Tej nocy zabrano starców, chorych i kaleki.

A potem za każdym razem czekaliśmy świadomie na gwizd i dudnienie, zawsze stojąc na ganku od strony rzeki, której nie było już słychać, gdyż była to najpierw późna wiosna, potem wczesne lato, a jeszcze potem pełnia lata i rzeka płynęła leniwie, w milczeniu. Słychać było tylko rechot żab i szum topoli rosnących na brzegu.

U schyłku lata staliśmy tam ostatni raz. W altanie bzów łomotały na wietrze drzwi gołębnika i bielała oparta o ścianę drabina, którą ciotka zapomniała wciągnąć do wnętrza lub powalić na ziemię. Siedząc w ukryciu, słyszeliśmy głośne *raus* i *los*, i kroki ciężkie, głośne, a wśród nich drobne, biegnące truchcikiem kroki ciotki Sabiny i jej córki Berty. Zabrali je wczesnym rankiem. Dlaczego biegnąc z nami, nagle skręciły ku altanie bzów, z ukrytym w jej liliowym wnętrzu gołębnikiem bez gołębi? Na to pytanie nikt nie odpowie. Ja także nie wiem, dlaczego nie pobiegłam za Natanem na Ostbahn; chwyciłam łopatę, narzędzie naszej pracy, ale natychmiast cisnęłam ją w kąt i nie na Ostbahn pobiegłam, ale za wołaniem „do chlewa, do chlewa”, choć wiedziałam, że chlew ten, będący tylko z nazwy chlewem, nie posiada drzwi i dla każdego otworem stoi – jest więc pomieszczeniem na schowek całkowicie nieprzydatnym. Biegnąc, widziałam, jak wuj ciągnął z sadu na wpół uschlą jabłonkę i jak tym szkieletem drzewa zasłonił otwór wejścia. Zanim wczołgałam się do wnętrza, spojrzałam za siebie: ogród stał w blaskach i cieniach, wilgotny od rosy, cały lśniący.

Tym razem otoczyli miasto cichaczem, stosując odmienną niż zwykle technikę oblężenia – wkraczali przez pola, łąki i ogrody, chytrze, znienacka, odcinając w ten sposób drogi ratunku do wsi i w lasy. Ojciec opowiadał potem, że zbudziło go szczekanie psa, więc wstał z łóżka i podszedł do okna. Pies stał przed budą z zadartą ku górze głową i wydawał krótkie, ostrzegawcze szczeknięcia.

Krajobraz za oknem leżał cichy i spokojny, taki sam jak zawsze: podwórze płaskie, bez tajemnic, już oświetlone pierwszym słońcem, niżej sad w głębokim jeszcze cieniu, a nad sadem strome zbocze zamkowego wzgórza. Pies przestał szczekać, wlaźł do budy i nic teraz nie mąciło ciszy, ale ojciec nie ruszał się z miejsca, stał jak przygwożdżony, opowiadał potem, że niepokój wzbierał w nim

gwałtownie, niby bez przyczyny, mówił, że bał się odejść od okna, by nie przeoczyć chwili, w której przyczyna jego niepokoju nagle się ujawni, biegał wzrokiem po krajobrazie i szukał. Była godzina pierwszego śpiewu ptactwa, niebo różowiało. Przeszukawszy podwórze, zszedł wzrokiem pomiędzy drzewa sadu, stały w wysokiej trawie nieruchome, jak malowane, żadnego ostrzeżenia, żadnego znaku, nic... – Może tylko – opowiadał – krzywa gałąź wiśni rosnącej przy ścieżce, może ona jedna... – bo nagle pomyślał, że wygląda jak ramię zagrządzające drogę niepowołanym. A nigdy tak nie wyglądała. Potem dotarł alejką porzeczkową na brzeg rzeki, skoczył wzrokiem wzwyż, na zamkowe wzgórze i ujrzał, że obsiadły je wielkie, ruchliwe mrówki. To tyraliera *Einsatzkommando* zsuwała się po stromiźnie w dół, ku rzece i ogrodom. Wtedy krzyknął, a jego krzyk obudził nas wszystkich.

Zbliżali się bezszelestnie, ich kroki tłumiła trawa, dopiero gdy weszli na podwórze, zadudniły po twardym klepisku ziemi, a potem na schodach ganku i ucichły. Dwa krótkie okrzyki dobiegły nas z wnętrza domu, brzęk tłuczonego szkła i trzaśnięcie drzwi, myśleliśmy, że przeszukawszy dom, poszli dalej, ale nie, ich kroki wróciły na podwórze, ich głosy kazały Agafii otwierać drewniane i komórki, zbliżali się ku nam, strzeżonym przez na wpół uschłe drzewo, a kiedy weszli do ostatniej komórki, mieliśmy ich tuż nad głowami, starczyło spojrzenia na podłogę z nieszczelnie zbitych desek, by ujrzeć siedzących na słomie.

Jeden zeskoczył z wysokiego stopnia i stanął przed na wpół uschlą jabłonką, a drugi spytał: *was ist denn dort*, i wtedy poprzez gałęzie drzewa wysunęła się ku nam biała wąska dłoń i kawał ramienia odzianego w mundur. Ciotka Stefania przytknęła palec do ust, jak gdyby się bała, że ktoś z nas krzyknie, i trzymała go jeszcze długo potem, jak oni odeszli. Odchodząc, spostrzegli stojącą pod gołębnikiem drabinę.

Los Natana był nam jeszcze nieznanym, myśleliśmy, że pracuje, bezpieczny, przy budowie kolejowego toru, ale w południe przyszła Agafia i pochyłona nad szparą w podłodze komórki, powiedziała nam. Zdążył zaledwie przebiec naszą zaciszną uliczkę. Schwytyany został w sposób łagodny, łagodnymi słowy, *komm, komm, du Kleiner*, powiedział esesman, wychodząc z za węgła domu, i Agafia, która nie знаła niemieckiego, powtórzyła wyraźnie, *komm, komm, du Kleiner*, tak jak jej to powiedział naoczny świadek chwili schwytania.

O ojcu wieści żadnych nie było. Wyszedł rankiem z domu ostatni, gwałtownym ruchem wciągając na ramię opaskę z napisem *Arzt*, wołał, że idzie do ambulatorium, twarz miał wzburzoną, zapamiętałam: nie było w niej strachu, tylko gniew.

Czas mijał w wielkiej ciszy, bez kroków, bez głosów, chyba że był to stłumiony, przez szparę idący głos Agafii, informującej o tym, co się w mieście dzieje. Informacje jej dotyczyły jedynie rozmiarów wydarzeń i tym razem ona, z taką lubością okraszająca każdą wieść szczegółami, ograniczyła się do dwóch tylko słów, jak gdyby to, co widziała lub o czym słyszała, zniweczyło w niej narracyjne zdolności. – Mrowie narodu – szeptała przez szparę i odchodziła, by za godzinę powrócić i powtórzyć te same słowa.

Tak więc ten dzień najdłuższej i najstraszniejszej akcji upływał w ciszy. Tylko raz jeden, już pod wieczór, doleciał nas głos sąsiadki wołającej swego brata: – Wojtek, gdzie ty się podziewasz – I w odpowiedzi głos Wojciecha dochodzący z daleka, znad rzeki: – Zaraz... zaraz przyjdę... – Leżał tam pewnie pod topolą, jak to mieliśmy niegdyś w zwyczaju. Tylko te dwa głosy.

Myśleliśmy, że po zachodzie słońca Agafia uwolni nas z chlewa, ale nie uczyniła tego, akcja, rozpoczęta o świcie, trwała wciąż jeszcze. Ciemno już było, gdy opuściliśmy schron. Podwórze, rankiem białe od wschodzącego słońca, było teraz białe od księżyca. Na ganku czekał ojciec ze wzburzoną, gniewną twarzą. Później, w środku nocy opowie, jak przeżył. Jak go złapali i jak uciekł. Jak żona przyjaciela, wsparłszy się ramionami o futryny drzwi, w ten wymowny, niewymagający słów sposób wzbronila mu wejścia. Jak para staruszków – pacjentów – ukryła go na strychu. To wszystko opowie w środku nocy.



Stoimy na ganku. Uliczka rozbrzmiewa zdyszanyim krokiem ocalałych, ale kroki biegnących nie zatrzymują się przed naszym domem. Wiemy: nie wróci ciotka Sabina i jej córka Berta, nie wróci kuzyn Natan. Nie na nich czekamy, ale na ostatni znak, jaki nam prześlą – na gwizd i dudnienie, które za chwilę dobiegną z ciemności. – Mrowie narodu – powtarza Agafia i odmawia litanie nazwisk.

W środku nocy przyszedł ojciec do naszego pokoju, gdzie leżałyśmy ubrane na zasłanych łóżkach. Noc była wietrzna, za oknem, w altanie bzów łomotały drzwi gołębnika.

– Dzieci – powiedział – musimy się ratować. Szybko.

Już nieraz była o ratunku mowa, ale to było tylko mówienie. Tym razem – czułam wyraźnie – decyzja zapadła.

\*

Kiedy nieoczekiwanie wyłoniła się możliwość dalekiej podróży, co zdarzyło się równie niespodziewanie, jak przypadkowo – ojciec zaprzestał szukania schronu u chłopów na wsi i zwrócił się do pani Kasińskiej o pomoc w uzyskaniu aryjskich papierów. Pani Kasińska, osoba energiczna, mająca rozległe kontakty, przyszła do nas w piękny dzień wczesnej jesieni. W ogrodzie sąsiadów zrywano akurat jabłka. Ojciec zamknął się z nią w gabinecie, a my, czekając, aż skończy wstępną rozmowę z gościem, przypatrywałyśmy się ogrodowym czynnościom, które były nam dobrze znane, a których ceregiele i zwyczaje wydały nam się teraz dziwne, by nie rzec: komiczne. Niemniej patrzyłyśmy na nie chciwie, z zazdrością w sercu i z żalem oderwałyśmy się od patrzenia, gdy rozległ się głos wzywający nas do naszego świata i naszych spraw.

Niechętnie podniosłyśmy się ze schodków ganku, skąd widać było w całej okazałości zielone sady, czerwone jabłka, wzorzyste klomby, a wszystko to skąpane w złotym słońcu. Co prawda gabinet ojca był również pełen słońca, ale było to inne słońce, przygasłe i szare. W smudze przecinającej pokój wirowały drobnutkie pyłki kurzu, rzadko kiedy sprzątano gruntownie w tym nieużytecznym teraz pomieszczeniu i tylko zapach eteru i lekarstw pozostał ten sam co dawniej. Słońce leżało na rozłożystej bibliotece i książkach, z których czerpałyśmy niegdyś wiedzę, oraz na rozłożystej pani Kasińskiej, która w sukni kwiecistej jak łąka i w złotych loczkach na głowie siedziała w fotelu i paliła papierosa.

– Ależ one mają świetny wygląd, świetny – zawołała na nasz widok – po prostu nieoceniony!

Ojciec zdawał się nie podzielać entuzjazmu gościa. Siedział za biurkiem wyprostowany, z uniesioną wysoko siwą głową, jedną nogę założył na drugą, a więc siedział w pozie swobodnej, jakby to nie on był szukającym pomocy, ale natychmiast wyczułam, że jest to na niby, a nie prawdziwie swobodna poza, podobnie jak uprzejmy uśmiech na jego twarzy był tylko z pozoru uprzejmym uśmiechem. Miał twarz napiętą, zaczerwienioną, a wzrok bardziej niż zwykle niebieski.

– Pani zgodziła się zająć sprawą metryk i kenkart – zwrócił się do nas nie swoim, lekko ochryplym głosem.

W różowej muszli-popielniczce piętrzył się stos niedopałków. W dzieciństwie często przykładałyśmy tę muszlę do ucha, nasłuchując szumu jej rodzinnego, południowego morza.

– Mają wspaniały wygląd – Jeszcze raz powtórzyła swój okrzyk pani Kasińska, co było o tyle dziwne, że znała nas przecież od lat i doskonale wiedziała, jak wyglądamy. Ale ledwie zdążyłam się zdziwić, już zrozumiałam: dawne i obecne spojrzenia widziały inaczej i inaczej oceniały te same zjawiska. Pani Kasińska nigdy nie patrzyła na nas w ten sposób co dzisiaj, tak jak ja nigdy nie patrzyłam na zrywanie owoców tym samym co przed chwilą spojrzeniem.

– Najważniejszy jest pośpiech – powiedział ojciec. – Pani musi zrozumieć: czas jest naszym wrogiem... Musimy się spieszyć, i tak zwlekaliśmy zbyt długo...

– Rozumiem to doskonale – przytaknęła z uśmiechem, ale jasne było, że zrozumiała to na

swój, a nie na nasz sposób. Bo i skąd mogła wiedzieć, o jaki czas tu chodzi?

– No to wybierzcie sobie teraz nazwiska – powiedział do nas ojciec.

Takim samym tonem mówił dawniej w cukierni: no to wybierzcie sobie teraz ciastka... Jego palce zabębniły po zielonym suknie biurka, mięsień policzka drgnął raz i drugi.

Stałyśmy pod piecem z brązowych kafli, naprzeciwko okna, przez które widać było wąską alejkę, zwaną przez nas aleją lekarskiego bzu, gdyż zamykała ją ściana krzewów, które nazywa się lekarskim bzem.

Tuż za alejką, zarośniętą i dziką, stał dom drugich sąsiadów – pusty i wymarły po wielkiej akcji. Otwarte okna odsłaniały czarne, milczące wnętrza. Przypomniała mi się nagle piękna, smagła dziewczyna, która tam mieszkała. Odwróciłam głowę od okna, żeby skupić się na wyborze nazwiska, ale stało się tak, że żadnego nie mogłam sobie przypomnieć, choć tak wiele ich znałam i wszystkie były do wyboru, nie mówiąc już o tym, że można je było samemu stworzyć przez dodanie odpowiedniej końcówki. A kiedy z wysiłkiem przywołałam kilka na myśl, okazało się, że nie każde z nich przylega do mnie, a ja do niego, niektóre zaś z niewiadomych przyczyn budziły wręcz sprzeciw i czułam, że mogłyby mi zaszkodzić.

Ojciec niecierpliwił się, nie rozumiejąc naszej opieszałości, bo i Elżbieta marudziła, prawdopodobnie z tego samego co i ja powodu. Ale to jednak ona zdecydowała się pierwsza i powiedziała: – Elżbieta Stefańska.

– Wspaniale! – ucieszyła się pani Kasińska.

Ojciec szybkim ruchem podsunął jej papierośnicę i podał ogień. Spojrzał surowo na mnie:

– No, co z tobą?...

Raz jeszcze przedefilował przede mną długi korowód nazwisk, mijały mnie obojętnie, aż wreszcie jedno zawahało się i stanęło przy mnie. – Katarzyna Majewska – powiedziałam i natychmiast tę Katarzynę zobaczyłam. Miała jasne, gładkie włosy i lśniąca, świeżą cerę. Moje włosy były jasne, skręcone w gęste loki, moja twarz szara.

Pani Kasińska uniosła się z fotela. Teraz ona stała naprzeciwko milczących okien naszych sąsiadów, których widocznie znała, gdyż spytała, co u nich słychać. Ojciec odpowiedział.

– I ta smagła, piękna córka także?

– Także.

– Na plaży wyglądała jak egipski posążek.

Wtedy zza krzewów lekarskiego bzu usłyszałam po raz drugi okrzyk jej matki:

– I co z tego, że taka piękna?! Co jej z tego? To jest przeklęta piękność... Oby była krostowata i garbata, ale jasna, z prostym nosem...

Odprowadziliśmy panią Kasińską do furtki. W uliczce stał już cień. Słońce zaszło, pachniały ogrody. W domu sąsiadów, którzy przedtem zrywali jabłka, paliło się już światło. Sąsiadka spokojnym, okrągłym ruchem zmywała w kuchni talerze. Długo na nią patrzyłam.

\*

Nazajutrz wybrałyśmy się do fotografa, żeby zrobić zdjęcia do kenkarty. Był to pierwszy i nieodzowny krok, gdyż bez specjalnych zdjęć, na których – według słów pani Kasińskiej – głowa zwrócona być miała nieco w prawo, tak by uwidocznic lewe ucho, nie można było rozpocząć starań o papiery.

Tylko jeden fotograf wchodził w rachubę, ten, który nas zawsze fotografował, do innych nie mieliśmy zaufania. Mogliby donieść lub rozgłosić nasze zamiary.

Ubrałyśmy się w białe bluzki, żeby wyglądać wesoło, a na bluzki włożyłyśmy stare swetry, żeby tę wesołość przyćmić, gdyż wstyd nam było paradować w wesołym ubraniu. Omijając śródmieście,

poszłyśmy dróżką nadrzeczną, naszą ulubioną. Na brzegu rzeki rosły wierzby. Dróżka ta nie straciła ani źdźbła swej urody i to nas trochę zabolalo. Elżbieta powiedziała: – Popatrz, a tutaj jest wciąż tak ładnie...

W trawie grały świerszcze, z wierzb zwisały długie, miękkie bażki. Pod jedną z płaczących wierzb siedziała grupka dziewcząt, naszych szkolnych koleżanek. Czytały jakieś listy. Na nasz widok uniosły głowy i spytały: – Dokąd idziecie – na spacer? – ale żadna z nich nie powiedziała, żebyśmy przy nich usiadły. Może było im wstyd? Może było im przykro? Może nie miałyby z nami o czym rozmawiać? Myślały zapewne: szkoda, że je wkrótce wykończą...

Domek fotografa zamknięty był na cztery spusty, powój obrósł ściany dzikim gąszczem, podwórze zarosło trawą. Wyglądało tak, jakby nikt tu nie mieszkał. Ale kiedy zapukałyśmy, drzwi otworzyły się natychmiast, na progu stała żona fotografa, chuda, z rozpuszczonymi włosami. Spojrzała na nas jak na zjawy. Na pytanie, czy możemy wejść, skinęła głową, wciąż z wyrazem wielkiego zdumienia w oczach. Aparaty fotograficzne stały w kącie pustego pokoju, okryte ceratowymi płachtami, zakurzone – przypominały stare, zdychające szkapy. Na podłodze siedziało małe dziecko. Fotograf, jego żona i małe dziecko nie spuszczały z nas wzroku. Elżbieta powiedziała szeptem: – Ja nie mogę... – i chciała odejść, ale ją zatrzymałam. Fotograf o nic nie spytał, nastawił aparat, usiadłam tak, żeby lewe ucho było widoczne, otworzyłam usta do śmiechu, a żona fotografa, bawiąc się długimi włosami, mówiła: – Teściową zabili po drodze, chciała uciekać... Myślę, że tak dla niej lepiej... Jak pani myśli?

Fotograf pstryknął, powiedział: – Na szczęście. – Dziękujemy panu – odpowiedziałyśmy grzecznie, a on jeszcze raz powtórzył: – Na szczęście – żebyśmy dobrze zrozumiały, jakiego szczęścia nam życzy.

\*

Stoję w oknie. Przede mną puste getto, uliczki kręte, kamieniste jak wyschłe łożyska górskich strumieni, koślawe pniaczki kocich łbów, parterowe domy bielone wapnem, okienka małe, kwadratowe, tuż nad ziemią. Większość domów opieczętowana, drzwi zabite na amen. Za drutem opasującym getto wznoszą się wzgórza miejskiego śmietnika, a jeszcze dalej stoją rozlewiska rzeki porośnięte trzciną. Zielen, tak bujna w górnym mieście, urywa się na placu przed dawnym domem starców, obecnie siedzibą Judenratu, gdzie rosną trzy wątle drzewa.

W tej najuboższej dzielnicy miasteczka tętniło niegdyś gorączkowe życie, za kwadratowymi oknami furkotały maszyny szwaczek i koronczarek, stukwały młotki szewców i stolarzy. Po dawnych mieszkańcach nie pozostało śladu. Poszli oni – tak to wówczas określano – jeszcze wczesną wiosną, podczas pierwszej akcji i przez wiele miesięcy domy stały tu puste. Z nastaniem jesieni ludzkie ręce podniosły poprzewracane stoły i krzesła, zgarnęły walającą się na podłodze pościel, nadając ostatniej chwili tych, co poszli wiosną, zastygłej w splądrowanych mieszkaniach, na krótki czas dalszy ciąg.

W jesienny poranek odeszliśmy z domu nad rzeką. W oknach uliczki drżały firanki – ukradkiem przyglądano się naszemu odejściu. Ręczny wózek terkotał pod kasztanami. Przewoził cały nasz dobytek – zielone mebelki dzieciniego pokoju. Były lekkie i proste, łatwe do transportowania. Nie kłopotaliśmy się ich nieużytecznością. Wiedzieliśmy, że służyć nam będą krótko, gdyż nawet w wypadku, gdyby planowana przez nas podróż i ukrycie się ojca u pszczelarza nie doszły do skutku, nie czekało nas nic innego niż inna podróż, krótsza w sensie przestrzeni i bezpowrotna.

Każdego, kto przekraczał próg naszego pokoju w getcie, widok zielonych mebelków osadzał w miejscu. I mnie samej, kiedy wracając z pracy, otwierałam drzwi pokoju, wydawało się nieraz, że mam przed sobą scenę, na której lada chwila rozegra się ostatni akt dramatu.

Słońce już zaszło, zapadł szybki, jesienny zmrok. Nie odwracam się jeszcze, nie odchodzę od okna. Odwlekam chwilę pożegnania. Za moimi plecami kroki ojca, który spowity w kłęby machorki nie

zaprzestaje wędrówki po pokoju, cichy brzęk drutów ciotki Julii, robiącej na drutach nie wiadomo co, ale wiadomo dlaczego. W regularnych odstępach chrząka wuj. Czuję ich za sobą, w tym obcym pokoju--poczekalni, czuję ich milczenie, które pęcznieje od słów niewypowiedzianych, wzbronionych sobie. Tylko Elżbiety nie czuję, bo z nią nie będę się żegnała. Siedzi przy zielonym stoliku i czeka, podobnie jak ja. Pokój zamknięty jest na klucz, nikt nie śmie nas zaskoczyć, nikt nie śmie wiedzieć, że uciekamy. Prezes Judenratu, człowiek obcy, nietutejszy, ubiorem i sposobem bycia naśladowujący władców, powiedział ojcu: – Jeśli córki uciekną, oddam pana w ręce Gestapo. – Nie należy się łudzić: nie są to czcze pogrożki. Skąd dowiedział się o naszych pilnie strzeżonych planach? Domyślił się ich zapewne, wiedząc, że pozostanie w getcie równa się nieuchronnej zgubie. Coraz częściej mnożyły się wieści o dziewczętach żydowskich widzianych za miastem w chustkach na głowie i w kożuszkach. Nie posiadałyśmy kożuszków, tylko stare zimowe palta, którym rzemieńne paski przydać miały chłopskości. Natomiast chustki miałyśmy piękne, autentyczne, zakupione przez Agafię na wsi. Stanowiły one najważniejszy szczegół podróźnej garderoby – wełniane, zakończone długą, jedwabistą frędzlą, o wzorze bardzo popularnym w naszych stronach: wśród zielonych liści kwitły pąki róż.

W dniu wyjazdu długo stałyśmy przed lusterkiem. Niewielkich rozmiarów, zawieszona na klamce okna, odbijało twarz w różach i liściach na tle krajobrazu getta. Róże kwitły na dachach pustych domów, w wąskich, wymarłych uliczkach zieleniły się gałązki. Rozciągałam wargi w sztucznym uśmiechu, wiązałam raz silniej, raz słabiej węzeł pod brodą, wysuwałam spod rąbka pasmo włosów i wsuwałam je z powrotem pod czerwone kwiaty. Za sprawą tych minimalnych zmian twarz w lustrze wydawała mi się za każdym razem inną twarzą. Patrzyłam na nią z uwagą. Należała do nowej dziewczyny i patrząc na nią, uśmiechniętą i kolorowo przebraną, pytałam siebie: jak będzie lepiej – z włosami na czole czy bez? Jak wyglądam bardziej aryjsko? W walizce i w tobołku nieco garderoby, szarej, nijakiej. W torebce dokumenty: metryki, nowiutki i świeże, którym posypywanie popiołem i mięcie w palcach nie odebrały świeżości, jedna kenkarta i najważniejszy dokument, zwany „imiennym wezwaniem”, który stwierdza, że udajemy się dobrowolnie na roboty do Niemiec. Elżbietę wzywa ogrodnik, mnie restaurator z małego miasteczka w Hesji. Dokument ten wystawił szef miejscowego Arbeitsamtu, Ukrainiec. Nie wiadomo, czym się kierował – chęcią dobrego zarobku? Asekuracji na przyszłość? Chęcią pomocy? Nie byliśmy jedynymi, którym ułatwił wyjazd.

W przeciwieństwie do schwytych w ulicznych łapankach lub wezwanych przymusowo, „dobrowolne” znają miejsce i rodzaj pracy, jaka je czeka, a ich papiery przecina na ukos czerwona krecha. „Imienne wezwania” należy potwierdzić w wojewódzkim Arbeitsamcie, co – według zapewnień Ukraińca – jest jedynie formalnością. Dokumenty osobiste, dokumenty Arbeitsamtu, książeczki do nabożeństwa i jeszcze połówka podkowy. Żadnych pieniędzy. Pieniądze mogłyby nas zdradzić.

\*

Początek drogi zanikł w pamięci. Jest ciemność jesiennej nocy, wiatr porywisty, szum drzew w klasztornym zaułku, ale nie ma przejścia przez miasto i przez most, który musiałyśmy przekroczyć (co dziwne, gdyż wszystko mające związek z rzeką wycisnęło w pamięci trwały ślad). Dopiero chwila, gdy stoimy u wejścia na równinny step, jest wyraźna. Wskazuję Elżbiecie świetlny punkcik i mówię: to tam. Jest to to samo miejsce, gdzie wczoraj znalazłam podkowę. Ojciec wskazał mi słaby świetlny punkcik i powiedział: – To tam – a ja w tej chwili nastąpiłam nogą na coś twardego, leżącego na ziemi, schyliłam się, podniosłam podkowę i schowałam ją do kieszeni. – To na szczęście, prawda? – powiedziałam do ojca. Nie zwrócił na moje słowa uwagi i jeszcze raz wskazał: – To tam – i dodał: – Nie wolno wam się pomylić.

Biegniemy drogą spacerów naszego dzieciństwa i szkolnych lat – bezkresny płaskowyż, ubita darń

pastwisk pachnących latem macierzanką, drogą w narzeczu domowym zwaną „na wygony”, która posiada jeszcze inną nazwę, urzekającą i dziką: tatarski szlak. Biegniemy tatarskim szlakiem do mrugającej światełkiem chaty. Stuknęłam w okno, skrzypnęły drzwi. W sieni zapach kiszonej kapusty i suszonych zielsk. Szept chłopca: – Cicho... w chacie ludzie... na strych... rankiem obudzę... – Leżymy w pachnącym sianie, z pułapu zwisają kolby kukurydzy. Przez małe okienko przepływa raz jeden biały księżyc, ale zaraz niknie za chmurą i już nie wraca. Nie śpimy. Jutro gospodarz zawiezie ojcu wiadomość, że odwiózł nas do wojewódzkiego miasta, i wtedy ojciec pójdzie do piwnicy pszczelarza, w której zimują w ulach pszczoły. Pszczelarz wyjął dwa ule, opróżnione po nich miejsce kupił ojciec. Fakt, że dojechaliśmy do wojewódzkiego miasta, o niczym nie będzie świadczył, ale ojciec musi zniknąć razem z nami.

Nie myśleć o ojcu w getcie, nie myśleć o matce, której już nie ma, ani o Marianie, który przedarł się przez front. Należy natomiast powtarzać sobie jego słowa: „Najbardziej szaleńcze plany mają największe szanse powodzenia”. Powtarzam to zdanie w myślach raz i drugi, ale nie rozumiem tego, co mówię. Obok mnie oddech Elżbiety. Milczymy całą noc. Jeszcze nie wiem, że odtąd zawsze tak będzie: w trudnych, przełomowych chwilach będziemy milczeli. Dopiero o świcie Elżbieta pyta: – Jak myślisz? – A ja jej odpowiadam: – Myślę, że jakoś to będzie... – I tego też jeszcze nie wiem, że tak właśnie będzie mnie pytała w chwilach trudnych, że tym pytaniem, kryjącym nieśmiałą nadzieję na pocieszenie, przerywać będzie nasze wspólne milczenie i że ja taką właśnie będę dawała odpowiedź – nieodbierającą tej nadziei, lecz zabobonnie ostrożną: myślę, że jakoś to będzie...

Pod ciemnym niebem, pod blednącymi gwiazdami gospodarz zaprzęga konie. Przepastne baranice są bezpieczną kryjówką przed ludzkim wzrokiem. Wiatr wyciska łzy z oczu, dwa zady końskie tańczą przed nami, pola ścięte są szronem. Za dwie godziny będziemy w wojewódzkim mieście – zdane już tylko na siebie, na spryt, na szczęście...

\*

W Arbeitsamcie, gdzie należy ostemplować dokumenty, co według słów Ukraińca nada im moc kolejowych biletów – nie ma o tak wczesnej porze żadnych petentów. Korytarz jest pusty, za drzwiami klekoczą maszyny do pisania. Wysuwam spod chustki na pokaz moje jasne włosy, rozcieram policzki, żeby się zarumieniły. Na mojej twarzy pojawia się niespodziewanie głupkowaty uśmiech. Katarzyna okazuje się nagle ograniczoną dziewczyną, choć wcale taką być nie miała. Ta głupkowatość wyskoczyła sama z siebie, opancerzyła ją tępą ospałością. – Stempel – mówi, podając papiery, i patrzy na młodą Niemkę bezmyślnym wzrokiem, a Elżbieta, która stoi obok mnie, też mówi „stempel”, takim samym tonem wypowiada to słowo i takim samym bezmyślnym wzrokiem patrzy przed siebie. Widocznie i u niej głupkowatość objawiła się nagle i bezwiednie. Niemka, w czerwonym sweterku, o czerwono malowanych paznokciach i z drobnymi falami ondulacji (to wszystko zauważył mój drugi wzrok, patrzący bystro i czujnie, śledzący każdy szczegół), uśmiecha się do nas, głupkowatych, uśmiecha się, bo ma przed sobą jadące z własnej woli na roboty do Niemiec, papiery przekreślone na ukos czerwoną krechą obwieszczającą ten fakt skuteczniej niż słowo *freiwillig* wpisane w jedną z rubryk. I już sięga po pieczątki, już potulnie je przybija, bez żadnych pytań, *alles in Ordnung*, tak szybko, tak gładko...

– Na transport zaczekacie w obozie – mówi.

Bezmyślna, ospała Katarzyna znikła. Mój głos jest pełen oburzenia.

– *Lager?* – wołam. – *Transport? Uns sagen alleine fahren, nix Transport.*

– *Nix alleine* – odpowiada. – *Sammellager, Transport, alle zusammen...*

– *Freiwillig alleine, nix Transport!*

– *Schweigen!*

Młody człowiek wszedł do pokoju i rzekł po polsku.

– Chodźcie, chodźcie, awantury nie pomogą, takie przepisy...

W drodze do sammellagru nie krył zdumienia: – Co się pani tak awanturowała? Razem z innymi weselej będzie jechać...

Ale ja wiedziałam: *Sammellager* i *Transport* to były niedobre słowa. To był zły, nieprzewidziany zwrot.

\*

Budynek szkolny, z budką strażnika u wejścia na dziedziniec. Klasy ogołocozone z ławek, na brudnej podłodze biwakują wiejskie dziewczęta, pachnie podróżnym prowiantem, wędzoną słoniną i serem. Wczoraj odszedł transport, pięćdziesiąt dziewcząt powieźli do Niemca, ale jutro pewnie znów powiozą, bo teraz zbierają po wsiach przymusowy kontyngent i ostro łapią na ulicach.

– Więc pani jedzie dobrowolnie? – pyta kierownik sammellagru. Siedzi za biurkiem – blada, lisa twarz – i przypatruje się stojącej przed nim Katarzynie, która nie jest już głupkowaną wiejską dziewczyną – nie wiadomo kiedy i dlaczego przeobraziła się nagle w osobę dobrze ułożoną, uprzejmą, powściągliwie uśmiechniętą. Uwaga, mówi sobie, to jest szczywany lis.

– A dlaczego pani wyjeżdża? Czy tutaj pani źle?

Ma żółte od nikotyny palce, na biurku leży paczka papierosów marki Juno. Dużo dałabym za papierosa.

– Koleżanka mnie namówiła. Wywieźli ją rok temu, jest bardzo zadowolona, chwali sobie pracę... namówiła mnie. No i – wie pan – kawał świata człowiek zobaczy...

Lisia twarz uśmiecha się, nie spuszczając ze mnie wzroku. Ja także się uśmiecham. Można rzec – dwie dobrze ułożone osoby wymieniają zdawkowe uśmiechy.

– Rozumiem – mówi uprzejmie. – Może pani wrócić na salę.

– A kiedy odejdzie transport?

Już nie można cofnąć tych słów niby niewinnych, a zdradzających pośpiech i niecierpliwość. Nie wolno było zadawać tego pytania. Ale kierownik sammellagru nie widzi w nim nic zdrożnego.

– Za dzień, dwa – odpowiada uprzejmie. – Czekamy na dopływ nowych sił roboczych.

– To może ja wrócę do domu i przyjdę jutro?

– Wykluczone. Proszę wrócić na salę.

W drzwiach mijam się z Elżbietą i jeszcze słyszę pierwsze pytanie: – Pani też dobrowolna?

Elżbieta wraca na salę niedługo po mnie. Mówi szeptem: – On chyba poznał. – Sąsiedztwo innych nie zezwala na rozmowę.

Wieczorem sala jest prawie pełna. Dziewczęta modlą się, śpiewają kościelne pieśni. Siedzę oparta o ścianę, w rękę trzymam książeczkę do nabożeństwa, moje wargi poruszają się bezgłośnie: oby się udało, oby się udało. Tymi słowami będę się modliła zawsze wtedy, gdy inne wargi szeptać będą *Ojczy nasz* lub *Zdrowaś Mario*. Elżbieta klęczy z twarzą w dłoniach.

Jeszcze tego samego wieczoru ogłoszony został odjazd transportu. Dwaj mężczyźni weszli na salę – jeden starszawy, kościsty, w skórzanej cyklistówce na małej, okrągłej głowie i w skórzanej kurtce – drugi młodziutki, o miłej dziecinnej twarzy, w eleganckim granatowym płaszczu i jasnych irchowych rękawiczkach. Przeszli środkiem sali, przeliczyli obozujące na podłodze, po czym starszy zapowiedział głośno: – Jutro wieczorem odjazd.

\*

Rano zabrano Elżbietę. Stała w ogonku po kawę, kiedy ktoś z męskiej sali rzekł głośno: – Ta to

pewnie Żydówka, patrzcie, znalazły sobie sposób... Trzeba ją odstawić tam, gdzie należy. – Spokojnie wypić kawę i wrócić na salę. Po godzinie wywołano jej nazwisko.

Kiedy odeszła, położyłam się twarzą do podłogi, głowę schowałam w ramiona, moje mięśnie zeszytywniały, leżałam wyciągnięta jak struna, już kiedyś tak leżałam, w tej samej pozycji, tak samo obumarła, i czekałam na ojca. To było dawno, w pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców do miasta, w którym zaskoczyła nas wojna. – W nocy brali Żydów – powiedziała sprzątaczką. Telefon przyjaciela, u którego nocował ojciec, milczał. Wybiegłam z domu, który udzielił mi gościny, i biegłam pustymi ulicami miasta, zapomniałam o istnieniu tramwajów, przyjaciel ojca mieszkał na peryferiach. W klatce schodowej podniosłam męską skarpetkę. Siwa staruszka siedząca przy stole krzyknęła na mój widok: – Nie ma ich, mego brata nie ma, twego ojca nie ma, zabrali ich o trzeciej w nocy, nie ma ich, nie wrócą...

Jej krzyk gonił mnie po schodach, wracałam z kamiennym spokojem w sercu. Pani domu, która udzieliła mi gościny, piękna kobieta o twarzy aktorki, rzekła: – Ach... – i chciała mnie objąć, odtrąciłam ją. Weszłam do pokoju, który mi ustąpiła, cenne obrazy spoglądały ze ścian, ciężkie portierey tłumiły blask dnia. Położyłam się na tapczanie, twarz ukryłam w ramionach, zeszytywniały mi mięśnie, wiedziałam, że będę tak leżała, dopóki ojciec nie wróci. Po godzinie odezwał się dzwonek u drzwi. Udało mu się zbiec.

Szum głosów nade mną, zygzaki kroków po podłodze. Czekam na Elżbietę, ona musi wrócić.

Bez słowa położyła się obok mnie, nakryła się swoim szkolnym płaszczem. Chcieli jeszcze raz sprawdzić dokumenty. Pytali: – Stefańska? Czy to aby czasem nie pomyłka? – Śmieli się jej w twarz. Było ich trzech: kierownik lagru, mężczyzna w cyklistówce i jeszcze jeden, nieznany.

Leżałam więc, czekając na wywołanie nazwiska Katarzyny, ale kiedy czas mijał i nikt tego nazwiska nie wołał, zaczęłam nieśmiało czekać na nastanie wieczoru, na wieczorny odjazd.

Po południu wezwano wszystkich do łaźni, na odwszenie. Szłyśmy czwórkami przez miasto. Nie lubiłam tego miasta. Przyjeżdżałam tu niegdyś co tydzień na lekcje muzyki do małego, piegowatego profesora. Mówił mi: – Grać trzeba głową, nie palcami. – Nigdy o nim nie myślałam, a teraz, w drodze na odwszenie nagle mi się przypomniał. I sama sobie też się przypomniałam, w białej szkolnej bluzce, z wyszytym na rękawie numerem gimnazjum, w białych skarpetkach, z nutami w ręku. Ale kiedy wracałyśmy z łaźni, posypane białym proszkiem, nic mi się więcej nie przypomniało. Zajęta byłam nasłuchiowaniem rozmowy dziewcząt idących za mną. Oburzały się, że im proszek między nogi sypano, że to hańba i wstyd. Że ciężkie i hańbiące nastały czasy. Ten Hitler to zbrodniarz. Ale co jak co, uwolnił nas od Żydów.

Głęboką nocą ruszyłyśmy na dworzec. Powietrze było mroźne, na czystym niebie gwiazdy. Głośny płacz kobiet z wolna przechodził w śpiew. Oddawały się Bogu w opiekę. Twarz Elżbiety mokra od łez. Moje oczy suche, w sercu zawzięta radość.

\*

Strumień jaskrawego światła oblał mi twarz. Nie widziałam niczego poza szpadą blasku, skierowaną w oczy pełne jeszcze snu, w jaki zapadłam natychmiast, gdy pociąg ruszył.

– A to co?! – krzyknęłam głośno, bo tak krzyknąć należało, bo taki był schemat.

– Dokumenty.

Stojącego przed nami nie widziałam, chronił go ostry blask ręcznego reflektorka.

– Niech pan zgasi, do cholery, co to za kawały...

– Tylko bez awantur. Raz-dwa dawać dokumenty. – Światło zgasło, przed nami stali dwaj mężczyźni. Zdziwiłam się: ten chłopaczek z miłą, dziecinną buzią? Ale to starszy krzyczał, ten w skórzanej kurtce, młody świecił.

– Widział kto budzić człowieka po nocy, światłem w oczy budzić... Jakim prawem?  
Tak trzeba, taki jest schemat, który pozwala zyskać na czasie i ochłonąć z zaskoczenia.  
Blask latarki oświetlił odchyloną klapę kurtki.

– Panie pozwolą z nami do sąsiedniego przedziału, na poga-wędkę...

– Nie gadaj z nimi tak delikatnie – zezłościł się starszy – tu trzeba ostro.

W wagonie cisza. Zanim dochodzimy do drzwi – pierwsze szepty: – Żydówki, Żydówki złapali...

\*

Jaka byłam tej nocy spędzonej ze szpiclem w przedziale drugiej klasy, oświetlonym mętnie słabą żarówką? Katarzyna w jej pierwszej większej roli zagranej nieudolnie, po szkolnemu, bo według wszystkich powszechnie znanych i wiadomych przepisów: oburzenie, tupet, gburowatość. A wszystko na nic, wiedziałam, że wiedzą, że wiedzieli od pierwszej chwili, poinformowani zapewne przez kierownika sammellagru, współnika w szpiclowaniu. Przypomniało mi się spojrzenie, jakim nas obrzucili, przechadzając się po sali, i szybki, rozpoznawczy uśmiezek młodego; nie bądź przeczulona, powiedziałam sobie, tak nie wolno.

Ale właśnie fakt, że wiedząc, nie zaprowadzili nas na policję, stanowi słabą pociechę. To szantaż, chcą pieniędzy. Jeszcze mowy o nich nie ma, na razie mówią „Gestapo”, to znaczy, mówi tak młody chłopak w granatowym płaszczu i irchowych rękawiczkach koloru beż, z wyglądu przypominający ucznia gimnazjalnego, a może już studenta. Siedzi ze mną sam na sam w przedziale drugiej klasy i powtarza uprzejmie: – Radzę pani przyznać się, potem będzie za późno, szkoda pani; z takim wyglądem...

Przez całą noc nie zdjął z rąk rękawiczek i patrzył mi prosto w oczy, delikatny w mowie i zachowaniu. Raz tylko pojawił się w jego oczach niedobry błysk, wówczas gdy na perswazje: po co bawić się w ciuciubabkę, czy nie lepiej załatwić tę sprawę po ludzku? – spytałam: – Jak to: po ludzku? – Wtedy twarz mu się zmieniła, oczy zwięzły w szparki, stracił wygląd młodzieniaszka. – Niech pani uważa na słowa – syknął – i tak macie szczęście, żeście na nas trafiły... – Ale natychmiast opanował się i już do rana pozostał uprzejmy i dobrze wychowany.

Zdawałam sobie sprawę, że mój opór i zapewne też opór Elżbiety, siedzącej w sąsiednim przedziale sam na sam ze starym szpiclem, który wypisz, wymaluj na szpicla wyglądał (aż wstyd, że się na nim nie poznałam), są daremne. Znali nazwisko, wiedzieli wszystko... Powtarzałam jednak uparcie: – Nie, to nieprawda, możemy pójść na policję... – a potem zacinałam się w milczeniu, odwracałam głowę i patrzyłam w czarną szybę na odbicie mojej twarzy i zmierzwionych włosów oraz na odbicie twarzy młodego szpicla i jasną plamę jego rękawiczek. A on poufnie, z uśmiechem, nie spuszczając ze mnie wzroku, powtarzał swoje. Aż wreszcie za którymś tam razem dodał, że sam może by i zrezygnował, bo serce ma miękkie, ale stary jest uparty i nie ustąpi, musi mieć pieniądze na wódkę, zaprowadzi prościutko na Gestapo, tam dobrze płacą od łebka. I dodał jeszcze, że nie pierwszy i nie ostatni raz to robi.

– Nie mamy pieniędzy – powiedziałam i widocznie prawda zabrzmiała w moim głosie wyraźnie, bo uwierzył.

Zdumiał się, jak można było ruszać w drogę tak lekkomyślnie, bez zabezpieczenia, wiadomo przecież, że na każdym kroku...

Obiecałam przynieść pieniądze za dwa dni. Skąd je wezmę – nie miałam pojęcia. Wtedy wstał i udał się do drugiego przedziału, żeby omówić warunki. Nie bawił tam długo. Kiedy wrócił, spytałam o Elżbietę. Roześmiał się. – Jest tak samo dziecinna i uparta jak pani. Siedzi wymęczona i błada i powtarza swoje: nie, to nieprawda, możemy pójść na policję, a stary jej się w oczy śmieje: jak to nieprawda? Ja ciebie znam, kupowałaś u mego brata wędliny, bo jego brat, proszę pani, ma w waszym



mieście sklep z wędlinami.

Za szybą spopiełało, wynurzyło się jezioro o szarej wodzie. Drzewa mokły na deszczu. Przypomniałam sobie, że jezioro leży blisko miasta. Dojeżdżaliśmy.

– No widzi pani, dobiliśmy targu – roześmiał się szpicielek. Nie zwracałam już na niego uwagi. Imię Halinki, całą noc przyczajone we mnie, odezwało się teraz pełnym głosem. Chwyciłam się go kurczowo. Była jedyną osobą, do której mogliśmy się zwrócić o nocleg. Tylko o nocleg – nie o pieniądze.

Kiedy wysiedliśmy, okazało się, że pociąg jest pusty – transport znikł. Zdziwiłam się, nie słyszałam, jak wysiadali. Zniknięcie transportu odczułam wbrew rozsądkowi jako nowy cios, oznaczało straconą przynależność. Byłyśmy same, w obcym mieście, bez dokumentów i bez pieniędzy. Chwyciłam się znów imienia Halinki, ale teraz zjawilo się jeszcze inne słowo, natrętne, lepkie. Klęska, klęska. Próbowałam się przed nim bronić, uciszyć je, przekrzyczeć imieniem Halinki. Szpicle powtórzyli raz jeszcze nazwę ulicy i knajpy, w której mieliśmy się spotkać za dwa dni. Będą pieniądze, będą dokumenty – powiedział stary, po czym obaj odeszli.

Stałyśmy przed pustym pociągiem, na dalekiej bocznicy wielkiego dworca, w lesie semaforów, wśród splątanych szyn i patrzyłyśmy za szpiclami, póki nie znikli we mgle drobnej i ostrej mżawki.

\*

Pomiędzy przyjazdem do L. a odjazdem leżą cztery (a może pięć) dni, nie wiem, nie umiem się ich doliczyć i nie próbuję nawet, gdyż to nieważne, wszystko boleśnie splątane, zdawałoby się, nie do rozplątania, cztery lub pięć dni pomiędzy przyjazdem a odjazdem z tego samego – a może innego? – dworca, w tym samym deszczu, który nie przestawał padać: cienka mżawka, w której znikli szpicle unoszący nasze dokumenty, i ulewny deszcz, strugami spadający w chwili odjazdu, kiedy inny szpicel, już unieszkodliwiony, podawał nam walizkę i życzył szczęśliwej podróży. Rekonstrukcja tych dni jest trudną pracą przedzierania się przez mgliste obszary pamięci. Mgła to niknie, to gęstnieje, raz obraz wyraźny, raz luka, rekonstrukcja tych dni jest trudną pracą układania skrawków i fragmentów w jedną ciągłość i całość. Jest również, jest przede wszystkim, pracą bolesną.

Po odejściu szpicli – starego w cyklistówce i młodego w rękawiczkach koloru beż – zapada gęsta mgła. Nie wiadomo, jak długo stałyśmy przed pustym pociągiem, na dalekiej bocznicy dworca, jakimi słowami mówiłyśmy do siebie, musiałyśmy przecież mówić do siebie w chwili, gdy nasza podróż legła w gruzach i nie wiadomo było, czy zdołamy ją podjąć, musiałyśmy choćby kilka zdań zamienić o minionej nocy lub choćby parę słów – rozpacz? pocieszenia? lęku? otuchy? Nie ma ich w pamięci. Jedyne, co przetrwało, to uczucie nagości, jakiego doznałam na myśl, że w torebce nie ma dokumentów.

Dopiero obraz w tramwaju jest wyraźny: stoimy w tłoku wilgotnych kożuchów, w zaduchu podmiejskich bab z koszykami, na tylnej platformie, twarzami zwrócone ku szybie zwilgotniałej i mętnej. Moje palce ścierają wilgoć z szyby, za którą leży dobrze znany plac dworcowy, którego nie poznaję i nie staram się rozpoznać, a na placu wielkie błotniste kałuże pokryte zeschniętymi liśćmi. Ścierając wilgoć z szyby, powtarzam sobie uparcie moje dwa słowa: Halinka i pieniądze, nie dopuszczam do siebie żadnych innych słów, choć natarczywie się dobijają, spycham je w głąb, osiadają w dołku pod piersiami, uwierają boleśnie.

Tramwaj zatoczył po pętli łuk, jedzie brzydką, bezdrzewną ulicą, prostą, długą, wiodącą w samo serce miasta. Ulicą tą biegłam kiedyś w odwrotnym kierunku, to znaczy z miasta na dworzec, pod głuchym warkotem bombowców, z głupią nadzieją, że jeszcze odchodzą pociągi. Ale nie odchodziły. Był 21 czerwca 1941 roku, nazajutrz miałam zdawać ostatni egzamin.

Wspomnienie przywołane rąbkiem pamięci natychmiast odpływa, znika, jak gdyby nigdy nie

istniało. Istnieją tylko moje dwa słowa – nic więcej. Ręka-wahadło ściera z szyby dawno już startą wilgoć. „Tylko na dwa dni, Halinko – powiem – tylko na dwie noce, muszę wystarać się o pieniądze dla szantażystów, pójdę do przyjaciół rodziców, Polaków, myślę, że nie odmówią...” Na szybie pojawia się obok mojej dłoń obca – szeroka, męska. Wiem natychmiast – jeszcze zanim usłyszę szept – że zjawiała się tu nie bez przyczyny. Mężczyzna, którego nie widzę, gdyż stoi za mną, widzę tylko jego dłoń obok mojej, nagle znieruchomiałej, mówi wyraźnym szeptem wprost do ucha: – Gdyby panie potrzebowały pomocy, proszę zwrócić się do Leona Kicuły, Podzamcze 3. – Dłoń opuszcza szybę, a we mnie popłoch: poznał! poznał! Uciekać! Słowo „pomoc” brzmi: zasadzka. Więc kiedy tramwaj, głośno dzwoniąc, staje na najbliższym przystanku, przepycham się, a za mną Elżbieta, ku wyjściu i kątem oka widzę twarz mężczyzny w wysokiej barankowej czapce, twarz nijaką, ani dobrą, ani złą. Jest to w tej chwili twarz człowieka zdumionego i wyraz zdziwienia na tej twarzy każe mi powtórzyć w myślach adres i nazwisko, zawahać się nad znakiem równania, jaki postawiłam między słowami „zasadzka” i „pomoc”. – Pamiętaj: Kicuła, Podzamcze 3 – powiedziałam do Elżbiety i zatrzymałam dorożkę z otwartą czarną, ceratową budą.

Halinka mieszkała daleko od dworca, w jednorodzinym domku w cichej dzielnicy. Obok był skwer, krzewy i drzewa, i inne bliźniaczo do siebie podobne domki. Wszystko to, raz jeden widziane, ujrzałam nagle wyraźnie przed sobą, także Halinkę stojącą w drzwiach, mówiącą: od dawna chciałam cię poznać. Był upalny dzień na początku czerwca czterdziestego pierwszego roku, niedziela, z kortów tenisowych dochodził odgłos piłeczek. Piliśmy kawę w przytulnym pokoju, na stole wazon z malwami, kasztan za oknem. Ani słowo rozmowy nie przetrwało, tylko nasza, moja i Mariana, wesołość i Halinki łagodny, pobłażliwy uśmiech. Dużo starsza była od nas, rozwiedziona z mężem. Błada twarz, czarne włosy spięte w węzeł na karku, ciemne oczy. Zapamiętałam jej głos – cichy i melodyjny. Pracowała w banku.

Wracaliśmy o zmroku. – To jest wspaniały człowiek – powiedział Marian. Tylko raz w życiu ją widziałam, ale kiedy przyszła wojna i Niemcy, pisałam jej imię i nazwisko na listach do Mariana, który nie poszedł do getta i ukrył się u Halinki. Nazywał się wtedy Paweł, siedział w zamkniętym, odosobnionym pokoju i tłumaczył sonety Szekspira. Grał też sam ze sobą w szachy. Aż pewnego dnia napisał: nie mogę dłużej siedzieć beczynnym, trzeba walczyć, trzeba się bronić, a w ślad za tym nadchodzić zaczęły zaszyfrowane wiadomości o planie przedarcia się przez front, o nawiązanych kontaktach mających ten plan umożliwić i zaufanych osobach, które zapewniały pomoc i przewodników. Kiedy przyjechał się żegnać – w zielonym kapeluszu z migocącym zielonym piórkim, w wysokich lśniących butach z cholewami – powiedział: – Pamiętaj, na Halinkę możesz zawsze liczyć. Obiecała, że ci pomoże. To wspaniały człowiek.

W tamten czerwcowy dzień rzekła na odchodnym: – Przyjdź znów, koniecznie, szybko.

Minęło półtora roku. Teraz do niej jechałam.

Elżbieta spytała szeptem: – Jesteś pewna, że ona nas przyjmie? – I jeszcze: – Ale skąd weźmiemy pieniądze? – Na to drugie pytanie nie miałam odpowiedzi. Dorożkarz odwrócił się na koźle, pochylił się ku nam i wskazał batem:

– Panienci popatrzą, Żydki maszerują...

Zadeszczoną ulicą wlokła się kolumna wynędzniałych postaci. Głucho stukały drewniaki. Pomyślałam, że są to pewnie więźniowie janowskiego obozu, tam gdzie jest Natan, i instynktownie cofnęłam się w głąb dorożki.

Poznałam ją natychmiast, była taka sama jak wtedy, blada, ciemnowłosa, w ciemnej sukni. Ale ona mnie nie poznała. Stała na progu i patrzyła zdumiona, dopiero po chwili krzyknęła cicho: – Boże drogi! – i wciągnęła mnie do kuchni. Ciepło i zapach przysmażanych kartofli uderzyły mi do głowy, głód boleśnie ścisnął w dołku. Chciałam powiedzieć, że nie jestem sama, że Elżbieta czeka na korytarzu, ale nie dała mi dojść do słowa.

– A więc przyjechałaś – wołała – mój Boże, przyjechałaś, nie sądziłam, że się odważysz przyjechać, i w dodatku tak szybko...

Teraz ja z kolei nie poznawałam jej w tym radosnym podnieceniu, nie rozumiałam, dlaczego się cieszy. Moje serce dudniło głośno.

– Naprawdę nie spodziewałam się... kiedy dostałaś telegram?

– Nie dostałam żadnego telegramu – powiedziałam, co wcale nie było łatwe, bo nagle miałam sztywne z zimna wargi.

Cofnęła się o krok, jak gdyby chciała lepiej mi się przyjrzeć. Spytała cicho:

– To ty nie wiesz?

Wykonałam głową przeczący ruch.

– Marian jest w więzieniu na Łąckiego.

Mgła wypełniła kuchnię i zatkała mi uszy. Poprzez tę mgłę usłyszałam własny głos dobiegający z oddali, mówiący, że od trzech dni jesteśmy w drodze i że Elżbieta czeka na korytarzu. Wtedy Halinka otworzyła drzwi i zawołała: – Proszę, niech pani wejdzie. – Zobaczyłam wchodzącą do kuchni Elżbietę i pomyślałam, że jest w tej chwili bardzo podobna. Potem podeszłam do kranu, odkręciłam kurek i napiłam się zimnej wody.

Siedzimy w zacisznym, ciepłym pokoju. W piecu huczy ogień, meble błyszczą, starannie wypolerowane, na tapczanie otwarta książka, kłębek wełny i druty. Siedzimy w trójkę przy stole, zjadłyśmy jajecznicę i kartofle, Halinka przynosi słodką namiastkę herbaty, jej ruchy są płynne, pełne harmonii, tak poruszają się osoby widziane w snach, więc może to sen, z którego zaraz się obudzę? Na półce z książkami stoją dwa szklane słonie, które znam z listów. „Słonie przynoszą szczęście”, pisał Marian. Marian jest na Łąckiego, a ja jem u Halinki jajecznicę. Dlaczego nie powiedziałam: zostań?...

Przed tygodniem odezwał się dzwonek u drzwi, obcy mężczyzna podał malutki zwinięty w rulonik skrawek gazety. Tylko jedno zdanie: „Jestem tu od sześciu miesięcy”. – Tu – wyjaśnił obcy – oznacza więzienie przy ulicy Łąckiego – więcej powiedzieć nie chciał i odszedł. Znajomy adwokat, Ukrainiec, dostarczył dalszych wiadomości: siedzi jako Aryjczyk, oskarżony o posiadanie broni, istnieje więc nikła nadzieja.

Sześć miesięcy i żadnego przecucia – nic... Jaki bezwład instynktu... Czy to dlatego, że w ostatniej kartce pisał: „Wszystko toczy się według planu”, i zapowiadał długi czas milczenia?...

– Telegrafowałam, bo potrzebne są pieniądze dla adwokata, obiecał mi, że zajmie się tą sprawą... Prosiłam, żebyś odwrotnie przysłała. To był szaleńczy plan, z góry skazany na niepowodzenie. Ja nie miałam prawa mu zabraniać, ale ty... Z tobą byłby został, ciebie by usłuchał...

Milczę. Ciepła cisza nad szklanką słodkiego herbatolu. Powinnam wytłumaczyć, powiedzieć, ale milczę. „Jestem ci wdzięczny, że nie mówisz: zostań, ale jeśli chcesz, zostanę...” Nocna rozmowa nad nocną rzeką, szum topoli, bełkotliwa fala. W gardle boli, w sercu boli. Zacisnąć zęby, nie powiedzieć: zostań. Zostać – oznacza akcje i getto, i obóz w Kamionkach, gdzie zamknięto wszystkich młodych chłopców z miasteczka. Milczę.

– Mógł być u mnie do końca wojny, prosiłam go: miej trochę cierpliwości. Nie chciał, nie umiał. Gnało go... Najbardziej szaleńcze plany mają największe szanse powodzenia – tobie też tak tłumaczył? – pyta Halinka.

Milczę. Mnie też tak pisał, a potem mówił w nocy, nad rzeką. Ten wyjazd, mówił, jest moją obroną, moją własną walką.

– Powiedz coś... – odzywa się szeptem Elżbieta. Jej oczy są wielkie, w jej głosie lęk. Przed czym?

– Nie musisz odpowiadać, to naprawdę teraz nieważne...

Halinka wstaje od stołu, zbiera talerze. Ale zanim zaprowadzi nas do odosobnionego od reszty mieszkania pokoju, powie jeszcze jedno zdanie skierowane do mnie, powie je tonem tak stanowczym i naturalnym, jak gdyby chodziło o najzwyczajszą pod słońcem sprawę.

– Ty oczywiście zostaniesz u mnie.

\*

Pokój mroczny, na oknach grube zasłony. Kuchenny stół, ława, łóżko zasłane pierzyną w czerwoną kratkę. Pod ścianą, na krześle miednica z odstałą wodą. W tym pokoju ukrywał się... – mówię sobie i niczego nie czuję. Trwam w stanie ogłuszenia, przywalona ciężarem, spod którego nie umiem się wydostać. Mówię sobie (mówię wciąż do siebie, a nie do Elżbiety, która siedzi na ławie nieruchoma, przez tych kilka dni, które tu spędzimy, zawsze będę ją widziała siedzącą na ławie za stołem, milczącą, z tym samym co teraz wyrazem twarzy), mówię sobie: jest godzina pierwsza, masz pół godziny czasu, nie więcej. Pół godziny. O niczym nie myśleć, spać. Sen przywróci ci siły i zdolność myślenia. Potem musisz wstać i pójść na poszukiwanie pieniędzy dla szpiclów... Wsuwam się w ubranie pod kratkowaną pierzynę, wilgotna pościel przejmuje chłodem, drzę na całym ciele. O wpół do drugiej wstaję, myję twarz i ręce w brudnawej wodzie, maluję się, wkładam płaszcz. Elżbieta nadal nieruchoma, patrząca przed siebie. Chcę do niej podejść i powiedzieć: przecież wiesz, że nie zostawię ciebie samej, ale nie robię tego z obawy, że się rozplaczę. Mówię: – Połóż się, staraj się spać. I nie becz jak idiotka – dodaję, choć ona wcale nie płacze, tylko wyraz twarzy ma bolesny (i tak już zostanie między nami. Żadnych czułości. Im większa ich potrzeba, tym większa oschłość w słowach i zachowaniu). Potem wychodzę z pokoju, zamykam za sobą drzwi.

Nad tapczanem pali się różowa lampka, Halinka leży i czyta książkę. Jej twarz, zazwyczaj biała, poróżwiała, puszysty pled okrywający ramiona nabrał koloru płatków dzikiej róży, z których parzyliśmy w domu herbatę. Pokój jest cały różowy, w uszach dzwoni cisza. Stoję na progu jak wryta, porażona tą przytulną różowością, gardło mam zaciśnięte, nie umiem wydobyć z siebie słowa. Halinka patrzy na mnie uważnie, bez uśmiechu, wyciąga ramię i pokój nagle szarzeje, nie wiem, czy to szarość deszczowego dnia? czy też szarość niepamięci?...

Bo nie pamiętam naszej rozmowy. Powiedziałam zapewne, że wychodzę na poszukiwanie pieniędzy, że mam tylko dwa adresy osób, do których mogę zwrócić się o pomoc, a ona zapewne powiedziała: uważaj, mieszkałaś w tym mieście dwa lata, a nigdy z taką łatwością nie spotykało się znajomych co teraz... Prawdopodobnie powiedziała mi również, że jej kuzynka zgodziła się zawieźć list do Z., gdyż po powrocie z miasta napisałam list do ojca, prosząc go o pieniądze dla adwokata, list do ciotek, by wydały wszystkie nasze rzeczy nadające się do spieniężenia, oraz list do Agafii, która miała te oba listy przekazać – jeden do schronu u pszczelarza, drugi do getta.

\*

Mam się na baczności przed tym miastem. Idę ulicami, którymi niegdyś chodziłam, mijam znajome place i budynki, mijam kawiarnie, w których piliśmy kawę i jedliśmy czekoladowe kulki, miejsca spotkań i pożegnań mijam, mijając je, odganiając od siebie strzępki rozmów, nie chcę nasłuchiwać, nie chcę pamiętać, a kiedy przystaję przed lustrem na wystawie sklepu, wychodzi mi na spotkanie obca dziewczyna w kwiecistej chustce upiętej kunsztownie w modny turban, zadyszana od szybkiego kroku, patrząca wzrokiem nieobecnym jak gdyby i trochę zdumionym. Widok tej obcej dziewczyny podobnej do innych dziewcząt w turbanach na głowie, spieszących szybkim krokiem z biura do domu, działa uspokajająco, nikt na nią uwagi nie zwraca, ani na ulicy, ani w tramwaju, a ona zbliża się już do placu, przy którym stoi barokowy kościół – jego piękną fasadę podziwiać można w całej okazałości z okien mieszkania na drugim piętrze. Za chwilę będę w tym mieszkaniu. Na pewno nie odmówię.

Na widok placu i kościoła mimo woli przystaję i nabieram tchu. Na pewno nie odmówię.

Mosiężna wizytówka na drzwiach ta sama co niegdyś, w uchylonych drzwiach twarz tej samej co

dawniej gosposi. Jej przerażony szept: – Jezus Maria, panienska ucieka, państwo na wsi, tu teraz Niemcy mieszkają. – Zatrzaśnięte przed nosem drzwi.

W drugim mieszkaniu drzwi otworzył obcy mężczyzna. Nie zdziwiło mnie to – przeczuwałam, że tak będzie. Doktor S. zmarł rok temu, odpowiedział. Jego żona mieszka obecnie w Warszawie.

Nie było więc nikogo.

Zmierzch zapadał wczesny, mżyło. Wlokłam się krok za krokiem, znużona, rozbita. Poszłam przez park, usiadłam na ławce w błotnistej alejce. Nie będzie pieniędzy – nie będzie dokumentów, powiedział stary szpicel. Mówiłam sobie: musisz coś wymyślić, musisz zdobyć pieniądze, bez dokumentów... ale nie kończyłam tej myśli. Czułam, jak ogarnia mnie coraz większe, coraz cięższe znużenie.

Nagle ocknęłam się: Elżbieta czeka, Halinka czeka, pomyślą, że mnie złapali. Wybiegłam z parku. Na ulicy, tuż przede mną zatrzymał się tramwaj z napisem: Podzamcze. Nie namyślając się, wsiadłam. Leon Kicuła, Podzamcze numer 3. Jechałam do obcego człowieka, którego adres podał mi inny obcy człowiek. Zdawałam sobie sprawę, że pomoc, o której mówił mi szeptem do ucha, kosztuje zapewne wiele pieniędzy, ale nie umiałam już myśleć rozsądnie. A nuż... a nuż... – mówiłam sobie.

Przy ulicy Podzamcze numer 3 stała rudera. Ulica pusta, ani człowieka, ani światełka, zabudowania towarowego dworca ledwo widoczne w mroku. Dom sprawiał wrażenie niezamieszkanego, mimo to weszłam do klatki schodowej. Była odrapana, stęchła. Zapukałam do drzwi – nikt nie odpowiedział. Weszłam na piętro – były tu jeszcze jedne drzwi, opatrzone żelazną sztabą, zamknięte wielką kłódką. Za tymi drzwiami ktoś mieszkał. Ciszę przerwał wysoki gwizd parowozu, obleciał mnie strach przed ciemnością i pustkowiem, biegłam z powrotem do przystanku, a biegnąc, mówiłam sobie: jutro tu wrócę, a nuż... a nuż...

Teraz myślałam już tylko o tym, by dotrzeć do Halinki, o niczym więcej. Mężczyzna siedzący naprzeciwko przypatrywał mi się natarczywie, wysiadłam z tramwaju i szłam dalej na piechotę przez miasto mgliste i ciemne, tu i ówdzie tylko rozświetlone żółtawym światłem latarni.

Krok za krokiem wzdłuż kamienic. Elżbieta siedzi na ławie i czeka, Halinka leży pod różową lampą i czeka. Już tylko dwie przecznice dzielą mnie od placu, przy którym stoi jej dom.

Kobieta w futrzanym kołpaczku na głowie przyjrzała mi się uważnie, stanęła. Nie przyspieszając kroku, szłam spokojnie dalej.

– To naprawdę ty?

Natychmiast poznałam głos, niemiecki akcent w polskiej mowie. *Fräulein* Hedwig, zwana Tschuppi. Latem, w czas wielkich wakacji powóz z dworu przyjeżdżał po dzieci, koniom czerwieniły u uszu fontazie, majątek zadłużony, ale powóz paradny, stary dwór w starym parku, tradycyjnie na kolumnach wsparty, weranda półkole zatacza ku cienistym alejom. Na stole dymi kakao rozlewane do filiżanek przez niemiecką guwernantkę, zwaną dziwnie dla ucha brzmącym imieniem; malutka, okrągła, figlarna, oczy ma jak orzechy. „Ach, *du mein Liebchen*, kochaneczko moja, jeszcze kawałek tortu?”. Pół po niemiecku, pół po polsku, ze Śląska rodem, w okolicy szeptano o miłosnym związku z młodszym właścicielem majątku, na niemieckich uniwersytetach w agronomii kształconym. *Fräulein* Hedwig, zwana Tschuppi. Kakao od dawna dymić przestało, umilkł tętent koni, dwór najpierw przez Rosjan upaństwowiony, potem przez Niemców w *Liegenschaft* przemieniony, w czworakach teraz obóz żydowski.

– Ach, *du meine Liebe*, Stefana zabili, *Frau* Lotte zabili, a piękna Nina razem z ojcem na aryjskich papierach w dalekim mieście, tylko *der junge Herr Doktor*, mój mąż, jest tutaj, ukryty w naszym mieszkaniu...

I jeszcze raz: Ach, *du meine Liebe* (już wysłuchawszy mojej opowieści), nie martw się, jutro dostaniesz pieniądze, przyjdziecie do nas na podwieczorek, to są pieniądze waszego ojca... Majątek podupadał, latami nie opłacali opieki lekarskiej nad pracownikami dworu, zostali winni waszemu ojcu

wielką sumę...

Wydarzył się cud. Gdybym kilka minut wcześniej tamtędy przeszła... kilka minut później... Gdyby natarczywy wzrok nie wygonił mnie z tramwaju...

W pokoju pali się słaba piętnastka, na ścianie tańczy wielki cień. Chce mi się krzyczeć, śmiać, płakać ze szczęścia. Drugi cień, Elżbiety, jest nieruchomą plamą.

– Nie cieszysz się? Gdybyś wiedziała...

Elżbieta mówi, że jej jest wszystko obojętne.

– Stało się coś? Powiedz.

Powtarza słowa Halinki: – Ty oczywiście zostaniesz tutaj. Ona chce, żebyś została, ale tylko ty. Mnie nie chce.

– Albo obie zostaniemy, albo obie pojedziemy.

– Ale ty chcesz zostać, prawda?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Sądzisz, że zostając, będziesz mogła mu pomóc? W jaki sposób? Czym?

Halinki także nie dziwi cud, który wydarzył się tuż przed jej domem. Milczy pod różową lampą, pod puszystym pledem, a ja gadam i gadam, wciąż pod wrażeniem spotkania, które ocaliło dokumenty. Milczenie dobiegające z tapczanu gasi moje podniecenie. Milknę.

– To naprawdę cudowny przypadek – mówi Halinka spokojnym, rzeczowym tonem – nie wierzyłam, że zdobędziesz pieniądze. Brak dokumentów byłby oczywiście wielką komplikacją – dla wszystkich. A tak, twoja siostra pojedzie na roboty, a ty zostaniesz u mnie. Obiecałam Marianowi, że ci pomogę. Uważam zresztą, że twoim obowiązkiem jest zostać blisko niego...

Kiedy się słucha jej spokojnego głosu, wydaje się, że nic prostszego, jak zostać samej w zacisznym, przytulnym mieszkaniu, a Elżbietę smagłą, czarnowłosą wysłać w nieznaną. (Uważaj na nią, jej będzie trudniej, opiekuj się nią, ona jest młodsza...)

– Nie mogę zostać sama, bez Elżbiety.

– Rozumiesz chyba, że dwie osoby to nie jedna.

– Rozumiem i nawet nie śmiem cię prosić. Ale nie mogę jej opuścić...

– Nie jest dzieckiem, ma swoje szesnaście lat... Nie rozumiem cię, zastanów się, a przyznasz mi rację. Gdybyś wyjechała, to byłoby tak, jakbyś opuściła Mariana...

– Zrozum, nie mogę opuścić siostry.

– Wybacz. Wybór zależy od ciebie. Moje zdanie znasz.

Jaki chłód od tych słów!

Nie mam odwagi wejść do naszego pokoju, stoję w korytarzu pod drzwiami. Nagła myśl: pokój jest pusty, Elżbieta odeszła.

Jest... jest... Siedzi na ławce, patrzy na mnie, odgaduje wszystko.

– Ona mnie nie chce.

– Nie.

Do późnej nocy pisałam listy do ojca, ciotek i Agafii. Spałam twardo i długo. Po przebudzeniu zastałam Elżbietę już ubraną. Powiedziała: – Nie martw się. Możesz zostać. Ja wrócę do Z. Ona ma rację. Zresztą – głupio byłoby odrzucać taką szansę.

(Ranek ledwo rozpoczęty, a już wymazany, w pamięci luka, ciemna plama. Zostań. Ja wrócę. Tylko tyle.)

W południe przyszła kuzynka Halinki po listy. – To drobnostka – powiedziała, kiedy dziękowałam jej za tak wielką przysługę. – Dla mnie to naprawdę drobnostka, ja wciąż podróżuję. Zajmuję się handlem, trzeba jakoś żyć.

Spytała, czy wiem, jakie towary opłaca się zawieźć do Z., czego w okolicy brak. I co można by stamtąd przywieźć.

– One uciekły z getta – upomniała ją Halinka.

Kuzynka była młoda i śliczna, w brązowym futerku. Po jej odejściu cały pokój pachniał egzotycznym kwiatem.

Wizyta u *Fräulein* Hedwig, wyraźna w najmniejszych szczegółach: i to, jak stojąc na progu, witała nas: *kommt herein, Kinder, kommt herein*, i przywitanie w przedpokoju, które do łez wzruszyło Elżbietę, i jak potem stałyśmy we trójkę wśród ciężkich mebli, ciężkich dywanów i zasłon w mrocznym pokoju, a *Fräulein* Hedwig mówiła, że tu, w tym pokoju ukryty jest jej mąż, *der junge Herr Doktor*, że słyszy on każde nasze słowo, ale w rozmowie nie może brać udziału. Przywitajcie się z nim – powiedziała, a my grzecznie: *guten Abend Herr Doktor*, gdyż z ukrytym zwykło się było mówić po niemiecku. Po naszym *guten Abend* zapadła cisza, ani szeptu, ani oddechu, spojrzaliśmy mimo woli dokoła, a ona, *Fräulein* Hedwig, śmiejąc się figlarnie, wołała: – Nie szukajcie, nie szukajcie, i tak nie znajdziecie tej skrytki, to bardzo pomysłowa skrytka, sama ją wymyśliłam i urządziłam... *nicht wahr, Oskar, mein Schatz?* – Wydało mi się, że słyszę stłumione *ja... ja...* Ale to było złudzenie. – *So, wir trinken jetzt einen Kaffee*, ciasto sama upiekłam – wołała – *du, Oskar, bekommst deine Tasse spater...* – Jej prośby, by o losach rodziny opowiedzieć, nie mogłyśmy spełnić. Słowa więzły w gardle, także ciasto zjadłyśmy z trudem. Przy pożegnaniu powiedziałyśmy głośno *Auf Wiedersehen, Herr Doktor*, a *Fräulein* Hedwig wręczyła nam białą kopertę.

Odprowadziłam Elżbietę do Halinki i pobiegłam na spotkanie ze szpiclami. Czekali, tak jak to było umówione, w knajpie na rogu Gródeckiej. Obaj. Stary stał przy bufecie z kieliszkiem w ręku, twarz miał czerwoną, błyszczącą, młody siedział przy stoliku i patrzył w kierunku wejściowych drzwi. Na rękach miał te same co w pociągu, jasne, irchowe rękawiczki. Przeliczyli pieniądze, stary skrzywił się, że za mało, choć była to suma, jakiej żądali.

– No, zostaw już, tak było umówione... – powiedział młody. Spytał, czy napiję się herbaty. Sprawdziłam dokumenty i wstałam.

– Bardzo się spieszę...

– Odprowadzę panią – zaofiarował się.

– Jadę tramwajem, przystanek jest obok.

Roześmiał się:

– Niech się pani nie boi, nie mam zamiaru pani śledzić. Po prostu chcę z panią porozmawiać...

Pomyślałam to samo co w pociągu: taki niby miły chłopak, a szpicel i szantażysta. I to prawdopodobnie szpicel doskonały, właśnie ze względu na wygląd i zachowanie. Chciałby mi pomóc, mówi. Mam dobry wygląd, a więc wszelkie szanse, żeby przeżyć...

– Chcę pani zaproponować, żeby pani została w L.

W ciągu dwóch dni dwie osoby, z całkowicie różnych pobudek, proponują mi pozostanie i pomoc. Może to oznacza, że nie powinnam jechać? Może to jakieś ostrzeżenie?

Mówi, że nie jest chamem, tylko człowiekiem delikatnym, najpierw wynajmie mi pokój, wystara się o zaświadczenie pracy, a potem dopiero... po jakimś czasie...

– Pani mi się bardzo podoba.

– Szkoda czasu na tę rozmowę.

– Chwileczkę... chwileczkę... niech pani nie sądzi, że ja jestem... zawodowy... Ja tylko tak... czasami... ze starym. Słowo daję. Po co ma pani jechać na roboty, pracować dla szkopów. I niebezpiecznie tam, bombardują, można zginąć. Proszę się zastanowić.

– Już się zastanowiłam.

– Nie, nie... pani musi to przemyśleć, proszę mi wierzyć, ja jestem człowiek delikatny...

– Wierzę panu – mówię i proszę, żeby zostawił mnie w spokoju. Napisał na karteczce adres i numer telefonu na wypadek, gdybym się rozmyśliła.

Zanim wróciłam do Halinki, poszłam na ulicę Łąckiego. Po raz drugi żegnam się z Marianem.

Tłumaczę mu, dlaczego teraz ja muszę wyjechać, dlaczego nie mogę zostać u Halinki. Łzy przynoszą mi ulgę. Przechodzący ulicą starszy mężczyzna mówi cicho: – Niech pani tu nie stoi, dziecko, niech pani wraca do domu, niedobrze jest tutaj stać...

\*

Halinka nie wypowiada pytania, tylko na mnie patrzy. Stoi przede mną poważna, blada.

– Nie mogę jej zostawić, zrozum...

– Moje zdanie znasz. I wiesz, co sędzę o takiej decyzji. – Rozkłada ręce.

– Wiem.

– Klucz zostawcie w korytarzu, na parapecie okna.

– Tak.

– To byłoby wszystko. Mam nadzieję, że nie będziesz żałowała swego kroku. Życzę wam szczęścia.

– Przyślę ci adres, napiszesz mi o Marianie i o ojcu?

– Napiszę.

– Dziękuję ci za wszystko. Nie wiem, jak ci dziękować...

– Nie dziękuj.

Wróciłam do pokoju i powiedziałam Elżbiecie, że jutro rano o szóstej pójdziemy do rozdzielczego obozu, skąd odchodzą transporty wprost do Niemiec. Innej drogi nie ma. Potem się położyłam. Pościel była zimna, drżałam. Starłam się usnąć, ale sen nie nadchodził. Słyszałam, że Elżbieta płacze.

Potem płacz ustał i zrobiło się ciepło i jasno. „Wiedziałem, że mnie zrozumiesz”, mówi Marian, idziemy długą, pustą ulicą, przy której nie ma ani domów, ani drzew, ludzi też nie ma, tylko my dwoje. U wylotu ulicy stoi wielki budynek z czerwonej cegły. „Nie! nie!” – wołam przerażona, ale nie słyszę swego głosu, deszcz pada i ojciec w mokrym płaszczu, z walizką w ręku przechodzi jezdnię, „to jedyna droga, moje dzieci”, słyszę jego głos, ale ojciec mnie nie widzi, mówi w przestrzeń, nie, mówi do Halinki, która stoi w oknie i w ręku trzyma różową lampę.



## II

Położyłam klucz na parapecie okna w korytarzu i stałam, czekając, czy nie doleci z głębi mieszkania jakiś odgłos – skrzyp otwieranych drzwi na przykład, kroki... Ale nie, tylko ciszę było słychać. Zamek zaskoczył w wyjściowych drzwiach z krótkim, suchym trzaskiem, krótki, bolesny skurcz ścisnął serce. Na dworze padało.

Skąd wiedziałam, gdzie znajduje się obóz, z którego odchodzą transporty do Niemiec? Kto podał mi adres? Nie wiem, nie wiem. A musiał mi ktoś powiedzieć, bo szłyśmy, nie pytając o drogę, nie błędząc, szłyśmy w wielkim znużeniu, widocznym na jedynym zachowanym z tej drogi obrazie: my obie na pustej, pod górę pnącej się ulicy, z bagażem w ręku, idące opieszale, wolno, z oporem. Widziany jest ten obraz jak gdyby z zewnątrz, przez osobę trzecią, obserwującą idące z pewnego oddalenia. Nagie drzewa stoją przy krawężniku.

Pytałam potem Zosię, czy przypomina sobie, przy jakiej ulicy stał ten wielki, rozłożysty budynek, prawdopodobnie budynek dawnej szkoły, ale wiedziała tyle co ja: że w okolicy Dworca Głównego, skąd potem odjechał nasz transport.

Zosię (wówczas jeszcze bezimienną, anonimową) spotkałam po raz pierwszy w tymże drugim z kolei sammellagrze, ściślej mówiąc, nie spotkałam, lecz ujrzałam, bo nie zamieniłyśmy wtedy ani słowa, przeciwnie – jak oparzone odskoczyłyśmy od siebie wzrokiem. Była w towarzystwie młodej kobiety o zalotnym uśmiechu, mówiącej po ukraińsku i zwracającej uwagę eleganckim ubiorem. Stały oparte o pryczę w wielkiej, tłocznej hali, obydwie ładne i młode, jedna jasna, druga ciemna, od razu odgadłam, że ciemnowłosa jest autentyczną Ukrainką, a jasna, niebieskooka, Żydówką.

– Oczywiście, że pamiętam – powie mi Zosia później (dużo później mi to powie) – prowadził was wtedy jeden z nadzorców, taki z chudą szyją i ruchliwym jabłkiem Adama, pamiętam go, bo i mnie zabrał na przesłuchanie, ale ja się wykupiłam – dałam mu pierścionek.

Od początku przypuszczałam, że wszystko rozpocznie się od nowa, i idąc opieszalym krokiem pustą, w górę pnącą się ulicą, wciąż spychałam w głąb siebie myśl (podobnie jak wiele innych myśli w głąb siebie musiałam spychać), że zjawienie się w obozie w pojedynkę, na własną rękę, zwróci uwagę, wzbudzi podejrzenia.

Strażnik na bramie użył dosłownie tych samych słów, które słyszałam w moich uparcie w głąb siebie spychanych myślach, zapytał bowiem: – A co to, same? Nie z transportem? – i spojrział na nas spod oka. – Jedziemy dobrowolnie – odrzekła Katarzyna dobitnie i nieco wyniośle (oszałałaś? – krzyknęłam na nią w duchu – po co ten ton?) i weszłyśmy na dziedziniec tej dawnej szkoły, obłożony teraz przez tłum czekający na wyjazd, a z dziedzińca do wielkiej hali, również pełnej ludzi i zastawionej pryczami.

Od razu wpadli mi w oko młodzi, ruchliwi chłopcy o rozbieganych oczach, którzy kręcili się wśród tłumu. (Nie miałyście niczego? Pierścionka? Broszki? – dziwiła się Zosia.) Młody człowiek o rozbieganych oczach, jeden z tak zwanych nadzorców, przyszedł do nas dopiero nazajutrz. Chudy,

z chudą, długą szyją. – Poproszę panie na rozmówkę. – Widocznie wszyscy oni używali tego zwrotu, ale szpicel w irchowych rękawiczkach wyraził się ładniej: na pogawędkę.

Idziemy przez halę do drzwi ukrytych w głębi, za pryzami, jest tam mały służbowy pokój. Zakratowane okno wychodzi na kopce śmieci – odpadki lagrowej kuchni. Przy oknie stoi wysoki mężczyzna w trenczu i kapeluszu odsuniętym z czoła. Nie patrzy na nas, zapala papierosa. Ten, który nas przyprowadził, czeka w milczeniu. – Ależ proszę... – mówi do niego człowiek w trenczu i tamten zaczyna. Grzecznie, rzeczowo. – Gdzie się pani urodziła, proszę opisać miasto, proszę podać nazwę głównej ulicy, nazwisko burmistrza, starosty, dyrektora szkoły, imię patrona miejscowego kościoła... – Patrzymy sobie w oczy jak dobrze wychowani, prawdę mówiący ludzie. Sypię nazwiskami, szpicel potakuje lub ironicznie się uśmiecha, jedno i drugie na chybił trafił, nie zna miasta, w którym Katarzyna przyszła na świat. Potem modlitwy. Proszę... W ciemnym pokoiku, ze wzrokiem utkwionym w kopce śmieci, modłę się do Boga, wygłaszam czystym, spokojnym głosem *Ojcze nasz, Zdrowaś Mario i Aniele Boży, stróżu mój...*, odpowiadam na pytania z katechizmu, a kapuś przybiera mimo woli pozę księdza odmawiającego rozgrzeszenia: – Coś za gładko pani umie...

Potem kolej na Elżbietę, wszystko jeszcze raz od początku, człowiek w trenczu patrzy teraz na nas bez uśmiechu, z napięciem, jak gdyby się nad czymś zastanawiał. Patrzy to na nas, to na gorliwego szpicla, każącego Elżbiecie śpiewać kolędy, *Przybieżeli do Betlejem...*, *W żłobie leży...*, a zza drzwi dochodzą głośne rozmowy i kłótnie, wszyscy tu z wszystkimi się kłócą, „sram na to, słyszysz, ja sram na to” i jeszcze: „cholero jedna, kraść ci się zachciało...”.

– Panie mogą wrócić na salę – mówi człowiek w trenczu. Szpicel jest widocznie zaskoczony tą interwencją i decyzją przełożonego, bo zgadza się potulnie i otwiera drzwi.

Ciekawe spojrzenia sąsiadek. Młodziutka, w huculskim kożusku, ta z najbliższej pryczy, pyta zdziwiona:

- Puścili was?
- Co by nie mieli puścić?
- Wczoraj zabrali trzy.
- One na Żydówki nie wyglądają – odzywa się inna.
- Są takie, co nie wyglądają.

Młodziutka w huculskim kożusku ma okrągłą, różową twarzyczkę, wielkie czarne oczy pod starannie wyskubanymi łukami brwi. Bez ustanku patrzy w lusterko.

Kiedy niedługo potem wołają nazwisko Katarzyny, nakazują Elżbiecie – bo chce iść ze mną – żeby nie ruszała się z miejsca. Ale to fałszywy alarm. – Ktoś czeka na panią przy bramie – mówi nadzorca, a ja wybiegam szczęśliwa, bo skoro ktoś do mnie przyszedł, to przecież na pewno nie jestem Żydówką, szczęśliwa, bo nikt inny przyjść nie mógł, tylko Halinka.

Stoi przy wejściu drobna, wątła, w czerni. Za woalką kapelusza blada twarz. Rozmawiać wolno tylko przez ogrodzenie, całujemy się, wciskając twarz między żelazne sztachety.

- Dziękuję ci – mówię szeptem. Wiem, co oznacza, że przyszła.
- Byłam niespokojna. Czy wszystko w porządku?
- Tak.
- I nikt... nic?...
- Nikt.

– Kuzynka telefonowała, załatwiła pomyślnie, wraca za kilka dni. Chciałam, żebyś wiedziała.

Kiwam głową – słowa jakby uciekły ode mnie. Nie mogę mówić.

– Zaraz napisz, podaj adres. Będę do ciebie pisała. Dam znać...

Da mi znać, co z ojcem, co z Marianem. Wspaniała. Kiwam głową, a ona głośno, tak żeby słyszeli strażnicy przy bramie:

- Nie martw się, Katarzyno, wilk nie taki straszny, jak go malują...

I nagle obie płaczemy, co nikogo tu nie dziwi, jest nawet całkiem zrozumiałe.

\*

Kiedy przyszedł do nas człowiek w trenczu, świadek modlitw i kolędowania? Tego samego wieczora? Czy też nazajutrz po naszym powrocie z policji? W pamięci przychodzi różnie – raz tego samego, raz następnego dnia, ale zawsze zachowuje się w ten sam sposób i zawsze mówi te same słowa. Siada przy pryczy, zawadiacko zsuwa kapelusz na tył głowy, częstuje papierosami. (Nie palcie, mówili naiwni, to może wzbudzić podejrzenia.) Zaciągamy się łapczywie, człowiek w trenczu mówi szeptem tylko dla nas przeznaczone słowa, nikt inny nie powinien ich słyszeć. Za późno się panie wybrały, mówi, teraz wszyscy wiedzą o tym sposobie i wyłapują, coraz trudniej się przemycić, a jeszcze dwa, trzy miesiące temu można było z łatwością, bez żadnych przeszkód... Przyrzeka wysłać nas jak najszybciej i radzi nie kręcić się po hali, nie chodzić na posiłki – będzie nam przynosił jedzenie na pryczę.

Jest to wysoki, szczupły mężczyzna, twarz sucha, koścista. Nosi przybrudzony trencz. Zastępca kierownika sammellagru. Przychodził pod wieczór, przynosił chleb z buraczną marmoladą i papierosy. (Ach, on był nadzwyczaj porządnym człowiekiem – powie Zosia – mnie także pomagał.) Ale przed policją ochronić nie mógł, jego władza nie sięgała drugiego piętra. Nie wiedział nawet, że zabrali nas prosto z łaźni i prowadzili przez korytarze i schody do odległego skrzydła tej dawnej szkoły, do pokoju, w którym urzędowało Gestapo. Gestapowiec siedział za stołem, obok niego tłumaczka, a pod ścianą stało sześć, a może osiem bladych, milczących kobiet. Czy owa starszawa już kobieta i mężczyzna z małym, krótko przystrzyżonym wąsikiem dzień w dzień czatowali u wejścia do pomieszczeń z tuszami, czy też przyszli specjalnie po nas na skutek donosu szpicla rozgoryczonego brakiem okupu? Mogło być i tak, i tak.

\*

Stoimy wraz z grupą nagich dziewcząt pod ciepłym natryskiem, a starsza kobieta i mężczyzna z wąsikiem czekają za drzwiami. Nie zamieniłyśmy z Elżbietą ani słowa, ale wiemy obie: czekają na nas. Widziałyśmy wzrok, jakim się porozumieli, jakim nas sobie wskazali.

Natychmiastowa pewność, że to nie szantażyści, nie rozmówki i pogawędki. Ociężałe, tępe jak gdyby i w tej tępcie groźne spojrzenie spod opuszczonych powiek. Spokojni, flegmatyczni. Natychmiastowa pewność: zawodowcy.

Błada mgła w łaźni, natryski szumią. Za oknami czubki drzew rosnących na dziedzińcu, kawał szarego nieba, deszcz ciurkiem spadający. Mydło szare, chropawe jak kamień. Jest gorąco, duszno, mdło. Siadam na podłodze, oplatam rękoma nogi. Nasłuchuję: stłumiony, daleki klakson auta, które przejeżdża ulicą (...chodziliśmy ulicami i słuchając, jak auta trąbią, wołaliśmy: As-dur! cis-moll! G-dur! – a ludzie oglądali się za nami...). Chichot nagich dziewcząt, plusk wody, sanitariuszki z pompkami w rękę, w pompkach biały proszek. Myślę: nogi mam ładne, smukłe. Marian mówił: masz świetne nogi... Rozgrzana ziemia pod stopami.

Elżbieta szepnęła: – Jak myślisz? – Wiedziałam, że czeka na dodanie otuchy, ale nie przestając gładzić nóg, powiedziałam: – Myślę, że teraz już koniec.

Nie mogłam wiedzieć, że zacznę krzyczeć i że wyjdziemy obie – i jedyne – z tego pokoju, w którym za biurkiem siedział gestapowiec, obok niego tłumaczka, a pod ścianą stała grupa milczących, bladych kobiet.

Powiedziałam: myślę, że teraz już koniec, bo naprawdę tak wówczas myślałam, nie wiedziałam, że zacznę krzyczeć: „nigdzie, do cholery, nie pojedę, do domu wrócę, najpierw namawiają, żeby jechać, a potem poniewierają człowiekiem, w dupie mam wasze roboty”, i że czerwona po kąpieli i coraz

bardziej od krzyku czerwieniejąca, tak długo będę krzyczała, aż każą mi odejść, nie wiedziałam, że wyjdziemy z tego pokoju, zostawiając pod ścianą sześć, a może osiem kobiet, milczących i bladych, z przerażeniem w oczach, których bladość i milczenie przeciwko nim przemawiały wyraźniej niż metryki w ich obronie.

Nie, nie wiedziałam, że przypląw rozpacz – to koniec! to koniec! – wyładuję w niewybrednych słowach: dupa, gówno, cholera, oraz że w różnych przypadkach odmieniane niewybredne słowa i ciśnięcie – zanim okazać je kazano – dokumentów na stół będzie miało moc najlepszych kenkart i pieczętek.

Na próżno usiłowali przerwać potok mego krzyku. Dopiero gdy Niemiec zerwał się na nogi i skoczył do mnie – zamilkłam.

Tłumaczka przejrzała dokumenty, szepnęła Niemcowi kilka słów.

– *Ab!!!* – Szpicrutą zsunął dokumenty ze stołu. Spadły na podłogę, rozsypały się. Pozbierałam je.

– Chodź – powiedziałam do Elżbiety.

– A co z tą drugą? – spytała tłumaczka.

– My razem.

Korytarz był pusty. Krew odpłynęła z twarzy, schody zawirowały.

\*

Idziemy w ostatniej czwórce, szpicel z chudą szyją dźwiga naszą walizkę i tobołek i zabawia nas rozmową. Najpierw przeproszał, że naraził nas na nieprzyjemności i kłopoty, człowiek nieraz popełnia pomyłki, prawda? – a teraz zapewnia, że „tam” na pewno będzie dobrze, urządzicie się panie, dla inteligentnych mają względy, lepiej samemu się zgłosić, szanują takich. Idziemy na dworzec. Deszcz leje strugą, to nie ta cienka mżawka co w chwili przyjazdu, kiedy inni szpicle zostawili nas na boczniczy tego samego (a może innego?) dworca i odeszli, unosząc nasze dokumenty.

Właśnie wchodzimy na peron, znów ze szpiclem przy boku, tyle że unieszkodliwionym, co więcej – przekonany głęboko o krzywdzie, jaką wyrządził niewinnym. Uważam, że człowiek w trenclu posunął się o krok, kroczył za daleko, każąc szpiclowi nosić nasz bagaż, ale był to zapewne pożegnalny, figlarny gest z jego strony, zrozumiały tylko dla nas trojga.

Nie czuję radości ani zadowolenia, że podejmujemy naszą podróż, gdy wszystko wskazywało na to, że stłumiona zostanie w zarodku. Być może potem będę się mogła cieszyć i z satysfakcją wspominać pokonane przeszkody. Być może – nie jestem tego pewna. Chudy szpicel życzy nam szczęśliwej podróży, jego kapelusz ocieka wodą. – Dziękuję panu – odpowiadam temu mydłkowi, co to słodkim głosem cedził: „a teraz, *Aniele Boży*, proszę...”, układam bagaż w kącie wagonu, potem stajemy z Elżbietą w otwartych drzwiach i wypatrujemy człowieka w trenclu, żeby mu podziękować. Nie widać go. Nie wiem jeszcze, że za chwilę oniemieję w zdumieniu na dźwięk nazwiska, jakie mi powie. Nie będzie to nazwisko obce. Od czoła pociągu dobiega zgrzyt zasuwanych drzwi. Już podniósł się płacz.

Podbiegł w ostatniej chwili. Powiedziałyśmy mu, jak bardzo jesteśmy mu wdzięczne i że po wojnie – o ile przeżyjemy – odszukamy go, żeby raz jeszcze za wszystko podziękować. Elżbieta dała mu na pamiątkę małą sarenkę z brązu – talizman zabrany z domu. Uśmiechnął się rozbawiony. Poprosiłyśmy, żeby podał nam adres i nazwisko. Nie przestając się uśmiechać, powiedział: – Nazywam się Kicuła. Leon Kicuła. Mieszkam przy ulicy Podzamcze 3. – W tej samej chwili ktoś krzyknął: – Uwaga, kierowniku, zamykamy! – i zanim zdołałyśmy wykrztusić słowo, ciężkie drzwi towarowego wagonu zasunęły się przed nami. Chwilę potem pociąg ruszył.

\*

Tak było. Nie doszło do pytań i wyjaśnień. Ale po co pytać i wyjaśniać, kiedy wszystko zrozumiałe. Marysia opowiadała nam, że przyszła na dworzec godzinę przed odjazdem transportu, jeden człowiek ją przyprowadził, drugi przesz mugłował do wagonu, jej ojciec zapłacił za ten wyjazd ogromną sumę.

– Może pamiętasz – pytałyśmy – czy jeden z tych mężczyzn był wysoki, czy miał pociągłą, kościstą twarz? Czy nosił kapelusz zsunięty po zawadiacku na tył głowy i stary, niezbyt czysty trencz?

Potrząsała swymi pysznymi lokami – nie pamiętała. Miała piękne kasztanowe włosy i tegoż koloru oczy. Długi czas trzymała się z dala od nas, bała się czarnych włosów Stefy i Elżbiety. Ale potem skapitulowała. Ostatni raz widziałam ją pewnej wiosennej niedzieli. Pracowałyśmy wtedy u bauerów i nosiłyśmy żółte kwadraciki z fioletową obwódką i fioletową literą „P” – *Pole*. Przyjechała mnie odwiedzić. Była smutna, narzekała, że bauer jej dokucza. Odjeżdżała pod wieczór, słońce zachodziło, w jej kasztanowych włosach migotały rudawe błyski. Na pożegnanie objęła mnie, pocałowała.

– A co to ona tak się żegnała, jakbyście już nigdy nie miały się zobaczyć? – zadrwił po jej odjeździe Walenty.

### III

Niemiec, który podszedł do Elżbiety i do mnie, miał przenikliwe, niebieskie oczy i pooraną fałdami, czerstwą twarz. Przez chwilę przypatrywał się nam w milczeniu – przysadzisty, niemłody, w kraciastym kaszkiecie, w butach z cholewami – po czym uśmiechnął się i rzekł, jak gdyby chciał nas zachęcić:

– *Bei uns ist prima!* – Jego uśmiech nie sięgał oczu.

Katarzyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się głupkowato. Dzień był szary, wielki przejściowy obóz, tak zwany *Durchgangslager*, w którym gromadzono transporty zwangsarbeiterów przed wysyłką do pracy, tonął w błocie i mgłach. Na placu przed bramą kolumna dziewcząt szykowała się do wymarszu.

– *Bei uns ist wirklich prima* – powtórzył Niemiec. – *Essen gut, Arbeit gut, alles gut.*

Nie ruszyliśmy się z miejsca, co było dziwne, bo przecież po to wymknęliśmy się z baraku, by jak najszybciej wydostać się z obozu i zniknąć z oczu młodego, grubego chłopca.

To, że nie ruszyliśmy się z miejsca, zniecierpliwiło Niemca. Cienką szpicrutą, której przedtem nie zauważyłam, uderzył kilkakrotnie po cholewie buta. Ale uśmiechu z ust nie zdjął. Nie, powiedziałam sobie, nie pójdziemy. Trzeba zaryzykować. Może tamten chciał nas tylko nastraszyć... Chodzi o trzy, najwyżej cztery dni.

I w tej samej chwili ujrzałam go: stał przed barakiem, który opuściliśmy przed chwilą, i rozglądał się dokoła.

Podniosłam stojącą w błocie walizkę, Elżbieta chwyciła swój tobołek. Niemiec, nie przestając się uśmiechać, szedł w kierunku wyjściowej bramy, ku gromadzie dziewcząt. Nie rób tego, zaryzykuj, mówiłam sobie i szłam, a za mną Elżbieta. Nie wolno ryzykować, nie wolno czekać – odpowiadałam sama sobie i szliśmy dalej. Uderzenie w plecy wepchnęło nas w kolumnę czwórek. – *Neunundneunzig, hundert! Und jetzt ab!* – krzyknął Niemiec.

Maszerowałyśmy szerokim gościńcem, Niemiec wołał raźnie: *eins, zwei, eins, zwei...*

\*

Scena na placu – szybka, krótka – zachowana w całości, a wszystko, co ją poprzedza, podarte na strzępy. Z podróży została ciemność towarowego wagonu, stukot kół bijący w plecy, leżąca obok nas na podłodze Marusia, omotana zwojami paciorków i koralików, które brzęczą i błyszczą. Wodnista zupa na dworcu nie wiadomo jakiego miasta i nazwy dwóch innych miast: Leipzig i Kassel. Tyle. I od razu potem chłopak w drzwiach baraku, widziany z piętrowej pryczy spod sufitu, młody, gruby, z gatunku tak zwanych świńskich blondynów, który spytał: – Czy może u was są te dwie Żydówki, którym udało się przemycić z Polski? Trzeba o nich zameldować komendantowi...

Elżbieta pamiętała: przyjechał tu razem z nami.

Dopiero teraz, w drodze na dworzec, przyszło mi na myśl, że gdyby naprawdę chciał donieść, nie byłby może tego rozgłaszał, ale wtedy, leżąc pod sufitem, postanowiłam nie czekać, aż przyjdzie kolej na tych, którzy posiadają imienne skierowania, tylko natychmiast stąd się wydostać, obojętne dokąd.

W drodze na dworzec, przy akompaniamencie *eins, zwei* zadowolonego Niemca, usiłuję przekonać siebie, że postąpiłyśmy słusznie. Wyobrażam więc sobie, że zostałyśmy w baraku i oto na jego progu pojawia się niemiecki komendant durchgangslagru i mówi... Ale to nie przynosi ulgi, gdyż nie jestem pewna, czy gruby chłopak byłby swą groźbę wykonał i czy aby nie za pochopnie zmieniliśmy trasę podróży, rezygnując z pracy u ogrodnika i restauratora w heskim miasteczku na rzecz jakiejś tam prima-fabryki.

Przy wsiadaniu do towarowej kolejki mignął przed oczyma huculski kożuszek, jeszcze nie widziałam twarzy, ale – choć wiele jest takich kożuszków i różne dziewczyny je noszą – wiem, że to nasza sąsiadka z sammellagru, nikt inny, tylko ona, która była świadkiem, jak nas zabrali na przesłuchanie i na policję. Wydaje mi się nagle, że w miarę jak oddalamy się od Polski, wszystko wokół nas, zamiast rozjaśniać się, wikła się coraz bardziej. Pokonane przeszkody wloką się za nami, rodzą następne, a te, choć przewyciężone, wydają nowe potomstwo. Patrząc na tę młodziutką, różową, słyszę, jak mówi: „byle chłopaka jakiegoś sobie znaleźć”, słyszę jej drobny, dziecinny śmiech. Czy będzie milczała?

Czuję na sobie czyjś wzrok. Niebieskie wielkie oczy patrzą na mnie z wyrazem zaskoczenia. Więc i wy jesteście tutaj? – mówi wzrok Zosi (wciąż jeszcze bezimienniej), więc jesteśmy razem... Obydwie tu są: Zosia i Pola Ukrainka, elegancka i zalotna (ona także jeszcze bezimienna), przyjaciółka – alibi, którego Zosi zazdrości. Nie wiem jeszcze, że Pola Zosię zdradzi.

Pociąg staje. Jest już prawie ciemno. Przy zejściu z wagonu Niemiec podaje mi rękę i mówi: – *Hopla!*

Wlecemy się przez fabryczne miasto, przez brzydkie, fabryczne ulice. Przechodnie nie zwracają na nas uwagi. Horyzont wystrzępiony jest kominami – transporty nie są tu nowością. Nieco dalej, nad rzeką, ciągną się długie szeregi drewnianych baraków. Światła wieczorne rozpraszają gęstą mgłę. Pada brudny, mokry śnieg. Baraki mokną. Bezwiednie skręcamy w ich stronę. – *Halt!* – Nasz kierunek jest inny. Jeden człowiek prowadzi sto dziewcząt przez most na wielkiej rzece. Wokół mostu rozsiadła się półkolem fabryka. Usiłuję uchwycić zapach rzeki, ale ta rzeka nie ma zapachu.

– *Das ist die Ruhr* – mówi Niemiec. – *Wir sind im Ruhrgebiet.*

\*

Obóz mieścił się w jednej, wielkiej hali na tyłach budynków fabrycznych. Ściany wymalowane jaskrawą farbą, w głębi rusztowanie dwupiętrowych prycz, okrągły, żelazny piec pośrodku, długie stoły i ławy, wysokie okna szczelnie zabite deskami i trzy niewielkie umywalki. W powietrzu cienka, lecz natrętna woń ustępu i jeszcze inny zapach, nieznan, który okaże się zapachem fabryki i maszynowych smarów.

Takie jest tło. Na tym tle wszystko wymalowane ostro, dobrego gatunku farbą pamięci, odprysków żadnych nie ma, plam nie ma, są natomiast znaki zapytania. Tło jest nimi gęsto upstrzone. Dlaczego zachował się tak, a nie inaczej? I jaki właściwie był – taki czy owaki? Ile było jego udziału w tej sprawie (o której będzie mowa)? Są to pytania bez odpowiedzi, bo nigdy z *Comme Si Comme ça* nie mówiłam, a o niego tu przecież chodzi, o Niemca o bystrych oczach i czerstwej twarzy, komendanta obozu, Johanna Schmidta, który nazwany przez nas został *Comme Si Comme ça* dla niepoznaki, że o nim mowa, choć co sprytniejszy bez trudu byłby ten szyfr rozwiązał (*comme si comme ça* było ulubionym zwrotem Johanna Schmidta, często i w różnym odniesieniu stosowanym). Może jedna Paraska znałaby na te pytania odpowiedź, ale gdzież tu Paraski szukać? I ona mu pewnie tego rodzaju

pytań nie stawiała.

Więc takie jest tło wypadków tak zwanej naszej sprawy, która rozpocznie się już za chwilę, już tego pierwszego wieczora, bez zwłoki, jak gdyby nic pilniejszego nie istniało... Przy kolacji się rozpocznie, nad miską brukwiowej zupy, która – mdła i słodkawa – z trudem przechodzi przez gardło. Marusia mi powiedziała. Paciorki iskrzyły się wokół jej szyi, oczy zielone jak u kota patrzyły z wielką ciekawością. A ja, usłyszawszy jej słowa, głośno się roześmiałam.

Za chwilę, za chwilę. Na razie Schmidt musi wygłosić powitalne przemówienie. Głosem, który stracił łagodne brzmienie, mówi o doniosłości pracy, jaka przypadła nam w udziale, o bezwzględnym posłuszeństwie i dyscyplinie, i o karach za najmniejsze przewinienia. (Wtedy to po raz pierwszy zawoła „*nichts comme si comme ça!*”, okrągłym ruchem ręki wsuniętej do kieszeni ilustrując akt kradzieży.) Przechadza się prężnym krokiem przed gromadą ze wsi przywiezionych dziewcząt (innych jest mała tylko garstka), a one – w sutych, szerokich spódnicach, w kubrakach i chustkach – patrzą na niego osowiałe, nierozumiejące ani słowa. Takim samym wzrokiem patrzy nań Katarzyna i ani drgnie, gdy Schmidt, skończywszy mówić, zapyta: „Kto przetłumaczy?”, i na nią spojrzy.

Za chwilę, nad miską brukwi... Już kotły są na sali, już obległ je zgłodniały tłum.

Stałam na uboczu i mówiłam Katarzynie: pchaj się, rozbijaj łokciami, musisz zachowywać się tak jak inne – gdy nagle spostrzegłam wysoką kobietę w czerwonej flanelowej bluzce. Stała lekko zgarbiona, jak to często robią osoby wysokiego wzrostu, jej czarne włosy sięgały ramion. Pomyślałam, że przypomina dużego, czarnego ptaka. W pierwszym odruchu chciałam do niej podejść (tak jakbym przeczuła naszą przyjaźń) – nie uczyniłam tego. Nie wiem, czy mnie nie zauważyła, czy tylko nie chciała mnie widzieć. Ktoś zawołał: – Stefa! – Podeszła do drobnej dziewczyny o figlarnych oczach, która podała jej miskę zupy.

Stałam jak wryta. A więc – czwarta!

Siedzimy rozproszone, każda przy innym stole. Jest to pierwszy wspólny posiłek, rozmowy o domu, o rodzinie, żale, że taki spotkał los. Z nagłą, gwałtowną nadzieją myślę: dotarliśmy, wszystko się ułoży, znajdziemy drogę do tych dziewcząt, wspólny los nas połączy.

Marusia podeszła, nachyliła się, zwoje paciorków zaświeciły, zabrzęczały. Całą drogę przebyliśmy razem w pociągu, który nas wiozł z Polski, nocami płakała z tęsknoty za domem w podgórskiej wiosce i odpędzając złe duchy, żegnała się trzykrotnie, za dnia mówiła: „Módlmy się, żeby nas bomby nie zabiły”.

W jej zielonych oczach nie ma uśmiechu.

– Kasiu, chcę ci coś powiedzieć – szepce. – Dziewczęta powiedziały komendantowi, że wy Żydówki.

Roześmiałam się głośno śmiechem rozbawionej tymi słowami Katarzyny, długo się śmiałam, a potem spytałam ostro:

– Które to powiedziały? Pójdę z nimi do komendanta... Widział kto takie kłamstwa rozpowiadać?...

– Są tu dziewczyny, co widziały, jak was zabierali na przesłuchanie, na policję...

– I co z tego? Puścili nas wolno – Żydówek nie byliby przecież wypuścili.

– Kasiu, ja tam nie wiem, tu różnie mówią i nie tylko o was, o innych także. Chciałam, żebyś wiedziała...

– A niech sobie mówią, Marusiu, na ludzką głupotę nie ma rady.

Dziewczyna w huculskim kozuszku siedzi przy sąsiednim stole, okrasza brukiew kostkami domowej słoniny. Śmieje się. Śmieszka taka.

Potem leżałyśmy, milcząc, na naszych parterowych pryczach, ukrytych w ostatnim rzędzie pod ścianą. Sala pustoszała, cichła, słoma szeleściła w siennikach.

W drzwiach zazgrzytał rygiel, to wrócił komendant – Johann Schmidt.

– O piątej pobudka, o szóstej zaczynacie pracę. A teraz cisza! *Ruhe!*



Spod przymkniętych powiek śledzę jego kroki wzdłuż szeregu dwupiętrowych prycz. Przystanął. Odszukał nas w tym ciemnym, dusznym kącie. Stoi w przejściu, patrzy. Oddycham równo, spokojnie, udaję sen.

\*

Trzask kontaktu i odgłos zamykanych drzwi służbowej izby.

Ciemność głośna od oddechów. Ktoś we śnie jęczy, ktoś wzdycha, zanosi się szlochem. Sienniki chrzęszczą. Budzę się z twardego, męczącego snu. Mięśnie mam obolałe, w ustach mdły smak wieczornej zupy. Na sąsiedniej pryczy zmęczona twarz uśpionej Elżbiety.

Stało się coś złego – ale jakie to zło, nie mogę sobie przypomnieć. Świadomość wraca jednym skokiem, jednym słowem: wiedz ą. Duszno od tej myśli. Wstaję, wąskim przejściem pomiędzy pryczami przeciskam się na środek sali. Piję wodę z kranu, chłodzę rozgrzaną twarz. To mógłby być sen, ale nie jest. Siadam na ławce – jeziorka rozlanej zupy połyskują na stołach, powietrze gęste, dławiące. Już kiedyś gdzieś tak siedziałam, na próżno starając się myśleć... Tylko spokojnie, bez paniki (potem będę mówiła: bez teatru), mamy metryki, mamy dokumenty. Jak przychodzi do pokazywania metryk, to jest już bardzo źle... Dawny, daleki głos pani Kasińskiej, w klasztornym zaułku szumią drzewa, cienki dzwonek dzwoni... „«tam» nic wam już grozić nie będzie, chyba że bomby...” Musisz spać – mówię do siebie (znów sama ze sobą rozmawiam) – wypocząć, jutro będziesz myślała.

Kiedy wracam na pryczę, Elżbieta nie śpi – i nie jest sama. Na moim posłaniu ktoś siedzi.

– Pomyśl, Kasiu, jest tu ktoś z naszego miasta.

W głosie Elżbiety wyczuwam wielkie zdenerwowanie zamaskowane głośnym, radosnym tonem.

Dziewczyna milczy. Zaczynam więc ja: – O Boże... z naszego miasta, jak to dobrze spotkać tu kogoś z rodzinnych stron. – Mój głos, podobnie jak Elżbiety, jest pełen fałszywej radości. Nigdy nie brałaś tej możliwości pod uwagę – dlaczego? Co to za dziewczyna? Skoro pochodzi z naszego miasteczka, na pewno wie, kim jesteśmy.

– Ja także ucieszyłam się, jak mi powiedziano, skąd wy jesteście... – wolno, z namysłem. Ciemny, niski głos. Nigdy nie słyszałam tego głosu. Poznała nas? Czy też dowiedziała się, skąd pochodzimy, tu wszystkie rozmowy zaczynają się od pytania skąd, z jakich stron.

– Jak ty się nazywasz? Może znamy się... w ciemności trudno rozpoznać.

Nieprawda – widzę jej twarz, jej obcą twarz.

– Nie... – mówi dziewczyna – ja was nie znam. – Czyżby nie chciała nas niepokoić? Delikatna?

– Widziałam, że nie śpisz, więc przyszłam. Ja także nie mogę spać. Nazywam się Helena Pajączkowska, mieszkam na Przygródku, w tych domkach, co stoją nad stawem.

(...i staw natychmiast przed oczyma, gładki, ścięty niebieskawym lodem ślizgawki omiecionej ze śniegu, na której co dzień po szkole, na łyżwach, tuż pod oknami domków stojących na brzegu...)

– Mój wuj Wasyl ma restaurację przy głównej ulicy, może znacie? To mamy brat, bo mama Ukrainka, a tato Polak.

Teraz powinna spytać o nasze nazwiska i adresy. Nie pyta. Mówi: – Przeniosę się bliżej was, razem będzie weselej. Zabrali mnie tak, jak stałam, nawet sukienki nie mam na zmianę ani koszuli. Mama miała przynieść walizkę na dworzec, ale widać nie zdążyła.

– Nie martw się – mówimy – podzielimy się z tobą. I przeprowadź się do nas, obok Elżbiety jest wolna prycza, razem będzie weselej.

– Dacie mi co? Naprawdę? Nie ma to jak ktoś z rodzinnych stron, zawsze poratuje.

Usiłuję uchwycić się jej ostatnich słów, uciszyć nimi nieufność – wymykają się, śliskie, gładkie, pozbawione wagi. Nie śpimy. Spokojnie przemyślana wizyta Heleny Pajączkowskiej nie wydaje mi się

całkiem zrozumiała. Nie wierzę też, że nas nie zna. Dlaczego przyszła w środku nocy? Dlaczego o nic nie pytała?

Nad ranem mówię do Elżbiety: – Ona wie. I przyszła tylko po rzeczy.

\*

– *Aufstehen!* – to Schmidt woła. Codziennie będzie nas budził tym samym wołaniem, najpierw sam, potem na zmianę z Ghandim i Müllerem, każdy z nich wołać będzie to słowo na swój sposób – Ghandi cienko skrzecząc, Müller łagodnie, Schmidt ostro, tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Na sali pali się światło. Poranne wstawanie setki dziewcząt już się rozpoczęło. Cierpka woń spoconych ciał. Dziewczęta siedzą na pryczach, zaplatają warkocze, wiążą chustki, zapinają kubraki. Mają obrzmiałe ze snu twarze. Blaszane miski brzęczą dokoła kotłów z kawą, która podobnie jak tutejsza rzeka pozbawiona jest wszelkiego zapachu. Przed ustępem długa kolejka – ustęp jest tylko jeden.

Środkiem sali Schmidt przechadza się w swoim kraciastym kaszkiecie, w wysokich butach, z cienkim na wargach uśmiechem, który nie sięga oczu. Oczy biegają po sali czujne, przenikliwe. Długo chłodzę twarz pod strumieniem zimnej wody.

– *Na Katharina, gut geschlafen?*

Głos brzmi łagodnie, jak wtedy, gdy mówił: *Bei uns ist prima.*

– *Gut.*

– Mówisz po niemiecku?

– *Nix gut.*

– A twoja koleżanka? Też nie? Szkoda. Jest tu kilka osób, które władają niemieckim – dostaną lepszą pracę. Myślałem, że i wy... Wyglądacie na inteligentne dziewczęta.

– *Nix verstehen, schnell sprechen.*

– *So, so... Nix und nix* – roześmiał się (a Katarzyna wzruszyła obojętnie ramionami, przywłaszczyła sobie ten ruch, zbyt często go powtarza).

Patrzyłam za Schmidtem, widziałam – podszedł do Stefy. Słyszałam, mówiła płynnie po niemiecku. Wyższa od Schmidta, spoglądała na niego z góry, spokojna, pewna siebie. Ona nie gra, pomyślałam, została sobą.

W przejściu między pryczami klęczą dziewczęta. Klękamy także, każda obok swego legowiska. Tuż obok mnie żegna się zamaszystym krzyżem Hania Hucułka. Ma nalaną, wielką twarz, dobrotliwy uśmiech, jest bardzo pobożna. W nocy długo słyszałam jej modlitewny szepc.

Nie mogę się modlić – nie umiem. Zakrywam twarz dłońmi i szepcę: musi się udać, musi się udać. W pewnej chwili zdaję sobie sprawę, że słowa „musi” nie ma w żadnej modlitwie, szepcę więc, żeby przeżyć, żeby przeżyć...

Z kawy musiałyśmy zrezygnować, nie sposób było dostać się do kotła. A że kostkę margaryny i chleb przeznaczony na śniadanie zjadłyśmy wieczorem, idziemy do pracy na czczo. Wychodzimy. Siąpi deszcz, zimno przejmujące. Pod nogami błotnisty śnieg.

– *Die neue hundert?* – pyta strażnik, wychylając łysą głowę ze swej budki.

– *Jawohl Max, prima Sort!*

\*

Światła są przyćmione, maszyny milczą. Jest przerwa między nocną a dzienną zmianą. Fabryka drzemie, tajemnicza w półmroku, niewyraźna w pamięci, zapamiętana fragmentami, urywkowo. Tylko ślusarnia, a potem oszklona klitka nad halą maszyn mają wyraźne rysy i także fragment schodów ze

schodzącą po nich Zosią w towarzystwie Niemca. Jako całość fabryka nie istnieje, nie wiadomo nawet, czy wielka była, średnia, mała? Chyba średnia, *Rüstungsbetrieb* – części składowe samolotów, granaty, pociski... I trzy obozy do niej należące: Rosjanek w barakach nad Ruhrą („Rosjanki znad rzeki”, mówiliśmy o nich), nasz obóz i obóz karnej kompanii Francuzów, jeńców wojennych, zamkniętych w fabrycznych suterrenach.

Rankiem defilował przez hale, sale i biura w czarnym ubraniu młody właściciel, z okrągłą, gładką twarzą, czarne, jakby przylizane włosy, czarna teczka w rękę i ołówek – zapisywał, sprawdzał, kontrolował, przez cudzoziemców patrzył na wskroś, jak gdyby byli ze szkła, dziewczęta mówiły: wygląda jak Żyd.

Ale samo wejście do fabryki tego pierwszego ranka zapamiętane dokładnie, zwłaszcza spotkanie z Francuzami na dziedzińcu, gdzie w mroku majaczyły wzgórze brukwi, pokarm naszego i ich obozu. Wracali z nocnej szyci do swego zamknięcia. Na drelichach wypisane mieli wielkie litery K i G, na szyjach czerwone, fantazyjnie zawiązane chusteczki. Ich wołania pamiętam: *bonjour mesdemoiselles*, *bonjour mes belles*, i radość dziewcząt, że takie są tu wesołe chłopaki. I już rozpoczęły się na migi rozmowy i żarty, gdy nagle padło francuskie pytanie, od razu odgadłam – to pytała Stefa: – *Est-ce que vous êtes ici depuis longtemps?*

Wtedy francuscy jeńcy jak jeden od dziewcząt się odwrócili, otoczyli Stefę i parują, parują, a dziewczęta same, zapomniane, opuszczone, patrzą zawistnym wzrokiem: – Francuzica się znalazła... Gdzie tam Francuzica, nie widzisz, jaka czarna, ona kogo innego przypomina...

Bardzo wyraźna ta chwila na ciemnym, fabrycznym dziedzińcu u stóp wysokich wzgórz. A Stefa jakby nie dosłyszała tych słów, dalej spokojnie rozmawia po francusku. Ja znów do siebie zdumiona: została sobą, nie gra.

\*

Większość dziewcząt już odeszła, Elżbieta także – została tylko niewielka grupa czekająca na przydział pracy. W tej grupie była Marysia. Żaden szczegół jej urody nie nasuwał podejrzeń, była w swoim wyglądzie nienagannie doskonała i to w sposób najlepszy, bo naturalny, nierzucający się w oczy. Wcale nie była jasna – włosy koloru kasztanów, bujne, gęste, oczy koloru kasztanów, drobne rysy. Jej okrągła, nieco dziecinna twarz przyciągała wzrok ujmującą, skromną urodą. A jednak odgadłam ją na pierwsze wejrzenie i ona odgadła mnie także. Żachnęła się, odwróciła. Wyczułam: była zła. Patrzyłam na nią, nadąsaną, na jej delikatny profil, na jasnoniebieski kłoszowy płaszcz doskonałego kroju („nie miałam innego”, powie potem), na narciarskie buciki i myślałam, że to piąta i kto wie, czy ostatnia...

Siwa Niemka stanęła u wejścia do hali. – Przyszłam po kreślarkę – powiedziała. Schmidt z uśmiechem wskazał na Marysię, która podeszła do Niemki i rzekła głośno, szkolną niemczyzną: – *Ich bin eine Zeichnerin.* – Przypomniała mi się nagle Stefa – nie było jej wśród nas. Stefa siedziała już w biurze, przy maszynie do pisania.

\*

Schmidt zaprowadził mnie do ślusarni. Znajdowała się na parterze, w niewielkiej ponurej hali. Przy wąskim pulpicie biegnącym wzdłuż okien pracowało kilku majstrów, środek hali zajęty był przez maszyny, w głębi żarzyło się ognisko kuźni. Za oknami przepływał fabryczny kanał – woda tłusta, mętna, żółtawa. W przyszłości często wymykałam się za drzwi, siadałam na kamiennym ocembrowaniu i wahałam, jak pachnie „rzeka”. Odstała woda zalatywała wonią rozlewisk małej, leniwej rzeczki, wmawiałam sobie, że siedzę na jej brzegu.

Na gromkie *heitla* Schmidta oderwał się od pulpitu niskiego wzrostu majster i pokuszył ku nam. Jedną nogę miał krótszą i to ona zapewne ocaliła go przed frontem. Był młody, silnie zbudowany, proste, słomiane włosy opadały mu na czoło, odrzucał je nerwowym ruchem głowy. Poruszał się szybko, zwinnie.

– To jest Katharina – powiedział Schmidt – będzie u ciebie pracowała, mam nadzieję, że będziesz z niej zadowolony.

Odciągnął majstra na bok, szepnął coś do ucha. Dopiero wtedy tamten na mnie spojrzął – zaniepokojony, bez uśmiechu, w przeciwieństwie do Schmidta, który głośno się roześmiał. Nigdy nie dowiem się treści tego szeptu. Widzę Katarzynę stojącą z obojętnym wyrazem twarzy (znów objawiła się u niej ospałość – przywdziała ochronny pancerz), widzę błysk ciekawości w oczach majstra Glatke, słyszę śmiech Schmidta (jaki to śmiech – nie wiem) i szept: – Mówią, że to Żydówka...

W nocy długo pytałam siebie i Elżbietę o ten szept, dźwięczał natrętnie słowami, których – nie słysząc – byłam pewna.

Schmidt odszedł, a Glatke jeszcze słowa nie powiedział, stoi oparty o pulpit, ręce skrzyżował na piersiach, przygląda się Katarzynie. Inni majstrzy też się jej przyglądają niepozabawionym życzliwości wzrokiem.

Za oknami żółta woda, ślepy mur.

– Najpierw musimy się zaznajomić – odzywa się wreszcie Glatke i energicznym ruchem głowy odrzuca z czoła włosy. – Może opowiesz mi trochę o sobie. Skąd pochodzisz, co robią twoi rodzice? Nie rozumiesz? – dziwi się i cierpliwie tłumaczy: – *Deine Eltern, Vater, Mutter...*

– *Vater Bombe kaputt, Mutter tot.*

(Nasze matki umarły, nasi ojcowie zginęli, zaginęli na wojnie, przebywali w niewoli, bomby ich zabiły. Nikt się nami nie interesował, nie miałyśmy bliskich, nikt nie przysyłał nam paczek, nikt do nas nie pisał, od czasu do czasu tylko pojawiał się jakiś sporadyczny list...)

Ojciec w piwnicy pszczelarza, od śmierci matki minie wkrótce rok, mały, pusty pokój, wąskie łóżko pod ścianą – nie myśleć, nie myśleć...

– Ojca bomba zabiła, matka nie żyje – mówi Katarzyna oschłym tonem, nie odrywając wzroku od żółtej wody, mówi oschle, wie, że zaraz za jej plecami jeden z majstrów powie: *ein armes Mädchen*, i rzeczywiście ktoś się odzywa: *ein armes Mädchen*, wzrusza więc znów ramionami, odgradza się od litości.

– Masz brata? Siostrę?

– *Nix.*

– Jesteś więc całkiem sama, *ganz allein auf dieser Welt*. – W głosie majstra Glatke nie ma współczucia, Katarzyna patrzy mu teraz prosto w oczy i uprzejmie uśmiechnięta wygłasza swoje *nix verstehen*. Glatke o nic więcej nie pyta, ale będzie jeszcze pytał, nie raz i nie dwa.

Do moich obowiązków należy sprzątanie ślusarni, wywożenie wózkami odpadków żelaza i opiłków zaśmiecających podłogę, czyszczenie smarem maszyn.

– Komendant Schmidt powiedział, że jesteś inteligentną dziewczyną, więc chyba podołasz tej pracy. Chwytam za miotłę, zamiatam drobny, lśniący pył.

\*

Podczas przerwy pobiegłam na poszukiwanie Elżbiety. Nie zbliżę się do niej, chcę tylko wiedzieć, gdzie pracuje.

Na pierwszym piętrze, wśród błyszczących płyt stalowych natknęłam się na Zosię – przystanąłyśmy równocześnie, w pobliżu nie było nikogo. Patrzyła na mnie niebieskim, zalęknionym spojrzeniem.

– Czy wiesz, że o was doniesiono już Schmidtowi? Co zrobicie?

– Nie wiem... Na razie nic, nie wiem...

– Czy on już was zawezwał?

– Nie... jeszcze nie...

– Za dużo jest nas tutaj, to bardzo źle... O innych też już wiedzą – wpadniemy wszystkie...

Ktoś nadszedł, powiedziałam głośno: – Zastrana robota – i Zosia powtórzyła za mną: – Zastrana.

Błyszczące płyty odbijały nasze twarze – zdeformowane, pokraczne.

Elżbietę zastałam na trzecim piętrze przy ziejącej iskrami maszynie, której przeznaczenia nie umiałam odgadnąć. Siedziała usmolona w towarzystwie kilku innych usmolonych dziewcząt. Przeszłam obok bez słowa.

\*

Na obiad wróciłyśmy do lagru. Znów most i rzeka, potężne drzwi, za drzwiami zaduch, pod ścianą kocioł z brukwią i kucharka z chochlą w ręku. Obok kucharki Schmidt.

Dlaczego nas nie wzywa, nie żąda wyjaśnień, dlaczego milczy? – Ma czas – mówi Elżbieta – i tak nie możemy stąd uciec. – Dlaczego? Dlaczego nie możemy stąd uciec? – a Elżbieta: – W jaki sposób, dokąd? – Słowo „ucieczka” już pierwszego dnia.

Przy kotle tłok taki jak wczoraj, bez silnych łokci do brukwi nie dotrzesz, a głód ściska w dołku i nogi słabe. Natomiast przy umywalkach pusto, tylko kilka dziewcząt myje ręce. Pola, wytworna w popielatym futerku, starannie umalowana i uczesana, jakby nie z fabryki wróciła, inna od innych, widoczna z daleka. Ale inna na swój, nie na nasz sposób, odbija od tła ubiorem zdradzającym wyższe społecznie środowisko – niczym więcej. Ta inność jej wcale nie szkodzi, przeciwnie, imponuje i onieśmiela. Dziewczęta schlebiają jej od pierwszej chwili. Z zapartym tchem słuchały wczoraj zawikłanego życiorysu raz rozwódki, to znów żony volksdeutscha przez omyłkę wywiezionej na roboty, chwilowo tylko przebywającej w obozie, który wkrótce ma opuścić: czeka na nią posada w pensjonacie kuracyjnej miejscowości. Słuchały z zachwytem, patrzyły z zachwytem. Pola jest od pierwszej chwili królową lagru. Ładna – skośne oczy, wystające kości policzkowe – pełna uroku, bardzo kobieca. Że także chytra i perfidna, dowiem się później od Zosi.

Obok Poli stoi mała, przysadzista osóbką z zadartym nosem, figlarnie wesoła. Poznają ją – to przyjaciółka Stefy, widziałam ją wczoraj. Zawzięcie szoruje brudne od smarów ręce.

– Cholera, paskudztwo takie! Myję i myję, a ręce czarne...

Patrzyłam na nią zdumiona. Jaka świetna twarz i jaki fatalny akcent!

Paraska była jedyną, której nie poznałam z miejsca (nie licząc tej, która ukryta była pod wielką kraciatą chustką i której nikt nie rozpoznał), ginęła w wiejskim tłumie. To nie sznurowane wysokie buciki – nosiłyśmy podobne – nie długa, marszczona spódnica, sweter szary z owczej wełny... Może chód? Może sposób bycia? Pochodziła z pogranicza wsi i małego miasta i tylko akcent ją zdradzał. Nie miała na tym tle żadnych kompleksów – gadatliwa, cięta w języku, najweselsza dziewczyna na sali, beztroska prawie... Czasami mówiła: „ach, co wy tam o mnie wiecie”, i machała lekceważąco ręką. I tylko wtedy wyglądała jak zatroskana, zbiedzona Żydówka z małego miasteczka.

\*

Wieczorem, kiedy już leżałyśmy z Elżbietą na pryczach, przyszła do nas Helena Pajączkowska. Przyjrzałam się jej teraz dokładnie. Była to dobrze zbudowana blondynka o niebieskich, głęboko osadzonych oczach i ładnej, nieco wulgarnej twarzy. Miała cerę nieczystą, tłustą. Nie znałam jej. Natychmiast spytała o obiecane rzeczy. Otworzyłam walizkę, Elżbieta tłumoczek. Niewiele w nich było, gdyż niewiele rzeczy mogłyśmy ze sobą zabrać, a te lepsze, nadające się do spieniężenia,

zostawiłyśmy u Halinki. Rozczarowała się zawartością. – Myślałam, że macie więcej i jakieś elegantsze... – Starannie obejrzała sweter i bluzkę, przymierzyła sukienkę i odeszła mimo wszystko zadowolona, zapowiadając, że jeszcze tego wieczora przeniesie się na wolną pryczę obok Elżbiety.

O dziesiątej Schmidt zgasił światło. Po godzinie wstałam, by zobaczyć, co z Heleną. Ale ona już spała. Nie przeniosła się do nas ani tej nocy, ani następnego dnia, ani później. I jak gdyby znikła nam z oczu.

To my – po kilku tygodniach – opuściłyśmy nasz kąt i przeprowadziłyśmy się w jej sąsiedztwo. Nie miało to jednak żadnego związku z osobą Pajęczkowskiej, przypadek sprawił, że właśnie pod jej pryczą były wolne miejsca. Przeprowadzka nasza była wynikiem wypadków, które powoli, lecz konsekwentnie prowadziły nas w nieszczęście.

\*

Powoli, lecz konsekwentnie rozwijała się „nasza sprawa”, już nie tylko moja i Elżbiety, ale wspólna nam wszystkim, o wszystkich bowiem wiadomo już było na sali, a więc także Schmidtowi.

Dni płynęły niby spokojnie, niby nic złego się nie działo – nic konkretnego, a jednak... A jednak atmosfera na sali była napięta, czuło się podskórny, niespokojny nurt. Były szepty i uśmiešky, zbyt jasne, by można było się ludzić, czasami niechęć i złość tryskały gwałtownie – ułamek sekundy dzielił od słowa „Żydówka”. Jeszcze nie padło ono głośno ani razu, nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości: stosunek do nas był wrogi, zaczepny, a przepaść, jaka nas – mimo wysiłków – dzieliła od innych, powiększała się z dnia na dzień. Byłyśmy z miasta, a nie ze wsi, byłyśmy „panie”, mimo że chętnie służyłyśmy pomocą, myłyśmy często ręce, czyściłyśmy co dzień zęby, Stefa i Marysia siedziały w ciepłych, czystych ubiorach, a Pola – mówiono – taka elegancka przy maszynie. Komendant z nimi rozmawia – mówiono – łaskawy jest dla nich, a na nas nie spojrzy, wkradły się w jego łaski...

Kilka dziewcząt z miasta nie ratowało sytuacji. Staraliśmy się niczym nie wyróżniać, zniknąć w tłumie. Może w tym tkwił błąd? Nie wiem...

Czym tłumaczyć wypadki następnych tygodni? Tłumaczyłyśmy je wtedy głupotą tych, które przyłożyły do nich rękę. Być może nie zdawały sobie sprawy, że wydają na nas wyrok. Ich reakcja w ostatnim dniu zdaje się na to wskazywać. Być może nie były złe. Ale tkwił w nich głębokim korzeniem gąszcz ślepej nienawiści i przez tę puszcę pierwotnych instynktów nie sposób było się przedrzeć – ani słowem, ani sercem.

\*

Było niedzielne popołudnie, ostatnie dni listopada. Elżbieta mówiła: listopad przeżyliśmy, może i grudzień przeżyjemy. Elżbieta wierzyła, że w styczniu skończy się wojna. Leżała na pryczy, pod głową miała wypchaną słomą małą poduszkę z naszytym na niej ręcznikiem – imitacją powłoczki. Mówiła głosem cichym, przeczącym jej wierze w bliski koniec wojny. Była apatyczna. Po powrocie z fabryki kładła się i leżała z zamkniętymi oczyma lub wyciągała pęk fotografii zabranych wbrew rozsądkowi z domu i wpatrywała się długo w każdą z nich. Uciekała w przeszłość, uciekała do domu. Prosiłam: – Wstań, usiądź przy stole razem z dziewczętami, niedobrze tak od nich stronić. – Ale ona mówiła: – Jestem z nimi przy pracy, to wystarczy, idź sama.

Wielki piec ustawiony na środku sali obsiadły wiankiem dziewczęta. Tu spędzają czas wolny od pracy – śpiewają, piszą listy, w niedzielę odprawiają nabożeństwa i prowadzą długie, niekończące się rozmowy o tym, jak było w domu.

– Panno Kasiu, napiszcie dla mnie list...

To najmłodsza na sali, trzynastoletnia Ania, która przyjechała w zastępstwie starszej siostry. Ma lniane włosy, twarzyczkę dziecka, czerwone, odmrożone chyba policzki.

Piszę: „W pierwszych słowach mego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...”, stawiam duże, koślawe litery, ale Ania i tak dziwi się mojej biegłości. Sama nie umie ani czytać, ani pisać, nie było czasu na szkołę – krowy trzeba było paść, u sąsiadów pracować dla zarobku.

– A wy listu nie piszecie?

– Już napisałam.

– Do rodziców?

– Nie mam rodziców, jestem sierota.

– Panno Kasiu... – mówi wyraźnie onieśmielona – ja chcę was o coś spytać.

– Co takiego?

– Mówili, że wy... i ta druga, i jeszcze jedna, taka wielka, czarna, i jeszcze...

– Że co?

– Ano, że Żydówki. – Oczy Ani, niebieskie jak niezapominajki, patrzą na mnie z ciekawością dziecka.

– Eee, bujdy pletą, w głowach im się pomieszało, kto by w takie gadanie wierzył.

Ania oddycha z ulgą.

– Pewnie im się pomieszało. Żal by mi było, wy całkiem podobna do córki nauczyciela w naszej wsi. Ja Żydów nie lubię...

– A dlaczego? To tacy sami ludzie jak inni.

Ania śmieje się: – Teraz to wam się w głowie pomieszało.

\*

Tak więc dni niby spokojne, a pełne niepokoju i niepewności, grunt grząski, posiekany ścieżkami domysłów i kalkulacji. Rozszczepiamy strzępki zdań, spojrzenia, uśmiechy, oglądamy je pod lupą i czekamy. Uczucie osaczenia w tych pierwszych dniach, pytanie: co dalej?

Schmidt mnie zawołał, powiedział: – Włóż płaszcz, zaczekaj pod drzwiami, *schnell, komm...* – Dokąd? – spytałam i odpowiedź wprawiła mnie w zdumienie, bo Schmidt mówi: *spazieren*, słowo, które nie istnieje w lagrowym słowniku, na razie przynajmniej, dopóki nie zaczną wydawać niedzielnych przepustek. Nikt tu jeszcze na spacer nie chodził, jedna jedyna Pola dostała raz przepustkę i wyjechała gdzieś w sprawie posady w pensjonacie. – *Alle spazieren?* – Nie wszystkie, kilka dziewcząt.

Nie mam ochoty na taki spacer, nie chcę należeć do wybranych. – *Loos, loos!* – teraz już ostro, rozkazującym tonem.

Wkładam płaszcz, wiązę pod brodą chustkę. Przy drzwiach stoi Marysia – nikt więcej. A inne? Innych nie ma – tylko my dwie. Marysia szybko, cicho: – Że też akurat nas wybrał... – Powietrze odurza. Rzeka bełkoce, niewidoczna w ciemności, ulice ledwie że oświetlone i puste. Brzydota.

– Dużo czasu nie mamy, *ein kleiner Spaziergang*, trochę świeżego powietrza – nie wiadomo (a może wiadomo?) dlaczego śmieje się Schmidt i pyta: – Powiedzcie, podoba wam się tu? Jesteście zadowolone? – Nieprzypadkowo wybrał nas dwie, myślę. Nie, nie podoba nam się tutaj. Chcemy do domu. Tęsknimy. Chcemy wrócić.

Marysia mówi szkolną, poprawną niemczyzną, podkreśla, że niemieckiego uczyła się w gimnazjum. Niebieski kloszowy płaszcz, narciarskie buciki, czapeczka z kolorowej włóczki ręcznie zrobiona. *Ich bin eine Studentin, ich habe Architektur studiert*. A ja w chustce mocno pod brodą związanej, płaszcz rzemiennym paskiem opasany i *nix gut verstehen*. Jedna prawdziwa, druga przebrana – a wszystko na nic.

– Wy także nie macie rodziców? – dziwi się Schmidt. – Tyle sierot... Stefanie, ta, która pracuje w biurze, i jej mała, wesoła koleżanka – one również nie mają rodziców.

W małym, ciemnym sklepiku Schmidt kupuje gazety i papierosy, a my papier listowy – najmniej potrzebny nam sprawunek. Właściciel pyta: – Polki? – i Schmidt potakuje: – Tak, tak, Polki. – W powrotnej drodze, na moście spotkaliśmy Rosjanki wracające do baraków nad Ruhą.

– One chodzą już same, bez opieki, są tu od kilku miesięcy. Ale i wy będziecie mogły wkrótce swobodniej się poruszać. Musimy tylko zrobić w lagrze porządek. *Ordnung. Ordnung muss sein.* Mówią, że w lagrze są Żydówki – kilka sztuk...

– *Unmöglich* – zawołała Marysia.

– *Juden nix Deutschland, Juden Ghetto* – ja zawołałam.

– Możliwe, że to plotki, ale to trzeba wyjaśnić. W najbliższym czasie sprawa ta zostanie dokładnie zbadana, dokumenty sprawdzone. Fałszywe dokumenty! *Eine Frechheit ist das! Eine jüdische Frechheit!* Odeśle się je tam, skąd pochodzą, albo też zrobi się z nimi porządek tutaj, na miejscu.

Stoimy u wejścia do obozu, zza drzwi dobiega stłumiony gwar.

– No, ładnie było na spacerze?

– Bardzo ładnie.

Nie zamieniamy z Marysią ani słowa, idziemy na swoje prycze.

– Wiesz – wita mnie Elżbieta – mówiono już głośno... tam, przy piecu...

– O której?

– Ogólnie. A on?

– Mówił, że wie i że trzeba z tym zrobić porządek.

Postanowiłam porozmawiać ze Stefą. Ubiegła mnie. Jeszcze tego samego wieczora przyszła do naszego kąta. Z pryczy Hani dobiegało głośne chrapanie, mogłyśmy swobodnie rozmawiać.

– Już od dawna chcę z tobą pomówić.

– Ja także.

– Jesteśmy w tej samej sytuacji. I Schmidt podobno o nas wie...

– Wie na pewno. Powiedział to Marysi i mnie bez ogródek.

– Na sali też była o tym mowa.

– Trzeba stąd uciekać.

– Myślę, że na ucieczkę jest czas. Mam wrażenie, że to się uspokoi.

– Jak to, uspokoi? Przecież on wie. Nie zdajesz sobie sprawy, co to znaczy? Czym to grozi?

– Jest nam raczej przychylny.

– Ach, nie wierzę w tę jego przychylność, nie mam do niego zaufania. Nie wiem, co się za tym kryje. Boję się jego przychylności. Powiedział nam dzisiaj wyraźnie, że ta sprawa zostanie w najbliższym czasie dokładnie zbadana, że sprawdzą nasze dokumenty i odeślą nas do Polski albo tu, na miejscu, zrobią z nami porządek – tak to określił. Trzeba uciekać.

– Zaczekajmy jeszcze. Jestem przeciwna improwizacji. Dokąd uciekać? Dokumenty są u Schmidta. Uciekać bez dokumentów? Musimy informować się wzajemnie o każdym spostrzeżeniu, trzymać się z daleka jedna od drugiej. Zaczekajmy jeszcze. A potem – zobaczymy...

Po rozmowie ze Stefą czuję ulgę, mimo że jej argumenty nie trafiły mi do przekonania. Ale Stefa jest bardzo spokojna i zrównowazona, w przeciwieństwie do mnie, kąpanej w gorącej wodzie – więc może rzeczywiście ma rację? Chciałabym bardzo, żeby ją miała, ale nie wierzę.

\*

W najbliższą niedzielę Schmidt rozdał dziesięć przepustek. Wśród uprzywilejowanych było sześć „naszych”, czyli „miejskich” według szyfru, w którym określenie to zastąpiło słowo „Żydówki”.



Początkowo chciałam odstąpić swoją przepustkę Hani – sąsiadce, ale nie zrobiłam tego. Postanowiłam poznać teren.

Dziewczęta poszły do lasu na spacer, my dwie do miasta. Po chwili dogoniły nas Zosia i Anielka, brzydka dziewczyna, której oczy ukryte były za grubymi szklami silnego krótkowidza. Była jedyną, która od pierwszej chwili w jawny sposób okazywała nam życzliwość i przyjaźń. Robiła to w sposób naturalny i dyskretny, o nic nigdy nie pytając.

Krążyłyśmy bez celu po szarych, monotonnych ulicach. Nie byłam ciekawa tego miasta, chciałam je tylko umiejscowić na mapie. Szukałam drogowskazów: wskazywały odległość do Dortmundu i Hagen. Przez cały czas nie opuszczała mnie myśl, że mogłybyśmy teraz uciec. Byłyśmy obie razem, miałyśmy przy sobie parę groszy i dwie godziny. Kto wie, kiedy znów nadarzy się taka okazja...

Ale czy nie obiecałam Stefie, że na razie będziemy czekały? I czy rzeczywiście rozsądnie jest uciekać na oślep, bez planu? Nie, nie byłam gotowa do ucieczki, a raczej gotowa byłam tylko teoretycznie, rozumowo.

Stałam przed witryną z filmowymi fotosami, oficer Wehrmachtu trzymał w objęciach blondynkę w wieczorowej, odsłaniającej plecy sukni, mówiłam sobie: uciekaj – i nic nie czułam, żadnego zrywu.

Zosia odgadła moje myśli, bo nagle powiedziała: – Jak będziecie chciały uciekać, musisz mi powiedzieć. Ucieknę razem z wami.

Wracając do obozu, spotkałyśmy resztę dziewcząt w towarzystwie kilku Polaków pracujących na wsi, u bauerów. Natychmiast zauważyłam wypieki na twarzy Marysi i nadmierną hałaśliwość Paraski. Chłopcy obrzucili nas zaciekawionym spojrzeniem. Wieczorem opowiedziała mi Stefa, że zostali z miejsca poinformowani o narodowościowym składzie obozu: Ukrainki, Polki i sześć Żydówek.

\*

Zbudziło mnie tarmoszenie Elżbiety. Natychmiast otrzeźwiałam. Tak budzono nas słowem: akcja.

Na sali panuje ciemność, ale nikt nie śpi. Sala rozbrzmiewa dzikim, zachłystującym się histerią śmiechem. Gdzieś z pierwszych rzędów prycz rozlega się wołanie: – Żydiwky, wracajcie do getta!

Leżymy znieruchomiełe. Sąsiadka Hania śmieje się cichutko, z zażenowaniem.

– Haniu, co się dzieje, czemu nie dają spać? Jak im nie wstyd! Jakie Żydówki?

– Ot, durna jakaś.

– A nawet gdyby tu były Żydówki, to co z tego? Dość się już nacierpiały.

Ale cóż przyjdzie z przekonywania Hani, która i tak należy do tych spokojnych, niemieszających się do cudzych spraw. Należałoby wstać i powiedzieć to głośno – całej sali. Ale ja tego nie powiem, ja, podejrzana. Przemówić do sumienia musi ktoś, kto ma czysty rodowód i czystą opinię. Nikt taki się nie znalazł.

To krzyczała Marusia, prostytutka ze Lwowa. Siedziała na pryczy na wpół ubrana, z rozpiętej koszuli wylewały się pełne, białe piersi. Pieniła się – cała czerwona z wysiłku i krzyku. Nie wiadomo – może i byłyby nas nerwy poniosły... Ale nagle otworzyły się drzwi, Schmidt zapalił światło. W pospiesznie wciągniętych spodniach, w zwisających szelkach nie wyglądał groźnie. Groźny był jego głos.

– *Ruhe!!!* Jest dopiero czwarta godzina! Spać! *Schlafen!*

Po jego odejściu nikt nie śmiał się głośno. Po sali leciał cichutki, tłumiony kocami śmiech. I ten cichutki śmiech przerażał bardziej niż histeryczne krzyki.

\*

Glatkke, jak na złość, uciał sobie rano pogawędkę. Dziwił się, dlaczego tak chętnie wróciłabym do

Polski, skoro nie mam tam rodziny. – Polska jest moją ojczyzną – wytłumaczyłam. Piłował sztabkę żelaza ostrym, cienkim pilnikiem i – cały skupiony na tej czynności – spytał mimochodem, od niechcienia:

– *Sag mir, hast du die Juden gern?*

W nocy nie mogłam usnąć. Raz po raz odtwarzałam tę chwilę, moje zachowanie (zaczerwieniłam się? zbladłam?), moją odpowiedź.

– *Ich alle Menschen gern wenn Menschen gut.*

Wspominałam uśmiech, jakim skwitował moje słowa. Katarzyna mówiła do mnie: idiotko, ja do niej: nie mogłam inaczej. Myślałam o ucieczce. Dlaczego nie uciekamy, na co czekamy! – nie wiedziałam.

Niemki z biura powiedziały Stefie, że w mieście żyje jeszcze kilka tutejszych Żydówek. Zamiatają ulice.

\*

Nocne krzyki Marusi nie zakończyły się jednym występem, powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie, tyle że w cichszym wydaniu.

Była już późna godzina, Schmidt, zamknąwszy salę na klucz, nie spieszył się z powrotem. Ktoś zgasił na sali światło, ktoś inny krzyknął: – Zaświeć światło, Żydówko!

Światło zabłyśło – obok kontaktu stała Paraska.

– Taka ja Żydówka jak ty, pocałuj mnie w dupę – odparowała.

Hamulce pękły. Głodne, rozżalone na swój los dziewczęta znalazły wielki temat: Żydzi. Rej wiodła nieliczna grupa, której przewodziła prostytutka Marusia, a reszta biernie, lecz z ochotą przysłuchiwała się opowieściom i dowcipom. Próbowaliśmy pojedynczo, każda na własną rękę stłumić ten temat. Niektóre milkły na jakiś czas, inne uśmiechały się znacząco.

A jednak udało się je uciszyć. Dokonała tego Paraska, która pewnej niedzieli, gdy obie dostały przepustki, zaprosiła Marusię na piwo. O czym przy piwie była mowa – nie wiadomo. Marusia wróciła odmieniona, cicha, łagodna.

– Przemówiłam jej do rozumu – oświadczyła Paraska. Kilka tygodni potem Marusia ciężko zachorowała, zabrano ją do szpitala – nie widziałyśmy jej więcej.

\*

Przy wydawaniu obiadów zapanował wreszcie porządek. Kucharką mianowana została Lena, łagodna dziewczyna o przyjaźnie patrzących oczach i pięknych, po pas warkoczach. Była sąsiadką Heleny Pajączkowskiej, która twierdziła, że to cenne sąsiedztwo kucharki powstrzymało ją od przenosin do naszego kąta. Ona sama również pracowała w kuchni. Przytyła, zwulgarniała.

Sprawy aprowizacyjne urosły już w owym czasie do normalnych obozowych rozmiarów. Byłyśmy głodne. Przy każdym posiłku toczyły się walki o repetę i większe porcje. Lena, sprawiedliwa, robiła, co mogła, nie uznawała protekcji ani silnych łokci, ale zupa brukwiowa oprócz wstrętnego smaku posiadała jeszcze tę właściwość, że zaspokajała głód na przeciąg jednej godziny. Lena, daj gęsto... Lena, daj więcej... Nigdy nie brałam repety. Przy wchodzeniu po schodach uginały się kolana, Elżbieta chudła, ale chęć zdobycia jeszcze jednej porcji tłumiła obawa przed usłyszeniem niebezpiecznego słowa.

Pewnego dnia, gdy po zjedzeniu zupy myłam miskę pod kranem, wyrósł przede mną jak spod ziemi Schmidt.

– Zjadłaś już?

- Tak.
- Dlaczego nie bierzesz jeszcze jednej porcji?
- Nie chcę, mam dosyć.

Popatrzył na mnie, widziałam: zrozumiał.

– *Komm.*

Nie chciałam iść. Chwyił mnie za rękę, zaprowadził do kotła.

– Jeszcze jedna porcja – rozkazał.

Powiedziałam do Leny: – Najpierw daj tym, które jeszcze nie jadły, nie słuchaj go.

– Jeszcze jedna porcja, natychmiast, *sofort!*

Lena posłuszna i zdumiona naląła do miski trochę zupy.

– Pełną miskę! – rozkazał. – *Voll!*

Oburzenie na sali – poszła do komendanta po drugą porcję, a inne jeszcze pierwszej nie jadły.

Staram się unikać Schmidta, schodzę mu z oczu.

\*

Na sali zjawili się dwaj Niemcy dyżurujący w nocy na zmianę ze Schmidtem. Jednym z nich był chudy, mały człowieczek, głupi i panicznie bojący się Schmidta – przewany przez nas Ghandi. Drugi, w kapelusiku na bakier, z twarzą zmęczonego kłowna, nazywał się Müller. Ghandi nie potrafił ani na chwilę zdobyć autorytetu, na jego *Ruhe* i *still sein* nikt nie zwracał uwagi. On sam zresztą wolał żartować z dziewczętami aniżeli rozkazywać i dzięki tym swobodnym stosunkom dowiedział się natychmiast o sześciu Żydówkach. Patrząc na nas, marszczył groźnie brwi i nigdy z nami nie rozmawiał.

Inaczej Müller. Podczas jednego z pierwszych dyżurów zastał nas wszystkie u Zosi, było późno, większość dziewcząt spała. – *Schlafen gehen* – powiedział w narzeczu cudzoziemców – *morgen müde*. – Po chwili dodał: – Wiem, o co was posądżają. Jest mi całkiem obojętne, kim jesteście.

Nie wymówił słowa „Żydówki” i nigdy więcej nie poruszył tego tematu. Przynosił nam czasem kilka flaszek dobrego ciemnego piwa. Był nieśmiały i śmieszny ze swoją smutną twarzą. Ale z Zosią mówił na ten temat, tylko z nią. Zakochał się w Zosi. Podarował jej wisiołek z barankiem, którzy Zosia nosi do dzisiejszego dnia.

\*

Co tydzień przy rozdziale poczty czekałam na wywołanie nazwiska Katarzyny. Wreszcie list nadszedł. Halinka pisała, że nie ma nadziei, aby wydostać Mariana z więzienia. Adwokat otrzymał pieniądze, które przywiozła z Z. jej kuzynka, ale odmówił dalszych starań. List był krótki i kończył się słowami: „Chwała Bogu, że wam się udało”. O ojcu ani słowa.

Nocami nie spałam. Wrócił lęk o ojca i lęk o Mariana, tłumiony dotychczas egoistyczną obawą o siebie. Zepchnięta w głąb przeszłość ożyła, wróciły wyrzuty sumienia. Leżałam bez snu, czułam w sobie płacz, ale oczy były suche.

List dostała również Marysia od swojej kuzynki Pauliny, która pracowała w Sudetach u bauera. Paulinie wiodło się doskonale. Z oględnie sformułowanych wiadomości wynikało, że nikt nie podejrzewał w niej Żydówki, nie miała żadnych przykrości, pracowała w gospodarstwie niezbyt ciężko. Zazdrościłyśmy jej. Myślałam o ogrodniku i restauratorze w małym heskim miasteczku. Paulina i Marysia często do siebie pisały. Przesłanki wskazują, że ten niewinny na pozór fakt zaważył na losie Pauliny, Marysi, Elżbiety i moim.

\*

W obozie mnożyły się choroby, biegunka, gorączka niewiadomego pochodzenia, świerzb. Ustęp był stale zajęty i brudny, mocz wyciekał na salę – przy drzwiach stało cuchnące jeziorko. Mydło, które dostawałyśmy w przydziale, starczyło na tydzień, oszczędnym na dwa. Było twarde, żółtawe, dziewczęta mówiły: zrobione z Żydów.

Zdarzały się też wypadki przy pracy – odcięte palce, oparzenia. Pewnej nocy przyprowadzono Elżbietę. Pracowała na nocnej zmianie i podczas przerwy zasnęła oparta o maszynę, która puszczone w ruch przejechała zębami po jej plecach. Rana była głęboka, paskudna. Schmidt dał mi maść i kawałek bandaża, Elżbieta leżała kilka dni, po czym, obolała, wróciła do pracy. Nie chciała leżeć w lagrze sama, bała się samotności. Co wieczór opatrywałam jej ranę, nie mając żadnego antyseptycznego środka, toteż zamiast goić się – ropiała.

Nie przejmowałyśmy się tym, były inne, ważniejsze sprawy.

Pojawienie się dwóch Niemców w cywilnych ubraniach, którzy przyszli ze Schmidtem, wywołało w nas panikę. Zamknęli się w służbówce, dokąd po chwili zawołano Stefę. Wróciła szybko. Sprawdzili dokumenty, zapisali coś, patrzyli na nią bez słowa. Po raz pierwszy widziałam Stefę zdenerwowaną, wytrąconą z równowagi.

Wkrótce po tym zdarzeniu opuściliśmy nasz ciemny kąt i przeniosłyśmy się w pobliże „miejskich”. Jedyne dwa sąsiadujące ze sobą miejsca znalazły się na parterze pod pryzmami Heleny i kucharki Leny. „Mieszkałyśmy” teraz wszystkie (bo i Zosia uciekła od Poli) w niewielkiej odległości od siebie i wbrew nakazom logiki przestałyśmy zważać na zachowanie ostrożności. Jedyne Marysia dbała jeszcze o pozory: za dnia od nas stroniła i tylko nocą przychodziła na rozmowy.

Zbierałyśmy się regularnie co wieczór u jednej z nas. Dziewczęta spały twardym, pierwszym snem, drzwi służbówki zamknięte były na klucz. Siedziałyśmy na pryczy, ciasno, jedna obok drugiej, omawiając spostrzeżenia i wypadki minionego dnia: co Schmidt powiedział, jak się zachował, jak kto spojrział, jaką rzucił uwagę. Ale rozmowa schodziła szybko na osobiste sprawy. Wiedziałyśmy już o sobie wszystko – lekkomyślne, nieostrożne. Dobrze nam było ze sobą...

Siedziałyśmy na ciasnej pryczy, jedna obok drugiej: Zosia – najstarsza; rodzice zginęli w Bełżcu, mąż, inżynier, został w getcie. Czeka na wiadomość od niego, która nie nadejdzie. Stefa – żona lekarza. Na małym amatorskim zdjęciu idą polną drogą – oboje wysocy, opaleni, piękna para. Na polach zżęte snopki. Jej mąż ukrywa się na wsi. Marysia – studentka architektury. Matka zginęła w akcji, mały braciszek został z ojcem w getcie. A drobna, figlarna Paraska jest matką jednorocznego synka. W dniu jej ucieczki z getta skończył rok. W getcie małego miasteczka zostali obaj: ojciec i syn. I my obie. Elżbieta najmłodsza.

Była w obozie jeszcze jedna Żydówka. Poznam ją wkrótce. W decydującym momencie związała się z nami i więź tę jeszcze na czas zerwała.

Siedem na sto. Wspominałam słowa kierownika sammellagru we Lwowie: „Za późno się panie wybrały, teraz już wszyscy wiedzą o tym sposobie, wcześniej trzeba było jechać”.

\*

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Nadchodziły paczki i listy z wsuniętymi do koperty opłatkami, z życzeniami zdrowych świąt, oby ostatnich na obczyźnie. Nastrój zapanował świąteczny, zrobiło się ciszej, spokojniej. Nadchodzące święto budziło refleksje, obce sprawy – zdawało się – zeszły na drugi plan. Na sali stanęła choinka, zapachniało lasem. Marysia przyniosła z kreślarni bibułkę i kolorowy papier – wycinałyśmy ozdoby, gwiazdy, łańcuchy. Dziewczęta prały, kręciły loki, a przy stole toczyły się głośne obrady, czy Ukrainki, których święta wypadały za dwa tygodnie, mają zasiąść do Wigilii razem z Polkami. Nie, nie chciały wspólnej Wilii, dla Polek nakryje się osobny stół,

natomiast po kolacji wszystkie razem odśpiewają kolędy.

Elżbietę drażni ta świąteczna atmosfera. Leży na pryczy milcząca, pogrążona w myślach, tęskni za domem bardziej niż zwykle. – Jaki dom? Nie mamy domu, przestań wspominać. – Nie pomaga. Elżbieta ożywia się tylko podczas naszych nocnych rozmów i bardzo łągnie do Stefy. – Trzymajmy się razem – mówi Stefa – my dwie czarne.

Marysię zaprosiła Niemka z kreślarni na pierwszy dzień świąt; mają pójść razem do kościoła, a potem na obiad. – To znaczy, że u mnie w kreślarni nie wiedzą, prawda? – pyta po kolei każdą z nas, a my jej mówimy – na pewno nie wiedzą, w przeciwnym wypadku nie byłaby ciebie zaprosiła, nie zapomnij tylko przynieść niedopałków.

Leżąc na pryczy, widziałam tę – niemą dla mnie – scenę przy drzwiach, scenę pomiędzy Schmidtem, ową Niemką, która przyszła prosić o zwolnienie Marysi z obozu na jutrzejszy dzień, i Marysią, stojącą na uboczu, skromną, śliczną, w rumieńcach. Widziałam, jak Schmidt potrząsnął głową, rzekł coś, Niemka stanęła jak wryta. Podeszła potem do Marysi i szybko wyszła z sali. Powiedział jej! – pomyślałam i już za chwilę Marysia przerażona, ze łzami w oczach powtórzyła: – Powiedział jej, powiedział! – Skąd wiesz, słyszałaś? – Nie.

Słyszała tylko okrzyk Niemki – *Ach du lieber Gott* – a potem suche: – *Herr Kommandant erlaubt nicht.*

Powiedział.

Siedzimy zdumione, milczące. Sośniną pachnie, dziewczęta kręcą loki, Schmidt krąży po sali. Nie wiadomo właściwie, dlaczego się dziwimy.

Na kolację świąteczną jest śledź w oleju i słodkawe kartofle z cebulą. Stół nakryty białym prześcieradłem, na twarzach dziewcząt – jest nas wszystkiego piętnaście Polek – maluje się wzruszenie. Łzy tuż pod powiekami. Łamiemy się opłatkiem, całujemy. Znowu myślę – jak już raz kiedyś myślałam – może ta wspólna Wilia, te splecione ramiona pogodzą nas, połączą. Choćby z tą niewielką grupką.

Jemy w milczeniu. Śledź jest słony. – Obyśmy na drugi rok były już w domu, dziewczęta, oby wojna się skończyła – wznosi ktoś toast szklanką wody. Po kolacji zasiadłyśmy wszystkie razem dokoła choinki. Kolędy, kolędy – śpiewane u Tadeusza, przyjaciela lat dzieciennych i dlatego dobrze znane. *W żłobie leży, któż pobieży...*, *Cicha noc, święta noc...* Śpiewałyśmy głośno, wyraźnie wymawiając słowa. Nagle wśród śpiewu padł okrzyk: – Niech same śpiewają, niech pokażą, co umieją – i chór zamilkł. Śpiewałyśmy dalej.

\*

Pierwszy dzień świąt wolny od pracy. Przez salę płyną modlitwy, kolędy, niekończące się litanie. A my rozważamy wczorajsze wypadki: ten z Niemką, ten przy kolędach i jeszcze jeden fakt, zauważony w ostatnich dniach, najważniejszy: zachowanie się Schmidta w stosunku do nas uległo zmianie. Schmidt się zmienił. Jest wrogi, ostry, pogardliwy lub ignoruje nas, nie zauważa. Można rzec – zachowuje się teraz normalnie. Swoją dawną, nienormalną przychylność i uwagę (która zawsze budziła we mnie nieufność) przeniósł na inne. Wieczorami otoczony jest tłumem dziewcząt, zabawia się z nimi, żartuje, najbardziej uprzywilejowane zabiera do wirtschaftu na piwo. Służbówka stale pełna, co chwila biegnie tam która pod byle jakim pretekstem. Dziewczęta są zachwycone nagłą łaską komendanta, nareszcie mają „swojego” mężczyznę (brak mężczyzn coraz bardziej daje się we znaki, niektórym – jak mówią – „cnota na mózg się rzuciła”, jest też kilka lesbijskich par). Schmidt wyróżnia otwarcie kilka dziewcząt, przede wszystkim Polę, która coraz częściej mówi o wyjeździe na posadę do kuracyjnej miejscowości.

Utrata łask *Comme Si Comme Ça* nie martwi nas – przeciwnie, jesteśmy zadowolone, że odpadł

powód zawiści. Niepokoi nas przyczyna tej zmiany. Dlaczego Schmidt nagle się zmienił? Co wie? Co nam szykuje?

Czy przeczuwamy, że niewiele już czasu zostało, że wypadki pobiegną nowym torem, w szybkim tempie i że te świąteczne dni stanowią granicę?

– Co z wami, dziewczęta? – To cichy, melodyjny głos Michasi. – Stefka – mówi – mam do ciebie prośbę.

Michasia jest smukłą, melancholijną dziewczyną z długimi warkoczami i małą jak piątka twarzą. Najdziwniejsza dziewczyna na sali. Czasami wydaje się, że nie jest normalna, zwłaszcza wtedy, gdy śmieje się nie wiadomo dlaczego, cichutko, maniacko, albo gdy mówi trochę od rzeczy. Ale przeważnie jest smutna, milcząca i jakby nieobecna, myje się raz na dwa tygodnie i nie zrzuca z siebie ciężkiej, kraciastej chusty, którą okrywa głowę i plecy. Zna nieskończoną ilość ukraińskich dumek, śpiewa je, żałośnie zawodząc. Panicznie boi się Niemców.

– Stefka – mówi po ukraińsku – dałabyś dziś jaką suknię, sprzykrzyły mi się te łąchy. Oddam wieczorem, nie bój się, wytrzepię, wszy wygonię.

– Po co ci suknią, Michasiu?

– Daj, Stefka, daj, mam przepustkę, na spacer idę, nie chcę iść w łąchach, toć to święto.

Włożyła suknię Stefy, jej płaszcz i buciki. Włosy splotła w obwarzanki na uszach, twarz zwykle zakryta chustką nabrała wyrazu, oczy wyolbrzymiały. To nie była już Michasia! I jakby nowy duch w nią wstąpił: cienka w pasie, giętka, kręciła się w kółko tanecznym krokiem, wołała: – Prawda, jaka ja ładna?

Przypatrywano się jej w zdumieniu, w milczeniu.

– Jak człowiek się ubierze, to wygląda całkiem inaczej – stwierdziła nagle poważna.

Ktoś parsknął śmiechem: – Inaczej, inaczej... jak Żydówka.

Stefa o niej wiedziała, znała ją sprzed wojny. Michasia była Żydówką – chłopką. Nadal grała wspaniale swoją rolę niezbyt normalnej, prymitywnej dziewczyny – świąteczny incydent poszedł w zapomnienie. Do końca trzymała się z daleka, czasami tylko zaglądała po kryjomu do Stefy po wiadomości. Wydarzenie świąteczne obudziło w niej lęk – wierzyła, że podzieli nasz los.

\*

Było to bezpośrednio po świętach. Ubrana w gumowy fartuch czyściłam w ślusarni maszyny. Jesteśmy lekkomyślne i głupie – myślałam – trzeba uciekać jak najszybciej, a my siedzimy z założonymi rękoma i gadamy. Tyle już było ostrzegawczych sygnałów. Zamyślona, nie zauważyłam Glatkego, który stał obok i przypatrywał się mojej robocie. Nie był nią zachwycony.

– Od jutra będziesz pracowała w biurze, *beim Herrn Klautz* – powiedział.

Przeleżałam się. Jeszcze jedna w biurze, jeszcze jeden powód do zawiści.

– *Nix wollen.*

– Nikt ciebie o zdanie nie pyta, masz pracować tam, gdzie ci każą.

Biuro mieściło się na piętorku, w oszklonym pomieszczeniu, tuż nad główną halą maszyn, widoczną stąd jak na dłoni. Wewnętrzna ściana ze szkła oddzielała je od pokoju, gdzie siedziały maszynistki. Byłam więc w towarzystwie Stefy. Nie ruszając się ze swego miejsca przy stole, widziałam ją pochyloną nad maszyną do pisania.

Moja praca polegała na pomiarach próbek stali, przeznaczonych do produkcji składowych części samolotów. Na widok suwaka udałam kompletną niewiedzę i przez szereg dni ani rusz nie mogłam pojąć, w jaki sposób mam się obchodzić z tym przyrządem. Ale Klautz, mój obecny szef, był cierpliwy: tłumaczył, demonstrował, powtarzał – w końcu musiałam zrozumieć.

Klautz, brunecik z hitlerowskim wąsikiem, był mi niesympatyczny od pierwszego wejrzenia.

Zaciśnięte, wąskie usta, świdrowate oczy nie wróżyły nic dobrego. Określiłam go z miejsca: zły, zawistny, mściwy. W pracy okazał się bardzo wymagający i pedantyczny, każdą pomyłkę przypłacałam awanturą, a gdy pewnego razu, mając tego dość, wyraziłam chęć powrotu do ślusarni, wpadł we wściekłość i palnął mi kazanie o obowiązkach zwangsarbeiterów Trzeciej Rzeszy. Na szczęście z czasem coraz rzadziej zaglądał do biura, zjawiał się tylko na kontrolę i po odbiór pomiarów, które spisywałam na specjalnym formularzu. Moim bezpośrednim szefem był podtatusiały, jowialny Niemiec, którego wkrótce zabrali do wojska. Zostałam sama, z kilkunastoletnim praktykantem Heinzem, smarkaczem i zarozumialcem z HJ. Próbował mi dokuczać, ale dałam mu łatwo radę. Wtedy zmienił front. Zwierzył się, że boi się powołania – najchętniej pojechałby na wieś, do wujka, który jest bauerem i ma pod dostatkiem słoniny i kiełbasy. Marzył o kiełbasie.

Siedząc przy stole, miałam pod sobą fabryczną halę. Widziałam, jak dziewczęta z naszego lagru pchają ciężkie, naładowane wózki, jak taszczą żelazo. Miały umorusane twarze, nosiły brudne gumowe fartuchy i drewniane trepy. Odsuwałam stół, by nie mogły mnie dojrzeć. Ale musiałam też schodzić na dół razem z Klautzem i Heinzem. Szłam z notesem i ołówkiem w rękę, paląc się ze wstydu. Oglądano się za mną z zazdrością.

\*

Pewnego ranka znalazłam na mojej pryczy dziesięć dziennych porcji chleba. Był to podarunek od Elżbiety w dniu moich urodzin, o których sama zapomniałam. Elżbieta przez dziesięć dni nie jadła chleba, odkładając go dla mnie.

Stefa przyniosła mi broszkę. Wieczorem wszystkie razem zjadłyśmy chleb.

Wyszły po kolacji ze Schmidtem – Pola, Helena i jeszcze kilka dziewcząt. Nie było w tym nic dziwnego, ostatnio często chodziły z komendantem na piwo. Ale jeszcze tego samego wieczora doszły nas słuchy, że Schmidt nie poszedł z nimi do gospody, tylko do... dentysty. I dopiero po kilku dniach rozeszły się szeptu: podobno nie był to dentysta, podobno coś podpisywały.

Wiadomość tę potwierdziła Anielka. Ta brzydka, krótkowzroczna dziewczyna zносиła nam wszystkie zasłyszane wieści nas dotyczące, dodając przy tym nieodmiennie: ale to się wkrótce wyjaśni i będziecie miały spokój. Nie zmuszała nas nigdy do otwartego przyznania się, nadawała wszystkiemu pozory plotki i bezpodstawnych podejrzeń. Tego dnia – było to niedzielne przedpołudnie – przyleciała zalekniiona i wbrew zwyczajowi palnęła prosto z mostu.

– Wracam z kuchni. Schmidt idzie tu z dwoma cywilami, boję się, że to do was. Wtedy wieczorem podpisały donos, sama słyszałam, jak opowiadały, mnie się nie krępują. Tylko zaklinam – nie zdradźcie się, że wam powiedziałam.

Patrzy na nas lekko zmrużonymi, chorymi oczyma, bardziej zdenerwowana niż my. Bo my jesteśmy nagle całkiem spokojne. Stało się. Któż by przypuszczał, że szyfrem będzie „dentysta”?

W szeroko otwartych drzwiach stoi Schmidt i dwaj Niemcy w cywilnych ubraniach. Z dworu bije zdrowe powietrze i dopiero teraz odczuwa się, jaki zaduch panuje na sali. Anielka ucieka, Marysia przekrada się pomiędzy pryczami do siebie: – Niech nas nie widzą razem.

– To nie ma już teraz żadnego znaczenia – mówi Stefa i nie rusza się z miejsca.

Gwar ucichł, na sali panuje przejmująca cisza.

– *Ja!* – odzywa się głośno Schmidt – *wir sind gekommen um zu prüfen, ob ihr alle da seid! Ob niemand abgehauen ist!*

Wszyscy trzej idą przez salę w kierunku prycz.

– *Diese, diese, diese* – mówi Schmidt, wskazując na mnie, na Stefę, Paraskę, Zosię, na Elżbietę i na siedzącą na swojej pryczy Marysię.

– *Also – alle sind da?*

Odeszli. Zdrowe powietrze zostało jeszcze w sali, ale i ono już ginie w gęstym zaduchu.

– To nie do nas – odzywa się z ulgą czyjś głos – to do nich.

\*

Stało się. Dlaczego nas nie zabrali? Co znaczyły słowa o ucieczce? Dlaczego nie uciekamy? Na co czekamy?

Schmidt jest już z powrotem na sali, zadowolony, z łaskawą twarzą, rozbawiony. Przyniósł wielkie kartonowe pudło pełne grzebieni, nici i przędzy.

– Niech mi się która odważy powiedzieć, że jej się tu źle powodzi.

Jaka radość! Jaki las rąk wyciągniętych po wspaniałe dary! Schmidt, nie zważając na otaczające go dziewczęta, woła głośno imię Zosi, jedynej z nas, na którą nigdy nie zwracał uwagi, i wręcza jej wielki, czerwony grzebień i kilka kłębków przędzy. Zosia nie rozumie, co to oznacza, pyta nas, co się za tym kryje, dlaczego właśnie ją wywołał pierwszą, właśnie ją, której nie cierpi, i to teraz – po odejściu tajniaków. – Czy wy to rozumiecie? – pyta.

Nie, nie rozumiemy Schmidta, nie rozumiemy siebie.

Odrzucił w kąt puste pudło, podszedł do mnie.

– Dlaczego się nie zgłosiłaś? Sądzisz, że tobie przędza i nici niepotrzebne?

– *Nix nötig* – odpowiadam.

\*

Jest znów noc, długa, bezsenna. Leżymy na pryczach w ubraniu, czekamy. Przez grube mury fabrycznej hali dobiega jęk odwołanego Fliegeralarmu. Zamek szczerknął u drzwi – ktoś skradał się na palcach. Która to wraca o tak późnej porze? Skąd? I – sama? Poznałam ją dopiero, gdy z płaczem upadła na moją pryczę. To była Helena.

Objęła mnie, poczułam silny zapach alkoholu, odsunęłam się.

– Co się stało? Dlaczego płaczesz?

Nie odpowiedziała.

– Gadaj, czego chcesz, albo daj mi spać, słyszysz?

– Kasiu, Kasiu – zabełkotała – co ja zrobiłam... ja nie chciałam... po co ja chodziłam... Kasiu... pozwól mi razem z tobą, bo my z jednego...

Chwyciłam ją za ramiona.

– Gdzieś była? Gadaj! Gdzie byłaś? Co robiłaś? Gadaj!

Wyrwała się, wdrapała do siebie, na piętro. Przez chwilę słyszałam, jak chlipie. Potem zaczęła głośno chrapać.

Wstałam, poszłam do Stefy.

– Pajączkowska wsypała nas, doniosła, wróciła pijana, wygadała się. Jest wiarygodnym świadkiem. Myślę, że zna nasze nazwiska, zawsze tak przypuszczałam.

Wyciągnęłam z kieszeni okruchy tytoniu i skrawek gazety, skręciłam papierosa. Zapalił się z trudem, gryzł w gardło.

– My dwie nie możemy dłużej zwlekać.

Elżbieta czekała na pryczy, patrzyła, nie wypowiadając pytania.

– Nie. Nie. Tyle razy myślałyśmy, że to już koniec, i zawsze jakoś... teraz także... zobaczysz...

\*

Maszerujemy czwórkami do pracy. Na czele pochodu Schmidt, w ogonie Ghandi. To coś nowego –



dotychczas wystarczył jeden. Znowu pada mokry śnieg, ten sam co w listopadzie. Jest koniec stycznia. Trzy miesiące.

Brama fabryczna, budka strażnika, stosy brukwi na dziedzińcu, stłumione odgłosy maszyn, drganie powietrza i zapach, ten specyficzny zapach smarów i żelaza.

Wchodzę wolno po schodach, na półpiętrze stoję, patrzę przez okno. Jest ciemno, niczego nie widać, to dobrze, latem byłoby trudniej, a tak, pod osłoną ciemności, w drodze do pracy, wystający mur tuż przy drzwiach, pod osłoną tego muru...

Ktoś zawołał. Z pierwszego piętra schodziła Zosia w towarzystwie jakiegoś Niemca. To nikt z fabryki. Niemiec ma na sobie grube zimowe palto i skórzane rękawice. Zosia w płaszczu, bardzo blada. Z jej tlenionych włosów, odrastających nad czołem ciemnym pasmem, wysuwa się mały grzebyk. Zauważam to wszystko w ułamku sekundy tym dziwnym rodzajem spojrzenia, które w ważnych momentach zahacza o drobnostki. I myślę: będzie musiała postarać się o wodę utlenioną. Myśli tej towarzyszy ucisk w dołku, wiem, kim jest mężczyzna i co oznacza bladość Zosi.

– Dokąd idziesz? – pytam, a ona, nie przystając, odpowiada: – Wzywają mnie. Nie wiem dokąd i dlaczego.

Pobiegłam zawiadomić nasze. Przy maszynie Elżbiety siedziała obca dziewczyna.

– Poparzyła sobie nogę, zabrali ją do obozu – wyjaśniła. Nie myślę w tej chwili o tym, że poparzona noga utrudni ucieczkę, myślę, co powiedziała przed kilkoma dniami: „Wiesz, czego boję się najbardziej? Żeby nie zabrali nas osobno”.

Elżbieta leży z raną w nodze. Zapewnia, że potrafi chodzić, a nawet biegać. Już wie o Zosi. Schmidt jej powiedział. *Heute hat man Sophie verhaftet*. To znaczy, że jutro...

Chce wrócić do pracy, nie chce leżeć sama i czekać. Stopa w kostce czerwona, obrzękła – jak na nią włożyć bucik?

Późnym wieczorem Zosia wróciła. Nie wierzyłyśmy oczom. Sztywnym krokiem, nie patrząc na nikogo, przeszła przez salę, położyła się na prycy, nakryła wraz z głową kocem.

Nocą zebrałyśmy się razem, przyszła też Michasia. Zosia prosi, żebyśmy o nic nie pytały – niczego nie pamięta. Siedzi otulona kocem i drży z zimna. Powtarza: „Dajcie mi spokój, nie mam sił”. Wiedzieli wszystko. Wiedzieli, skąd pochodzi, wiedzieli, że jest mężatką. Powiedziała to Poli jeszcze we Lwowie – Pola wkradła się w jej zaufanie, a ona, głupia, uwierzyła. Ty jesteś Żydówką, przyznaj się, mówił gestapowiec. Zaprzeczała. Tłumaczka uderzyła ją w twarz. W pewnej chwili zadzwonił telefon – przesłuchujący Zosię gestapowiec podniósł słuchawkę.

– *Ja, ja*. Mam u siebie jedną z tych Żydówek, Sophie Sokalski. Nazwiska innych? *Sofort*. – Z leżącej na biurku kartki odczytał nazwiska.

– Wszystkie?

– Tak.

– Moje także? Moje także? – dopytywała się gorączkowo Michasia, ale Zosia nie pamiętała, czy nazwisko Michasi znajdowało się na liście.

\*

Marysia i Stefa powracają uparcie do propozycji przekupienia Schmidta i na tym tle po raz pierwszy dochodzi między nami do kłótni. Elżbieta i ja jesteśmy temu przeciwnie, uważamy, że należy uciekać jak najszybciej, nie czekając niedzieli. Cóż przyjdzie z przekupstwa, skoro sprawa jest w rękach Gestapo? I czym go przekupimy? My obie nie mamy niczego. Ale większość jest innego zdania. A nuż – rozumią – uda nam się zdobyć jakieś informacje? Dowiedzieć się, czy rzeczywiście badają w Polsce autentyczność dokumentów, a jeśli tak, czy nadeszła już jakaś odpowiedź? Ryzyko ucieczki jest większe od ryzyka przekupstwa.

Nazajutrz rano Marysia i Paraska wręczyły Schmidtowi złoty zegarek, złote pióro, kilka złotych monet, łańcuszek i buty oficerki należące do Stefy. Wróciły z triumfującymi minami: – A widzicie, przyjął, i to chętnie.

Optymistyczny nastrój trwał do południa. Podczas obiadowej przerwy Schmidt zwrócił Parasce pakuneczek ze słowami: *Ich bin nicht so kleinlich.*

Dzień upłynął spokojnie, żadnej nie wezwano. Tym razem postanowiłyśmy zgodnie, że nocą ułożymy szczegółowy plan ucieczki.

Ale tej samej nocy Paraska wystąpiła z propozycją, która wprowadziła nas w osłupienie i która ucieczkę odroczyła. Paraska oświadczyła, że spędzi noc ze Schmidtem i wyciągnie od niego wszystko, co wie o naszej sprawie. Paraska, jak zawsze ze śmiechem:

– Ja go przekupię w inny sposób.

Stefa, po długiej chwili: – Taka jesteś siebie pewna?

Paraska beztrasko: – Tak.

\*

Nazajutrz Elżbieta z trudem włożyła bucik na obrzmiałą nogę i kulejąc, powlokła się do pracy. Nie chciała zostać w lagrze sama. Na sali nagle, ni stąd, ni zowąd, mówiono głośno o wypadku, jaki wydarzył się we Frankfurcie, gdzie powieszono kilka Żydówek ukrywających się na aryjskich papierach. Jedną z nich ocaliło dziesięć podpisów stwierdzających, że jest prawdziwą Polką. Czy to tylko sadystyczne plotki, mające na celu zastraszenie nas? Kto to wie? Gdzież tu zebrać dziesięć podpisów? Anielka podpisałaby na pewno, może i Hania, nasza dawna sąsiadka Hucułka, ale ta sama Hania powiedziała mi niedawno: – Jeśli to prawda, że wy Żydówki, to ja bardzo się dziwię, jak nie boicie się tak kłamać. To przecież straszny grzech.

Pracuję nerwowo, w dodatku Heinz zawraca mi głowę swoim zmartwieniem: biorą go do wojska. – *Auch Kinder Krieg machen?* – pytam. Jest tak przejęty, że nie rozumie złośliwości. Siedzę tyłem do drzwi i każde ich skrzypnięcie przyprawia o bicie serca. Chwytam spojrzenie Stefy bardziej niż zwykle przygarbionej nad maszyną – raz po raz patrzy w moją stronę. Co nam przyniesie noc Paraski?

Podczas przerwy obiadowej nikt już nie mówił o Żydówkach we Frankfurcie, rozeszła się wieść nowa: Helena Pajączkowska awansowała na telefonistkę, siedzi ze słuchawkami na uszach, ubrana w nową sukienkę i nowy sweter.

\*

Paraska słowa dotrzymała – dziś o jedenastej w nocy Schmidt czeka na nią w służbówce. Pożyczyła od Marysi nocną koszulę, jest bardzo zdenerwowana i wciąż powtarza, że się dla nas poświęca. To brzmi śmiesznie, ale nikt się nie śmieje.

– Pamiętaj – mówimy – tu chodzi o nas wszystkie, nie tylko o ciebie.

– Nie bójcie się – zapewnia – pamiętam.

Położyłyśmy się wcześniej. O dziesiątej Schmidt zgasił światło, rozmowy przycichły, ustały, sala zapadła w sen. Paraska ostrożnie uchyliła drzwi łazienki, stanowiącej przejście do służbowego pokoju komendanta. W jasnej szparze mignęła jej drobna postać w długiej do ziemi koszuli. Potem drzwi się zamknęły.

Minęła godzina, dwie... Wyczerpana nerwowym napięciem, nagle i mocno usnęłam. Zbudził mnie szept Elżbiety: – Wróciła. – Przekradłam się do Stefy. Na sąsiedniej pryczy leżała Paraska pogrążona we śnie. Stefa nie знаła żadnych szczegółów. Paraska odłożyła relację na bliski już ranek.

W drodze do fabryki Stefa szepnęła: – Opowiem w biurze. – Nie było czasu spytać, czy wiadomości

są dobre, czy złe.

Nerwowo, w pośpiechu wypełniałam formularze, wpisywałam pomiary. Klautz dziwił się mojej pilności: – *Sonst bist du ja immer stinkfaul.* – Nie mogłam doczekać się chwili, kiedy wyjdzie z pokoju. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, przybiegła Stefa.

Relacja Paraski powtórzona przez Stefę była krótka i zwięzła. Schmidt oświadczył, że mamy jeszcze czas, da nam znać, kiedy należy uciekać – jakiego dnia, w jakim momencie. Paraska wierzy mu całkowicie, mówiła z nim otwarcie, bez ogródek. Stefa dodała jeszcze, że Schmidt zna moje i Elżbiety nazwisko i wie, że jesteśmy siostrami.

\*

Wieczorem gruchnęła wieść, że w czwartek, 29 stycznia mają nas zabrać. Nie wiadomo, kto pierwszy puścił w obieg tę wiadomość – nigdy nie udawało nam się wykryć źródła pogłosek, które nagle pojawiały się na sali i biegły szeptem z ust do ust. Mówiono również o tym, że Pola została zwolniona z obozu i wyjeżdża w najbliższych dniach na posadę do kuracyjnej miejscowości.

Była sobota. Od czwartku dzieliły nas cztery dni. Tę sobotnią noc Paraska spędziła ze Schmidtem. Powtórzył wczorajszą radę: czekać, da nam znać.

Leżymy na pryczach, czekamy.

Niedziela. Przepustek nie ma. Dziewczęta szyją, piszą listy, śpiewają. Dawniej, w niedziele, które minęły, śpiewaliśmy także, śpiew przynosił ulgę, zastępował krzyk. Ale dziś żadna nie ma na śpiew ochoty.

Leżymy na pryczach, czekamy.

Wieczorem Schmidt przyprowadził młodego chłopca z akordeonem. Bez trudu rozpoznaliśmy w nim cudzoziemca, choć nie przemówił ani słowa. Patrzył przed siebie sennym, zmęczonym wzrokiem. Schmidt kazał mu usiąść pod ścianą, sam zaś oznajmił głośno, z naciskiem:

– *Wir sorgen, dass ihr auch Vergnügung habet! Heut wird getanzt!*

Nie wierzyłyśmy uszom – tańce? Rozbrzmiała skoczna melodia polki – po chwili tańczyła cała sala.

– Chodź – powiedziałam do Marysi – trzeba trzymać fason.

Nawet Elżbieta zwlokła się z pryczy i kulejąc, tańczyła ze Stefą. W pewnej chwili zrobiło się ciszej i przestronniej – środek sali opustoszał. Dziewczęta stały pod ścianą, szepcząc między sobą. Wśród kilku tańczących par był Schmidt z Paraską.

– Z Żydówką tańczy – obiegało szeptem – ale ty, Paraska, niedługo już będziesz tańczyła...

Muzyka ucichła, harmonista otarł spocone czoło. Wtedy dziewczęta zaczęły najpierw nieśmiało i cicho, a potem coraz głośniej śpiewać *Ostatnią niedzielę*. Zbiły się wszystkie w jedną gromadę i śpiewały coraz głośniej, coraz zuchwalej.

– *Słuszajte* – krzyczały – to dla was śpiewamy, to wasza ostatnia niedziela!

Mam jeszcze kawałek mydła, sprzedam, muszę zapalić, niczego nie pragnę w tej chwili tak jak papierosa. – Ile dasz? – Pięć. – Daj dziesięć. – Siedem. – Dawaj! – Zaciągnęłam się łapczywie, zawirowało mi przed oczyma. A teraz śpiewajmy, przekrzyczymy je! Stefa, Marysia, Zosia, Elżbieta, Paraska! „To ostatnia niedziela, więc nie żałuj jej dla mnie, spojrzij czule dziś na mnie, ostatni raz...”

Zosia nie wytrzymała, uciekła na pryczę, pod koc. Twarz Stefy bez kropli krwi, drżące od wstrzymanego płaczu usta Marysi... ale śpiewaliśmy dalej: „daj mi tę jedną niedzielę, ostatnią niedzielę, a potem niech wali się świat...”

Sala zakołysała się, spocone twarze dziewcząt zlały się w jedną plamę, w jedne rozwarte usta – ostatnia niedziel a! Śpiew przeszedł w krzyk, dławily się słowami, zachłystywały się śmiechem, tupwały nogami. To nie były dziewczęta, które tu razem z nami przyjechały – to były furiatki.

Harmonista nie ruszył się z miejsca, w jego oczach odbiło się przerażenie, próbował akordów, ale

setka zdrowych gardel zakrzyczyła go jedną i tą samą melodią, maniacko powtarzaną.

– *Was ist hier los?* – przedarł się okrzyk Schmidta.

Zrobiła się cisza momentalna, doskonała, tak mocno trzymał je w garści.

Z głębi tłumu odezwała się Pola miękkim, śpiewnym akcentem: – *Wir singen einen polnischen Tango. Er heisst „Der letzte Sonntag“*.

I zaśmiała się krótko, zmysłowo.

\*

Poniedziałek. Klautz się awanturuje – w ostatnich pomiarach jest dużo pomyłek. Krzyczy: – To wygląda na sabotaż, nie bądź bezczelna ty... ty... Uważaj, dobrze ci radzę.

Wtorek. Jestem już w biurze. Stefy nie ma. Patrzą z niepokojem na puste miejsce przed jej maszyną. Wyszła z obozu razem z wszystkimi, minęła godzina, a jej nie ma. Przychodzi wreszcie. Ma zastygłą jak maska twarz, jest bardzo blada, nie patrzy w moją stronę.

Musisz przyjść i powiedzieć – zaklinam ją w myślach – teraz, zaraz, wstań i przyjdź.

Posłuszna moim myślom, wstaje, za chwilę jest u mnie. Wzrok, jakim na mnie patrzy, budzi nagły lęk o Elżbietę.

– Schmidt powiedział Parasce, żeby dziś wieczorem była gotowa do drogi.

– Jak to... Parasce? – Mam ochrypły głos.

– Chce pomóc Parasce i mnie, jako jej najbliższej przyjaciółce. Tylko nam.

Nie mogę wydobyć słowa. Patrzymy sobie w oczy.

– Ja wiem, ja wiem, mówiłyśmy, że musimy wszystkie razem, równocześnie, ja wiem... ale zrozum... on nie chce... on...

– Rozumiem. W porządku – mój głos brzmi znów normalnie. – To wspaniale, że chce wam pomóc...

– Musisz zrozumieć. Zrozum, proszę, zrozum...

– Rozumiem.

– *Zurück, bitte* – zawołano z drugiego pokoju.

– Musicie także uciekać, jak najszybciej – powiedziała, wychodząc.

Przede mną wąskie skrawki aluminium. Mierzę, dodaję, znaczę skrawki niebieską kredą. Wystarczy spojrzeć kątem oka, by dojrzeć Stefę. Siedzi zgarbiona, głowę oparła na dłoniach, patrzy w okno. Za oknem pada śnieg, brudny, mokry. Pada i pada, i śladu po sobie nie zostawia. Dziś wieczorem też będzie padał. Musimy uciekać wszystkie razem, ucieczka jednej mogłaby pozostałym zaszkodzić, wszystkie jesteśmy podejrzane, musimy ratować się wszystkie razem. Nie robię tego dla siebie... poświęcam się dla was wszystkich.

Wszystko w porządku. To Paraska spała ze Schmidtem, a Stefa jest jej przyjaciółką. Więc niby wszystko jest w porządku. Nie mogę liczyć. Wiem jedno: po zniknięciu Paraski i Stefy nie wolno nam zostać w lagrze. Musimy uciekać dziś wieczorem.

Patrzymy na siebie poprzez oszkloną ścianę. Ona – już po tamtej stronie, bezpieczna. Nie wiem, co czyta w moich oczach, zrywa się z krzesła i nie zważając na Niemkę, która coś do niej woła, wpada do mego pokoju.

– Ty nas potępiasz.

– Nie. Nie potępiam. Rozumiem.

Powinam ją uściskać, tak ją przecież lubię, a stoję sztywna, mój głos jest martwy, suchy. Czy mam do niej żal? Nie mam do Stefy żalu, a jednak nie mogę zdobyć się na to, żeby ją objąć, pocałować, powiedzieć: cieszę się, że wam się udało. Mam skrępowane ręce, zimne serce.

– Ja wszystko rozumiem – mówię dalej suchym, nie swoim głosem – ale i ty musisz zrozumieć... nie wiem, co zrobimy, czy zdołamy uciec.

- Musicie uciekać – powtarza Stefa machinalnie, jest już po drugiej stronie.
- Powiedz – próbuję jeszcze – czy Paraska nie mogłaby go nakłonić?
- Nie. Z trudem zgodził się wziąć mnie także.

\*

Już nie tworzymy jednej grupy. Stefa i Paraska siedzą we dwójkę u siebie, a my cztery osobno, ogłuszone, bezradne. Postanowiłyśmy – spróbujemy dzisiaj, natychmiast po wyjściu nocnej zmiany. Łudzimy się – bo trudno w to uwierzyć – że Schmidt nie zarygluje drzwi. Komendant jest już na sali – głośny, ruchliwy, ostry. Ma dziś zaciętą twarz, tę twarz, która przejmuję strachem.

– *Schneller essen, schnell, schnell* – pogania krzykiem – *loos*, nocna zmiana, szykować się do pracy!

Paraska pracuje dziś na nocnej szychcie. I dopiero teraz jasne się stają słowa Schmidta: jeszcze jest czas, dam wam znać. Czekał na nocną zmianę Paraski. Tylko jej gotów był pomóc w ucieczce, a wraz z nią Stefie. Nikomu więcej. Czy Paraska wiedziała o tym? Stoi obok pryczy gotowa do wyjścia, okrągła jak kuleczka, ma na sobie kilka warstw garderoby. Stefa jest także grubsza niż zwykle. Szyję owiązała czerwonym włóczkowym szalikiem. Patrzy nerwowo w naszą stronę. Nocna zmiana gromadzi się przy drzwiach, za chwilę opuści salę.

Elżbieta wstała pierwsza, ja poszłam za nią. Szybkim ruchem objęła Stefę i powiedziała: – Cieszę się, że wam się udało. – Ja powiedziałam: – Bądźcie zdrowe.

Paraska nagliła: – Szybciej, ostrożniej. – Pocałowałyśmy się ze Stefą, miała łyzy w oczach. W ostatniej chwili podeszła Marysia i Zosia. Powiedziały: – Żegnajcie.

– *Aber jetzt loos!* – krzyknął Schmidt.

Paraska pobiegła, obejrzała się niecierpliwie raz i drugi za Stefą.

Przyczajone na pryczach, czekałyśmy, aż nocna zmiana opuści salę, po czym podeszłyśmy spokojnym krokiem do drzwi. Były zamknięte.

\*

Jesteśmy w potrzasku. Drzwi zaryglowane, okna zabite deskami. Za kilka minut odkryją w fabryce nieobecność Paraski, przyjdą po nią. Zauważą nieobecność Stefy. A potem – za godzinę, dwie, przyjdą po nas. I tak się wszystko zakończy. Nikt nie będzie wiedział, kiedy i w jaki sposób. Opada mnie nagle natrętna ciekawość: co będę czuła? Jak się zachowam? Piję wodę z kranu, żeby otrzeźwieć, potem wyjmuję porcję chleba i margaryny i jem. W chwilach wielkiego napięcia muszę jeść i palić. Niedopałków nie ma.

Spokój, spokojnie, logicznie, bez paniki, bez teatru. Jeśli nas w nocy nie zabiorą, uciekamy jutro rano w drodze do pracy. Ubrać się normalnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń, natychmiast po wyjściu skoczyć w lewo za wyłom muru i pod jego osłoną biec przed siebie.

Na brzęk klucza w drzwiach Elżbieta chwyta mnie za rękę. Ale to tylko Ghandi, który ma dzisiaj nocny dyżur.

– Dlaczego Paraska nie poszła do pracy? – wrzeszczy na całą salę.

– Poszła, poszła, widziałyśmy, jak wychodziła. – Odzywa się kilka głosów.

– Ale w fabryce jej nie ma!!!

Prycze Paraski i Stefy puste, szare lagrowe koce starannie złożone w kostkę.

– A gdzie ta wysoka, czarna? Gdzie jest Tarkowski?

– Stefa też wychodziła – przypomina sobie nagle jedna z dziewcząt – Stefa *Fabrik gehen*.

– *Was?!* Dokąd ona poszła? Ona pracuje w biurze i nie ma czego szukać nocą w fabryce! *Wo ist sie,*

*diese Schwarze?*

Szuka, biega między pryczami, zagląda nawet do ustępu i wylatuje z sali, głośno złorzecząc. Boi się Schmidta. Gdybyż wiedział...

– A może one uciekły? – rozlegają się pytania. Wszystkie patrzą teraz na nas. My nic nie wiemy. Poszły do fabryki, także Stefa poszła, miała coś pisać na maszynie. Ale już wraca Ghandi, wraca z jedną z dziewcząt pracujących na nocnej szychcie, każe tłumaczyć jej słowa. Dziewczyna widziała, jak Stefa i Paraska, idąc do fabryki, skręciły nad rzekę, gdzie przy drodze do rosyjskiego lagru stało auto. Poszły w kierunku tego auta.

– Uciekły! – zatrząsł się Ghandi. – One uciekły, te dwie Żydówki uciekły! *Weg sind sie!* A inne? – przypomniał sobie nagle.

Nie musiał nas szukać – siedziałyśmy rzędem na jednej pryczy.

Po jego odejściu zawrzało. Czy to prawda? Ależ mają szczęście... Udało im się... Nie wiadomo, czy się udało, może je złapią... Że też komendant nie zauważył... Komendant z Paraską trzymał... Eee tam, trzymał, nie trzymał, ale uciec by nie dał. Nie powiedziały wam? Nie. A wy nie uciekacie? Uciekajcie, dziewczęta, lepiej, żebyście uciekły. Jak uciekną, kiedy rygiel zasunięty? Czas jutro... Eee, do rana je zabiorą... Może nie zabiorą, mówili, że w czwartek, a jutro środa... Uciekajcie, my nic nie powiemy...

Nie, my nie uciekamy. Zaprzeczamy, boimy się powiedzieć prawdę, choć dziewczęta są w tej chwili szczerze przejęte. Jak gdyby nagle się przeraziły i opamiętały. Jak gdyby nagle zrozumiały. Po raz pierwszy są takie, jakimi powinny były być. Ale ostatnie miesiące wyprały nas z resztek zaufania. Prosząc o zachowanie ścisłej tajemnicy, zdradzamy kilku dziewczętom nasz plan: uciekamy jutro wieczorem. Jutro wieczorem uciekają, jutro wieczorem... szemrze po chwili cała sala. Bóg da, nie zabiorą ich wcześniej, szkoda by było...

Tylko Anielka nie wierzy i Anielce mówimy prawdę. Chce uciekać razem z nami. Nie możemy tego zrozumieć.

– A może ty także jesteś „miejska” – pytamy, zapominając, że nie zna naszego szyfru.

– Ja jestem miejska – odpowiada zdziwiona – pochodzę ze Lwowa, ale jaki to ma związek?

Nie. Nie jest Żydówką. Michasia także ucieka, choć jej nazwisko nie figuruje na liście. Dość ma lagru, a sama nigdy się na ucieczkę nie zdobędzie. Poza tym, przywiązała się do nas. Czy zdaje sobie sprawę, czym to grozi, pytamy. Owszem, tylko że dla niej nie jest to tak niebezpieczne jak dla nas, bo ona naprawdę jest Polką. Nie dała się przekonać.

Noc. Stefa i Paraska są już daleko za miastem. Dokąd jadą? Z kim jadą tym małym autem, które stało nad rzeką? Leżę na wznak, okryta płaszczem. Leżę sztywna, nieruchoma, boję się poruszyć, otworzyć oczy. Dobrze mi tak. Nie będę więcej myślała, nie będę układała planów, nie warto... Zostawić wszystko własnemu biegowi. Wszyscy młodzi w naszej rodzinie zginęli, może to przeznaczenie, że i my także...

Zrywam się na tę myśl, siadam na pryczy. Nie, tak nie wolno, nie ma żadnego przeznaczenia, tyle razy się udało, jutro rano, w ciemności, nikt nie zauważy, jeden skok za wyłom muru, a potem przed siebie, przed siebie... co będzie, to będzie, uda się, musi się udać, zawsze się udawało, potem do lasu, a wieczorem na stację i dalej pociągiem...

– Kasiu, ty nie śpisz? – pyta z górnej pryczy Helena Pajczkowska.

Od tamtej nocy, kiedy wróciła pijana, nie zamieniłam z nią ani słowa.

– Kasieńko... bo ja chciałam tylko spytać...

Milczę.

– Bo ja chciałam tylko spytać, czy jakby... z wami coś... jakby was... to czy ja mogę wziąć sobie wasze rzeczy? Pozwalasz?

Zatkałam dłońmi uszy.

Druga po północy. Może nie przyjdą. Zapadłam w sen. Śnił mi się jakiś ogród, jakieś drzewa, głos

Mariana wołał moje imię. To nie jest moje imię, powiedziałam i przebudziłam się. Serce mocno biło. Usiadłam. Z góry wychyliła się głowa Heleny.

– Kasiu, a nie zapomnij zostawić kluczyka od walizki...

Umyłyśmy się pod kranem, wyczyściłyśmy buciki, wypiliśmy kawę. Wszystko jak co dzień. W głowie żadnej myśli – pustka. Ghandi stoi przy drzwiach i nie spuszcza z nas oczu. Tłok przy drzwiach rośnie. Codzienne: *fertig? also los*. Chwytam dłoń Elżbiety, jeszcze minuta, dwie. Obracam się – tuż za mną ogromne, niebieskie oczy Zosi, niebieski płaszcz Marysi.

– Majewska – do mnie!

Ręce Ghandiego przesuwają się po mnie, szperają po kieszeniach. Nie ma w nich niczego poza brudną chusteczką do nosa. Jest bardzo cicho. Dziewczeta patrzą zdumione, jak Ghandi rewiduje Zosię, Elżbietę i Marysię. Wreszcie wpada fala zimna bijąca z dworu. Gęsta ciemność za drzwiami. Ściskam mocno dłoń Elżbiety, porywa nas fala wiatru, biegniemy co tchu, Elżbieta kuleje, z trudem biegnie, prędzej, prędzej, czyjeś kroki tuż za nami, ktoś goni nas, prędzej, prędzej... Zabrakło mi tchu, zatoczyłam się, oparłam o coś twardego. Płot, zwykły drewniany płot. Za nami biegły Marysia, Michasia, Anielka. Zosi nie było. Czekaliśmy, czy nie nadbiegnie, ale nie słychać było żadnych kroków, dokoła leżała cisza i ciemność. Biegliśmy znów przed siebie, nie wiedząc, dokąd biegniemy, byle dalej od obozu. Błotnista uliczka przeszła w twarde miejski bruk – zwolniłyśmy kroku. Ulice były jeszcze puste – miasto budziło się ze snu.

Elżbieta, Michasia i Anielka przeszły na drugą stronę ulicy, idziemy równolegle, przedzielone jezdnią. Zza rogu wyłoniła się postać mężczyzny. Kaszkiet, wysokie buty, sprężysty krok. Jeszcze zanim podszedł bliżej, poznałyśmy, kto to taki.

Stoimy oko w oko. Po drugiej stronie jezdni zamarły kroki, to tamte trzy stanęły.

Schmidt spytał: – *Wohin?*

– *Wir hauen ab* – odpowiedziałam.

– *Ihr haut also ab...* – powtórzył i wolnym ruchem wyjął rękę z kieszeni. Już kiedyś widziałam ten ruch. Zastrzeli nas – pomyślałam. Podniósł ramię do oczu, odcyfrował na zegarku czas. – O siódmej odchodzi pociąg, zdążycie jeszcze. Jedźcie pociągiem, nie traćcie czasu.

Wyjął z portfela karteczkę, nakreślił kilka słów, podał Marysi.

– Tu jest mój adres. Napiszcie.

Zdumienie odjęło nam słowa.

– *Tapfer seid ihr... tapfer...*

Odwrócił się i odszedł.

– *Elsbeth!* – krzyknęłam po niemiecku, nie zauważyłam, że stała już przy nas. – Gdzie tamte?

– Przelekły się, zawróciły.

Wtedy, nie zastanawiając się ani chwili, zaczęłyśmy biec w kierunku śródmieścia.

## IV

Biegliśmy w głąb ciemnego jeszcze miasta, tyle tylko wiedząc, że dworzec leży w śródmieściu i z tego pierwszego, krótkiego biegu w oszołomieniu wywołanym spotkaniem Schmidta i jego słowami nic nie zostało w pamięci. Nie widać biegnących, nie słysząc ich kroków. Natomiast tor kolejowy nieoczekiwanie przecinający jezdnię jest już normalną, wyraźną fotografią: jezdnia w tym miejscu wąska, przez nią ukosem pasmo szyn, które wpadają między wysokie mury tunelu, tunel skręca w prawo, otwarty, pozbawiony sklepienia. Bez słowa, jednomyślnie pobiegliśmy wzdłuż szyn i odtąd wszystko – mimo ciemności – widoczne. Biegniemy osłonięte murami, potykamy się o kolejowe podkłady, żwir, chrzęszcząc, usuwa się spod stóp. Nasze głośnie, zdyszane oddechy. Światelko daleko przed nami, pytanie--okrzyk *bist du es Joseph* raz i drugi powtórzony, a my wtulone w chropawy kamień muru, przyssane do niego zimnym, lepkiem strachem. Długa chwila wiszącego nieruchomo światelka, potem na powrót szczelna ciemność. Nie wiadomo, jak długo trwał ten bieg. Tunel rozwidnił się nagle – u jego wylotu leżał dworcowy plac w szarawym świetle wczesnego świtu.

Patrzyliśmy z ukrycia: kolumna dziewcząt szła w kierunku kolejowej stacji. Po szarych chustkach i po sposobie ich wiązania ciasno wokół głowy poznałyśmy Rosjanki. Mogły to być Rosjanki z naszej fabryki, mówiono bowiem, że je wkrótce przeniosą do innego miasta, ale równie dobrze mogły to być Rosjanki z innego obozu. Obozów było w tym mieście więcej niż fabryk.

Kolumna dziewcząt okrążyła budynek stacji i znikła nam z oczu. Zaraz potem zajechało osobowe auto, z którego wysiadła kobieta w jasnym futrze w towarzystwie wojskowego. Lęk ukłuł, że po nas przyjechali, będą na nas czekali, *die werden uns ja nicht weglaufen...*

Zegar nad wejściem wskazuje szóstą czterdzieści – najwyższy czas... W milczeniu wiązałyśmy z szalików turbany – Niemki w fabryce nosiły takie, a my musiałyśmy w miarę możliwości upodobnić się do Niemek, nadać sobie ich schludny, zadbany wygląd – każdy włoszek na swoim miejscu, każdy guzik na swoim miejscu i spokojny, nieco tępowy wyraz twarzy.

Marysi policzki płoną, moje gorące jak ogień, a Elżbiety blade, bez kropli krwi.

Nikt na nas nie czeka. Niewielka hala dworcowa pełna jest ludzi dojeżdżających do pracy pociągiem o godzinie siódmej, płaskie kaszkieci mężczyzn przypomnialy natychmiast Ghandiego, jego skrzeczący głos, *ihr hauet uns nicht ab...* Kilka osób spojrzało wzrokiem, który mówił: ciebie tu jeszcze nie widziałem. Szukałam kobiety w futrze i wojskowego – stali w niszy okna spowici smugą papierosowego dymu i patrzyli sobie w oczy.

Mój głos, *dreimal bitte, dritte Klasse...*, jest odrobinę wyższy niż normalnie, moje palce odliczające pieniądze lekko drżą. Siódma dochodzi, Klautz zjawił się już w biurze po pomiary z ostatnich dni, *sei nicht frech, du... du...* nigdy nie wymówił tego słowa, ale dziś je zapewne wypowie, wszyscy będą mówili *das waren Jüdinnen, die abgehauen sind...* oby już pociąg...

Skład zajechał podmiejski, zapowiadający krótką podróż. Ja osobno – powiedziała szeptem Marysia – spotkamy się przy wyjściu. Tak było rozsądniej, ale wiedziałam, że ona boi się czarnych włosów



Elżbiety, ucieka od nich, i że ten strach tkwi w niej przez cały czas.

Weszłyśmy z Elżbietą do zakopconego przedziału. Wciągnęłam dym, poczułam gwałtowny głód papierosa. Jedno miejsce było jeszcze wolne, Elżbieta usiadła i przymknęła oczy, udając sen. Stałam przy oknie. Pomiędzy wąskimi strużkami ściekających po szybie kropel widać było dwie ostatnie litery nazwy stacji – „r” i „g”, potem szyba zaszła bladomleczną parą, litery znikły i było tak, jak gdyby bladomleczna zasłona spadła nad miesiącami obozu, nad salą z pryczami, nad dziewczętami i Schmidtem.

Uginam lekko kolana, poddaję się huśtawce resorów, nabieram rozpędu. Wydaje mi się, że unoszę się coraz wyżej, coraz wyżej, radość wzbiera, oddycham pełną piersią. Krótki moment euforii, która już opada i zostawia po sobie bolesne ssanie. Nie ciesz się. Pierwszy krok jest może najtrudniejszy, ale nie decyduje o niczym. Dojedziemy, wysiądziemy – i co dalej? Dokąd dalej?

Elżbieta otwiera oczy – patrzymy na siebie z leciutkim, nieśmiałym uśmiechem.

Miasteczko było małe i puste. Przeszłyśmy różnym krokiem główną ulicą, nucąc półgłosem „*Es geht alles vorüber, es geht alles vorbei*”, tę modną wówczas piosenkę niosłyśmy przed sobą jak transparent: patrzcie, oto trzy *deutsche Mädchen*, wesołe, zadowolone z siebie i z życia – „*Nach dem Dezember kommt wieder ein Mai...*” – śpiewają, idąc szybkim krokiem osób spieszących do określonego celu. Nie wiadomo właściwie, dla kogo przeznaczone jest nasze śpiewanie, bo ulica pusta, być może więc dla siebie śpiewamy, że wszystko przemija, wszystko przechodzi, i dopiero za miastem milkniemy i zdejmujemy z ust uśmiechy.

Zboczyłyśmy do pobliskiego lasku. Był to zagajnik młody, drzewa cienkie i nagie, lecz w porównaniu z otwartą na cztery strony świata szosą wydał nam się wystarczająco bezpieczny. Postanowiłyśmy zostać tu do wieczora i dopiero o zmroku jechać dalej. Leżałyśmy, milcząc, na stercie zeschniętych liści. Tyle spraw należało omówić, na tyle pytań szukać odpowiedzi. Leżałyśmy, nagle osłabłe, wyczerpane, odurzone świeżym, leśnym powietrzem. Po bardzo bladym, wypranym z błękitu niebie snuły się delikatne jak pajęczyna chmurki. Słońca nie było, a jednak patrząc w górę, trzeba było mrużyć oczy. Dołem, w płytkiej kotłince biegła wąska, wyraźnie wydeptana ścieżka, z oddali dobiegało szczekanie psa.

Spałyśmy długo. Słońce stało teraz tuż nad nami, białe, zimowe, zimne. Nie wstając ze sterty liści, mówiłyśmy o Schmidcie, wciąż tylko o nim, w kółko to samo, wciąż jeszcze trzymał nas na uwięzi. Daremna rozmowa, niczego niemogąca wyjaśnić do końca, to znaczy tak, żeby można było powiedzieć, jaki naprawdę był. Pewności żadnej. Najpierw niby życzliwy (niby, gdyż nie wiadomo, czy tą życzliwością nie podsycił celowo zawiści do nas), a może naprawdę życzliwy? Potem otwarcie wrogi. Nasz wielki przed nim strach i brak zaufania. A przecież pomógł. Parasce pomógł, bo z nią spał. *Rassenschande* – mógłby za to odpowiadać. Czy Paraska to przewidziała? Ale i nas puścił wolno. Zrobił, co do niego należało, zawiadomił Gestapo, a potem pomógł. Nie miał zamiaru nam pomóc, to przypadek sprawił, że nas spotkał. Spotkał, lecz nie zatrzymał. Mógł zatrzymać. Powiedział, o siódmej odchodzi pociąg, napiszcie mi. Adres podał. Więc jak? Nie wiadomo... A raczej... Ach, dość tej rozmowy, która prowadzi donikąd, niczego nie wyjaśnimy teraz, tutaj, na stercie zeschniętych liści. Może po wojnie, o ile przeżyjemy (nigdy nie zapominałyśmy dodać tych słów)... Także Helenę chciałabym po wojnie zapytać o tę noc, kiedy wróciła pijana i płakała na mojej pryczy. Czy z własnej woli podpisała donos, czy też Schmidt, któremu już wcześniej powiedziała o nas prawdę, zażądał tego od niej, a ona zgodziła się, zapewne skwapliwie wyraziła zgodę, mając na widoku nagrodę – posadę telefonistki. Ją też chciałabym spytać. Nie wiem przecież, że ani jej, ani Schmidta po wojnie nie będzie, że zginą podczas nalotu.

– Napiszemy do niego? – pyta Marysia.

– Nie wolno. Po wojnie... o ile...

– Ale do Pauliny muszę napisać. Muszę uprzedzić ją, żeby nie przysyłała mi paczki przez tę

znajomą Niemkę. To mogłoby jej zaszkodzić. Zresztą nie chcę tracić z nią kontaktu. Napiszę do Pauliny – powtarza i czeka, co powiemy. Milczymy, nie mówimy, nie pisz, to niebezpiecznie, wiemy, że i tak napisze do Pauliny.

Tylko najważniejszych spraw nie tykamy słowem. Okrążamy je, omijamy z daleka, odsuwamy od siebie. Znowu senność nas ogarnia, słońce zimne, a przygrzewa, powieki same opadają. Godzina pociągiem od obozu, szukają nas, a my w lasku, pogrążone we śnie.

\*

Katarzyna, Elżbieta i Marysia zostały na stercie liści. Na miejsce Katarzyny przysłała Joanna Pilecka, na miejsce Elżbiety Jadwiga Kotula – nasze szkolne koleżanki, o których wiedziałyśmy, że zostały wywiezione do Niemiec na roboty. Marysia przybrała nazwisko Anny Kloc. Tych nowych nazwisk nie potwierdza żaden dokument i ich brak należy w jakiś sposób wyjaśnić, uzasadnić.

Joanna, Jadwiga i Anna – trzy proste, wiejskie dziewczyny uciekły z transportu podczas postoju pociągu na stacji nieznanego im z nazwy niemieckiego miasta. Uciekły i zostały natychmiast na tymże dworcu schwytane i odstawione z powrotem do pociągu. By uniemożliwić im powtórny ucieczkę – odgrażały się bowiem, że znowu uciekną (a uciekały do domu, do Polski) – odebrano im dokumenty. Nie przejęły się tym. Uciekły na następnym postoju – bez dokumentów.

\*

Lasek opuściliśmy o zmierzchu, wróciliśmy na dworzec, opustoszały i mroczny. Najbliższy pociąg odchodził do Hagen. Dobrze byłoby jednym, wielkim skokiem znaleźć się daleko stąd – Monachium? Wiedeń? – ale to wykluczone: przy kupnie biletu na wielkie odległości żądają podobno okazania *ausweisu*. Musimy jechać małymi odcinkami. Wsiadamy tym razem we trójkę do jednego wagonu – Anka nie chce się więcej rozłączać.

W długim, otwartym przedziale siedzi młoda kobieta w żałobie – nikt inny. Zajmujemy miejsca z dala od niej. Nie patrzę na Niemkę, tylko w ciemną szybę, ale widzę odbicie twarzy zwróconej w naszą stronę. Widzę także kunsztowne turbany na naszych głowach. Światło jest mętne, żółtawe, takie jak w pociągu, którego szyba odbijała jasną plamę irchowych rękawiczek młodego szpicla. Nie podoba mi się Niemka uporczywie na nas patrząca, mimo że ona, w przeciwieństwie do młodego szpicla, widzi w nas tylko wywiezione na roboty cudzoziemki, które podróżują nielegalnie, bez przepustek – być może uciekinierki z fabryki lub od bauerów. Nie podoba mi się jej wężący wzrok.

Podając konduktorowi bilet, wskazała na nas ruchem głowy. Pociąg akurat zwalniał biegu, wjeżdżał na stację, konduktor powiedział: – *Ich komme gleich zurück* – i wyszedł. Wyszliśmy także, szybko, drugimi drzwiami, stacyjka mała, peron pusty, zbiegłyśmy po schodach, bileter przy wyjściu zdziwił się naszym pośpiechem. Zdziwiłby się zapewne jeszcze bardziej, stwierdziwszy, że wszystkie trzy przerwałyśmy ledwie rozpoczętą podróż na pierwszej stacji. Nie zdziwi się jednak.

Nagły jęk syreny ogłusza, ludzie biegną i my biegniemy, oni do schronów, my za miasto, za miasto – czarne hałdy przy drodze, czarne kominy przy drodze, a potem wielki most. Stromą skarpią zbiegłyśmy w dół, na błotnistą łąkę. Zapachniało rzeką (czy to wciąż gliniasta w kolorze rzeka Ruhra?). Usiadłyśmy za filarami potężnych przęsł, kolorowe choinki stały już nad nami, reflektory omiały niebo, po którym sunął ciężki warkot bombowców. Świsty i wybuchy zatkały dech. Siedziałyśmy skulone, z głowami w ramionach, ziemia pod nami drżała.

Kiedy ucichło i pociemniało, wdrapałyśmy się z powrotem na szosę i poszłyśmy przed siebie.

Nocami będziemy chodziły, za dnia będziemy spały w lesie. Będziemy chodziły – byle dalej od obozu, będziemy chodziły, dopóki starczy nam sił.

Daremnie próbowałyśmy wyjść z tego lasu, który nie był zapewne ani ogromny, ani przepaścisty, tylko taki sobie zwyczajny, ale nocą rozmiary jego spotężniały, mrok pogłębił czeluście, wydobył jęki poruszanych wiatrem gałęzi, a drobny, lecz nieustanny szelest liści płynął teraz wezbranym strumieniem.

Zgubiłyśmy ścieżkę. Przedzierałyśmy się gęstym podszyciem, prując rękoma krzewy, rozplątując ich węzły, stawałyśmy co chwila, nasłuchując innych niż lasu głosów, głosu aut na przykład lub szczekania psa, ale nic nie słyszałyśmy. Niebo nad nami było ciemne, bez księżyca, i wiatr wiał ciepły mimo zimowej pory. Las nagle stanął dęba, szłyśmy pod górę, a powinnyśmy były schodzić w dół, było to więc daremne wspinanie i nagle wszystko wydało się równie daremne jak nasze próby wydostania się na szosę. Anna idąca przodem krzyknęła, usiadła na ziemi i zaczęła płakać. Stałyśmy w tym samym miejscu, skąd o zmroku ruszyłyśmy w drogę. Jeszcze trawa była zgnieciona od naszego całodziennego leżenia, a wysoki, na płask ścięty pniak stojący pośrodku polanki wykluczał pomyłkę.

Uświadomiłam sobie nagle mijanie nocy, malejącą liczbę jej godzin, które powinny były być czasem marszu, a nie błędzenia. Przymknęłam oczy i usiłowałam przywołać chwilę wejścia na tę polankę o świcie, kiedy uchyliwszy mokre gałęzie, ujrzałyśmy kolisty wyrąb oraz stojący pośrodku, nieco wyższy od innych pniak drzewa. Było to usiłowanie męczące i najpierw zjawiała się chwila wczorajszego poranka, kiedy – podobnie jak dzisiaj – rozgarniając rękoma leszczynę, weszłyśmy na polankę rozmiarami podobną, ale inną, bez śladu wyrębu i bez pniaka. Była to chwila naszego pierwszego postoju w lesie, po pierwszej nocy chodzenia, a teraz chodziło o postój drugi, o drugi dzień. Odegnałam sprzed oczu z taką wyrazistością pojawiającą się tamtą polankę i szukałam w pamięci drugiego rozgarniania rękoma leszczyny, szłam wtedy pierwsza, za mną Jadwiga, za Jadwigą Anna. – Tu możemy zostać – powiedziałam i nie otwierając oczu, powtórzyłam te słowa szeptem: – Tu możemy zostać – i schyliłam się, gdyż pod stopami coś zaszeleściło w trawie, było to puste pudełko po papierosach Sulima. Podniosłam je i zaraz rzuciłam na ziemię. Przywołanie tych wszystkich szczegółów bardzo mnie zmęczyło, ale teraz wiedziałam, co należy czynić. Chodziłam dokoła polany i szukałam pudełka sulimy. Leżało na kępcie mchu. Rozchyliłam gałęzie, nie, nie było tam żadnej ścieżki – ale tak właśnie powinno było być. Gdyż teraz już pamiętałam: ścieżka urywała się poniżej, w miejscu, gdzie zwisała z drzewa złamana, sucha gałąź, którą rankiem wzięłyśmy za postać chudego człowieka.

Schodziłyśmy wolno, szukając w ciemności rozpoznawczych znaków zapamiętanych rankiem – blaszana puszka leżąca na ścieżce, snop słomy, wielkie wyspy paproci, starannie złożone, czekające na zwózkę sągi drewna...

Z wejściem na szosę musiałyśmy poczekać – przejeżdżał właśnie korowód ciężarowych aut. Leżałyśmy w przydrożnym rowie, śnieg tajał pod ciepłem naszych ciał, czułam, jak wilgoć rozlewa się po piersiach. Rów był dostatecznie głęboki i, dzięki zachowanym w nim resztkom śniegu, wygodny niemal jak łóżko.

Kiedy nastała cisza i szosę na nowo okryła ciemność, poszłyśmy dalej, ustalonym już szykiem i sposobem: gęsiego, samym skrajem asfaltu, w bliskości rowu, jedynej naszej ochrony. Kulejący krok Jadwigi kaleczył rytm marszu.

Starałam się skoncentrować tylko na chodzeniu, o niczym innym nie myśleć, nie wracać wstecz, nie wybiegać naprzód, ale wciąż mi się zdawało, że chodzenie jest snem, z którego zbudzi mnie okrzyk *aufstehen*, że leżę na pryczy i drzemię. Napięta uwaga raz po raz gasła, musiałam ją raz po raz rozpalać na nowo. – My kołujemy – powtarzała Anka. Nie zwracałam już na jej słowa uwagi.

Drogowskaz stał na skrzyżowaniu – wiatrak z nieruchomo rozpostartymi ramionami. Z trudem czytałyśmy napisy. Nic nam te nazwy nie mówiły, nie słyszałyśmy o nich nigdy. Więc tak jak

poprzedniej nocy – wybrałyśmy miejscowość o nazwie najmiej brzmiącej dla ucha. Z tym kłopotów żadnych nie było, gdyż wszystkie oprócz jednej brzmiały chropawo, pełne zbitych ze sobą zgłosek, ta jedna zaś dźwięk miała łagodny, z niewiadomych przyczyn przywodziła na myśl łąki, a ponadto nosiła w sobie zapowiedź zapłaty, nagrody.

Poszłyśmy więc w kierunku miasta? miasteczka? o nazwie Iserlohn. Była to noc urodzajna w auta i wciąż musiałyśmy się kłaść do rowu i z rowu wstawać. Nasze ubrania, pończochy, buciki przemokły. Z coraz większym trudem podejmowałyśmy dalszy marsz. Jadwiga wlokła za sobą zranioną nogę, ale tempo naszego marszu osłabło gwałtownie nie z jej powodu, tylko dlatego, że była to druga noc chodzenia i druga doba postu.

To wtedy chyba, zamroczone zmęczeniem, zboczyłyśmy z szosy – zdziwiła nas nagle miękkość pod stopami, brak asfaltu, miękkość kołysząca do snu. Światło auta mignęło w oddali. Zawracaliśmy w pośpiechu, ale na próżno, gdyż szosa znikła, jak gdyby jej nigdy w pobliżu nie było, i oto szłyśmy teraz wśród ciemnych milczących domów, krętą i wąską uliczką wsi, i w pierwszej chwili ogarnął nas lęk przed psami. Że zbudzone naszymi krokami głośno zaszczekają i wtedy nie sposób będzie wydostać się z pułapki. Po chwili jednak, gdy żaden głos nie przerwał ciszy – ogarnął nas lęk przed tą ciszą właśnie. Z wyciągniętymi przed siebie rękoma błędziłyśmy pomiędzy domami, usiłując wydostać się poza obręb zabudowań. Ale domy nas osaczyły. Domy i ściany, płoty i drabiny, ławki, drzewa, studnie. Szłyśmy na palcach, ostrożnie, by nie zbudzić śpiących pod pierzynami i w podwórzowych budach, i ani głosu nie było słyszeć w tej niemej, milczącej wsi.

– Nie dziwi cię to? – spytała szeptem Anna – nawet pies nie zaszczeka... tu nikt nie mieszka, to jest wymarła wieś...

A ja, słysząc jej słowa, nie widziałam już śpiących pod pierzynami i w budach, tylko ogołoczone z mebli wnętrza, puste ściany i słyszałam ciszę niezmaconą oddechem.

Powiedziałam ze złością: – Co ty pleciesz. – W duchu jednakże przyznałam Annie rację. To nie była zwyczajna wieś.

– Wywieźli ich wszystkich, ewakuowali – szeptowała z gorączką w głosie – w pobliżu musi być obóz.

Oszalałaś! – chciałam krzyknąć. Nie krzyknęłam. Spojrzałam na niebo, szukając pierwszych oznak brzasku – było ciemne, w kłębiastych chmurach, bez jednej gwiazdy. Nie spostrzegłam nawet, że wydostałyśmy się z labiryntu domów i szłyśmy grząską, polną drogą w otwartej przestrzeni. Usłyszałam okrzyk Anny. Z trudem, przewyciężając bezwład, podbiegłam do niej, a za mną Jadwiga.

– Dotknijcie – powiedziała Anna, odcień triumfu był w jej głosie. – Jest tak, jak mówiłam. Druty... – To rzekłszy, usiadła na ziemi. Jadwiga poszła w jej ślady.

Wyciągnęłam rękę – drut był zimny, gładki, wilgotny. Przez chwilę starałam się zebrać myśli, przypomnieć sobie coś bardzo ważnego, ale moje myśli rozpierzchły się i ani rusz nie mogłam ich uchwycić. Poczułam, że i ja osuwam się na ziemię. Zaraz, zaraz sobie przypomnę – pomyślałam. Była to ostatnia myśl przed snem, który w sekundzie mnie zamroczył.

Zbudziło nas pianie kogutów. Leżałyśmy na ścieżce pod drucianym ogrodzeniem wiejskiego pastwiska, w pobliżu małej, ciasno zabudowanej wioski. W oknach wisały firanki, kwiaty kwitły w doniczkach, na łące stała studnia z korytem, brakło tylko pasących się krów – zimowały jeszcze w oborach. Wstawałyśmy w pośpiechu, szukałyśmy wzrokiem lasu. Był blisko, tuż za łąką, gęsty, stary las.

Wsunęłyśmy się pod krzewy rosnące przy brzegu.

– Jak mogłaś? – przypominałam sobie. – To był przecież zwykły, gładki drut...

I spałyśmy dalej.

Od czasu do czasu budził nas głód – ciężka, bolesna pustka uwierała żołądek – po czym zapadałyśmy z powrotem w męczącą, płytką drzemkę. Niedobry był ten dzień poprzedzający trzecią noc marszu, niedobre wspomnienie wymarłej wsi. Niepokojąca była łatwość, z jaką uległam majakom Anny, jej wizji pustych domów i obozu. Głód i majaki. Byleby zachować rozsądek. Jeszcze najwyżej jedna noc marszu, więcej nie damy rady, myślałam i już w następnej chwili słyszałam człapanie kapci Agafii; „twój przyjechał”, mówiła, biegłam na werandę, Marian tam stał dziwnie przebrany, w eleganckim futrze, w wysokich butach, w kapeluszu z lśniącym piórkiem, przyjechałem się pożegnać lub zostać. Budziłam się z jękiem. Pustka leżała w żołądku kamieniem. Otwierając oczy, widziałam Jadwigę i Annę pod krzewami, ich szare twarze, i siebie widziałam, jak gdybym sama na siebie patrzyła, rozdwojona na leżącą i patrzącą.

Męczące drzemki, senne widziadła. Zdawałam sobie sprawę, że powinniśmy jak najszybciej zapukać do drzwi chłopca na wsi, powiedzieć *Pole* i *Arbeit*, w obozie mówiono, że jak się trafi na Niemca potrzebującego siły roboczej, to zdarzyć się może, że sam załatwi formalności w *Arbeitsamcie*, omijając policję. Ale z nastaniem zmroku postanowiłyśmy zgodnie, że jeszcze tę trzecią noc będziemy chodziły – odsunęłyśmy tchórzliwie decydującą chwilę zapukania do drzwi, chwilę, która mogła przynieść i dobre, i bardzo złe.

Nogi niosły nas ciężko i już na samym początku tej nocy Jadwiga ujrzała wielki, biały dom. Zagroził jej drogę, zmusił do ucieczki na środek szosy. Potem widziała jeszcze inne wielkie domy, wszystkie białe i piękne, opisywała je szczegółowo, a my, nie zważając na opór i skargi, prowadziłyśmy ją pod rękę brzegiem szosy, blisko rowu. Trzeźwiejąc, mówiła: mam halucynacje.

Usiadłyśmy na wzniesieniu, za kępą drzew. Przed nami leżała wieś, której nie sposób było ominąć. Daleko, po prawej stronie chwiejnie migotały światła jakiejś miejscowości. Jadwiga przyłożyła do oczu śnieg. Pod wpływem śniegu domy znikły. Szosą, warcząc, przejechał motocykl, za chwilę drugi i trzeci.

– To pościg – odezwała się Anna. – Ścigają nas... Popatrz. – Spojrzałam na dalekie, żółte światła. Zadrżały jak płomień świecy i nagle ruszyły z miejsca. Zbliżyły się w szaleńczym pędzie. Znow rozległ się warkot motoru i Anna znow powiedziała:

– Ścigają nas, to jest pościg.

Zbliżywszy się ku nam, światła odskoczyły wstecz, wróciły na swoje dalekie miejsce i za chwilę znow rozpoczęły szaleńczą jazdę. Zakręciło mi się w głowie. Położyłam się na ziemi, zamknęłam oczy. Halucynacje, majaki. Musimy się zgłosić, pomyślałam, zaraz, tutaj, w tej ws i...

Jednopiętrowy domek stał samotnie na małym wzniesieniu, przez zasunięte firanki sączyło się światło. Godzina nie była późna. Jadwiga usiadła na ławeczce przed wejściem, Anna i ja podeszłyśmy do drzwi. – Nie rozumiemy po niemiecku – powiedziałam do Anny i zapukałam.

Usłyszałyśmy kroki, kobiecy głos spytał: – *Wer ist dort?* – Nie odpowiedziałyśmy. – *Wer ist denn dort?* – spytała kobieta po raz drugi, już głośno, niecierpliwie. Drzwi uchyliły się. Stara kobieta o siwych włosach patrzyła na nas zdumiona. *Pole, Arbeit* – powiedziałyśmy obie równocześnie. Wtedy otworzyła drzwi szerzej, wciągnęła nas do środka i przekręciła w zamku klucz.

Pokój był wielki, słabo oświetlony, umeblowany skąpo. Drewniane schody wiodły na piętro.

Kobieta zawołała głośno: – *Walter, komm schnell herunter.*

Młody, tęgi Niemiec w rozchełstanej koszuli zbiegł po schodach.

– Co to za dziewczyny, mamó?... *Wer ist denn das?*

– Powiedziały tylko dwa słowa: *Pole* i *Arbeit*. Wydaje mi się, że trzeba...

Podszedł bliżej, miał lekko wybałuszone oczy, niezdrową cerę.

– Skąd uciekłyście, z jakiej fabryki?

– *Nix* fabryka.

– Dokumenty!

– Nix.

Gwizdnął przez zęby.

– Zadzwońię po policję – zwrócił się do matki – powiem, żeby przyszli do wirtschaftu. Przypilnuj ich tymczasem.

Niemka spytała: – *Essen?* – i po chwili wróciła z dwiema kromkami chleba z buraczną marmoladą.

– *My drei – wir drei* – pokazałam na palcach.

– *Du lieber Gott!* A gdzie jest ta trzecia?

Wysłałam z nią przed dom. Jadwiga wstała z ławki.

– I co oni?

– Chodź, dostaniesz chleb z marmoladą.

– Ale co oni?

– Jej syn telefonuje po władze (z rozmysłem powiedziałam „władze”, a nie „policja”, nie chcąc zdradzać, że zrozumiałam słowa Niemca).

Z trudem gryzłyśmy chleb, miałyśmy zardzewiałe szczęki. Walter wrócił ubrany w myśliwską zieloną kurtkę – na widok Jadwigi stanął jak wryty.

– A to co? Jeszcze jedna? Ile ich jest, do diabła?

Zaledwie przekroczyliśmy próg gospody, zrozumiałam, dlaczego nas tu przyprowadził. W kuchni, przy zmywaku stała młoda dziewczyna w drewnianych trepach, ogorzały chłopak pił przy stole kawę. To byli Polacy.

– Będiesz tłumaczył – powiedział do chłopca Niemiec. – Zaraz przyjdzie policja. One są Polki, nie wiadomo, skąd uciekły, nie mówią słowa po niemiecku.

– Pan jest Polakiem? – zawołałam. – Jak to dobrze! Bo my nie umiemy się dogadać... niech mu pan powie, że my uciekły z transportu...

– Zaraz przyjdzie żandarm, wtedy powiem – odrzekł niechętnym głosem, a dziewczyna, nie przerywając pracy, odezwała się:

– I po co wam było uciekać, jak złapią, to biją.

Dwóch żandarmów stanęło w progu. Chłopak tłumaczył naszą opowieść o ucieczce z pociągu, starszy, wąsaty żandarm notował.

Dziewczyna znów się odezwała: – I po co wam to było... do Polski i tak nie uciekniesz, za daleko.

Prowadzili nas wiejską drogą, wśród drzew. Spokój tej drogi, łagodne światła w oknach. Uczucie nagłej ulgi.

\*

Noc tę przespałyśmy w więziennej celi na jednej pryczy. Ściana nad pryczą upstrzona była nazwiskami i napisami – byle do wiosny, *vive la liberté*, damy szkopom w dupę, niech żyje Polska. Nazwiska polskie, francuskie, rosyjskie, najwięcej polskich. Mówiłyśmy sobie, że wszyscy ci, którzy zostawili po sobie pisemny ślad, to ludzie wywiezieni na roboty, uciekinierzy z pracy – jak my. Mówiłyśmy sobie, nasz wypadek nie jest wyjątkiem, wiedząc, że to nieprawda i że podobieństwo pozorne. Te słowa dodawały nam otuchy.

Zbudził mnie sen. Nad łóżkiem chorej matki, w pustym obrabowanym pokoju stał młody esesman, widziałam wyraźnie jego twarz. Patrzyłam na niego – jak wtedy – z kąta pokoju, dokąd nas zagnał i kazał stać bez ruchu. Odgoniłam od siebie ten obraz z całej siły, popatrzyłam w zakratowane okno, już wstawał świt.

(Ale przesłuchania, które odbyło się rankiem – przy pomocy urzędowego tłumacza – nie ma w pamięci. Dlaczego tłumacz znikł? Jego pytania, nasze odpowiedzi? Jazda pociągiem do miasta? Jedno tylko zdanie wąsatego żandarma zostało: Odwieź je do Iserlohn, do Arbeitsamtu. Do Iserlohn!

Do miasta, które nocą, na rozstaju dróg obrałyśmy jako kierunek naszego marszu, zachęczone dźwiękiem nazwy tak różnej od innych, chropawych. Ale i miasta nie ma w pamięci. Wiem: żandarm prowadził nas ulicami z dworca do Arbeitsamtu, a rudy jak wiewiórka urzędnik z powrotem na dworzec. Wiem, lecz nie pamiętam.)

\*

W Arbeitsamcie siedział za biurkiem potężnej budowy Niemiec o twarzy zniekształconej wylupiastym okiem. Wiedział już o nas. *Das sind also diese drei*. Oko cyklopa ciężko na nas spoczęło, w jego spojrzeniu była groźba, podejrzliwość i pogarda. Czułam, jak po mojej twarzy rozlewa się głupkowaty uśmiech, niestosowany od dłuższego czasu, czekał w pogotowiu. Urzędnik odprawił żandarma, uważnie czytał protokół. Skończywszy, gwałtownym ruchem otworzył szafę, wyjął gumową pałkę, położył ją przed sobą na biurku.

– Żadnych kłamstw! – krzyknął. – Żadnych wykrętów! W przeciwnym razie... *Verstanden?*

Kręciłyśmy przecząco głowami. *Nichts, nichts...*

– *Dolmetscher!*

Mały, zgarbiony człowieczek w wyświechtanym ubraniu wbiegł do pokoju, stanął przed nami i powiedział łamaną polszczyzną:

– Ja trochę rozmawiam po polsku i będę tłumaczyć, co wy powiecie, a wy prawdę macie gadać, bo inaczej źle z wami będzie. Skąd wy uciekali ?

Patrzyłam w niego jak w tęczę.

– Panie – zawołałam – Pan Bóg z nieba was zesłał, pomóżcie nam! Co on tak na nas krzyczy? Tam napisane przecie: my z pociągu uciekły.

Mój głos był łzawy, lekko zawodzący.

– Jak nazywała się stacja? Kto odebrał im dokumenty? – warknął cyklop. Nie wierzył.

– Nie wiemy, jak się ta stacja nazywała, jakoś po niemiecku się nazywała, a my po ichniemu nie rozumiemy. Wielka była. Pociąg długo stał. Dokąd my uciekały? Panie złociutki, a dokądże, jak nie do Polski. Niech pan mu powie, że my do domu chcemy wrócić.

– Do Polski? – zezłościł się Niemiec. – *Qatsch!* Na piechotę, bez pieniędzy, bez dokumentów? *So dumm sind die doch nicht*. – Na jego czole nabrzmiała żyła.

– A jak wy znali drogę? – spytał tłumacz.

– Za słońkiem, panie, za słończkiem na niebie. – Mój głos urwał się, zawisł, zapłakałam. Płakałam prawdziwymi łzami.

Tłumacz powiedział: – No, cicho, *genug...* ja mu powiem... *still, genug, genug*.

Otarłam oczy wierzchem dłoni.

– Pan przecie Polak, pan rozumie, że my...

Ach, jak łatwo mi się płakało, z jaką rozkoszą! Byłam głupią, prostą dziewczyną uciekającą do Polski za słończkiem na niebie i mówiłam sobie: dobrze zagrałaś, dobrze zagrałaś, ale uważaj, nie przeciągaj struny.

Pochlipując, mówiłam: – Do fabryki nas wieźli. Panie, my w domu fabryki na oczy nie widziały, my w polu robiły, w gospodarstwie, gdzie nam do maszyny.

– Ach, wy *dumm!*... Do Polski i za miesiąc nie zajdzie, a tu taka sama robota na polu.

– To niech pan mu powie, że my zwyczajnie do polnej roboty, żeby nas na wieś dał.

– Umiecie doić?

– A jakże.

Szeptali ze sobą dłuższą chwilę, po czym urzędnik uniósł w górę rękę, chwycił palcami niewidoczne krowie wymiona, pociągnął za nie kilka razy i kazał tłumaczowi spytać, ile krów miała każda z nas

w domu.

Raz jeszcze otarłam oczy.

Jadwiga miała w domu trzy krowy, Anna dwie, ja miałam kozę.

Skierowali nas do trzech różnych miejscowości, co utrudnić miało ewentualną ucieczkę, która – jak cyklop zagroził – zawiodłaby nas niechybnie do koncentracyjnego obozu. Powiedziawszy to, kazał nam wyjść i czekać na korytarzu.

Anna odjechała pierwsza. Przyjechał po nią bauer z wyglądu przypominający raczej właściciela dóbr niż chłopa-gospodarza. Zielona szamerowana kurtka, myśliwski kapelusz, wysokie buty wypolerowane na glanc. Odjechali autem.

A my dwie pojechałyśmy pociągiem z rudym jak wiewiórka urzędnikiem Arbeitsamtu.

Rozstawaliśmy się po raz pierwszy. Na małej stacyjce czekała bryczka zaprzężona w dwa rasowe konie, na koźle siedział starzec z długą, siwą brodą. Dokoła lasy i łąki. Jadwigi twarz bolesna, taka, jaką miała u Halinki. Powiedziałam szybko, tak jak u Halinki mówiłam: „nie becz”, choć Jadwiga i tym razem nie płacze. Powiedziałam jeszcze: „przyjadę”. Wsiadła do bryczki, szczuplutka, dopiero teraz spostrzegłam, jak bardzo wychudła. Obejrzała się raz i drugi. Starzec coś do niej mówił, potrząsała głową, zapewne na znak, że nie rozumie. Bryczka odjechała, pociąg ruszył. Patrzyłam przez okno na przysłonięty mgłą krajobraz.

Wysiedliśmy na małym, ruchliwym dworcu. Wielkie afisze nakazywały ostrożność! *Pst! Der Feind hört mit!* Obok afisza stał wysoki mężczyzna w średnim wieku, którego podłużna, wąska twarz przypominała wilka. Była ciemna, o czarnych, małych oczkach.

– To jest ta Polka, Johanna. – Powiedział urzędnik. – A to jest twój szef, *Herr Schulz*.

Uśmiechnęłam się. Joanna będzie inna niż Katarzyna, będzie wesoła, beztroska, głupiutka, lecz bynajmniej nie głupkowata.

– Umiesz doić? – zapytał Schulz. Nosił podobnie jak bauer Anki zielone, myśliwskie ubranie i podobnie jak tamten nie wyglądał na chłopa ze wsi.

– Ona nie rozumie ani słowa – wyjaśnił rudy urzędnik.

– Nie szkodzi, mamy u siebie dwóch Polaków, nauczą ją. Najważniejsze, żeby umiała doić. *Johanna, kannst du – so?...* – zażonglował w powietrzu rękoma. Powstrzymałam śmiech.

– *Ja, ja, sie melkt prima*, ona świetnie doi – uspokoił go rudzielec, zachwalając towar, który przywiózł. – Pogroził palcem: – *nix weglaufen!* – i zostawił nas samych.

Ku memu zdziwieniu, wysiedliśmy z pociągu w miasteczku, nie na wsi. Wzdłuż ulicy stały domy z czerwonej cegły. Jeden z nich należał do mego „szefa” Wilhelma Schulza – dwupiętrowy, wąski, wydłużał się w głąb dziedzińca, przy którym wznosiła się wielka stodoła o wrotach koloru morskiej wody. Często potem patrzyłam na te wrota z okna mojej szuby na pięterku, niebieski kolor działał kojąco. Stodoła i obszerne kwadratowe podwórze przylegające do dziedzińca utwierdziły mnie w przekonaniu, że jest to jednak gospodarskie obejście. Schulz pchnął niskie drzwi (nie było to główne wejście) – weszliśmy do kuchni ciemnej, czysto wysprzątanej. Przy okrągłym stole siedziała kobieta w średnim wieku. Miała bardzo białą cerę, gładkie ciemne włosy, twarz ładną, lecz pozbawioną wdzięku, oschłą.

– *Wir sind da* – powiedział Schulz – ona nazywa się Johanna, nie umie po niemiecku, nie ma żadnych rzeczy.

Słuchając tych wyjaśnień, Klotylda Schulz naląła do talerza grochówkę ze słoniną i powiedziała:

– Zjedz to, potem będziesz czyściła okna. Dziś jest sobota, w sobotę czyści się okna.

Miała wysoki, ostry głos, energiczne, szybkie ruchy. Otworzyła boczne drzwi, za którymi pełna zdumienia ujrzałam krowi pysk, i zawołała: – Jan! – Po chwili wszedł do kuchni garbaty chłopak nieokreślonego wieku. Podaliśmy sobie ręce.

– Stara mówi, żebyś zjadła zupę, potem trza okna czyścić. U nich roboty jak cholera. My tobie



powoli wszystko opowiemy, to znaczy Walenty opowie, bo on mądrzejszy ode mnie. Umiesz doić? Bo od kiedy odeszła stąd dziewczyna, Serbka była, to, kurwa jego, sam muszę doić.

Zupę połknęłam w jednej chwili. Słonina, której dawniej nie znosiłam, smakowała jak przysmak. Klotylda znikła na chwilę i wróciła ze starą, podartą na łokciach sukienką w czerwone kraty. W pierwszej chwili chciałam się zachnąć, ale na szczęście powstrzymałam ten odruch. Wyłatam tę suknię, a to, co mam na sobie, odłożę na wypadek nowej ucieczki.

Miesiąc wyznaczyła sobie na czekanie, po miesiącu postanowiła przestać czekać, zrzucić strach przed zjawieniem się policji, strach, że je odnajdą, ten najważniejszy, dominujący, ale nie jedyny. Bo były jeszcze inne, mniejsze, i one również groziły niebezpieczeństwem, jak na przykład obawa, że nieznanostwo obyczajów gospodarskich, nieumiejętność wykonywania różnych czynności wzbudzi nieufność i podejrzenia, zdradzi, że nie jest tą, za którą się podaje. Ukrywała starannie wrzody na dłoniach i w zgięciach palców od pracy łopata, doprowadzając do perfekcji ignorowanie bólu, ale nieumiejętności dojenia krów ukryć nie mogła lub braku wprawy w myciu okien (ujawnionej zaraz pierwszego dnia – im dłużej je myła, tym bardziej mętniały) – i w karmieniu świń. Mogła co najwyżej pokrętnie ją maskować, uwagę odwracać na różne sposoby i jak najszybciej zdobyć nieznaną dotychczas wiedzę. Przebiegła się zrobiła i chytra. Podpatrywała, naśladowała, ukrywała, zasłaniała się śmiechem i żartami. Krowy przestały wierzyć, ogonem gniewnie wywijając. Po tygodniu doła trzy razy dziennie pięć krów, inne pięć doł Janek. Walenty krowami się nie zajmował, tylko końmi. Rankiem, budzona przeraźliwym dzwonkiem Klotyldy, zbiegała wesoło z pięterka, pracując – w kuchni, na polu, w ogrodzie, w chlewie – śpiewała *Kaczki za wodą, gęsi za wodą, Oczy czarne, Ty pójdziesz górą, a ja doliną* – tylko te trzy piosenki miała w pamięci. Janek chichotał, ale z Joasi wesoła dziewczyna, skryty Walenty lekko się uśmiechał. On jeden zauważył te wrzody w zgięciach palców, niespodziewanie za rękę ją chwycił, dłoń do góry obrócił – przestraszył się. – Bój się Boga, dziewczyno... – Dał jej kawałek słoniny, żeby przykładała, bambrom słowa nie powiedział, zażartował tylko, że ręce ma delikatne, jak do fortepianu, a nie do łopaty.

Walenty, żonaty chłop z Pomorza, niezłe władający niemieckim, prawa ręka „szefa”, budził w niej lekki niepokój. Siedział za stołem – jadali w trójkę – czyściutko ubrany, w przeciwieństwie do niechlujnego Janka, którym wyraźnie pogardzał, zgrabny, okrągły na twarzy, łysawy. Biały kołnierzyk zapięty pod szyją nadawał mu wygląd wiejskiego proboszcza. Mówił mało, uśmiech miał sarkastyczny. Cieszył się poważaniem Polaków, ale przyjaciół nie miał. Mówiono o nim: porządny chłop, mówiono też: sobek. Jego zachowanie w stosunku do „szefów” cechował dyskretny dystans – szanowała go za to. Postępowała podobnie.

Gospodarze należeli do kasty grossbauerów, niby chłopci, niby mieszczanie. Rankiem zastała raz Klotyldę w oborze z uniesioną w górę spódnicą, innym razem, wieczorem, wsiadała do auta wystrojona, w futrze i kapeluszu, w zapachu perfum – jechała do teatru. Gospodarstwo domowe prowadziła żelazną ręką, wszystko odbywało się regularnie i pedantycznie, każdy dzień tygodnia miał nieodmiennie swoją potrawę – szpinak z pokrzywy jadano co wtorek, placki z kartofli w piątek, mięso w niedzielę i święta. W piwnicy stały na półkach, niczym książki w bibliotece, rzędy słoików z peklowaną szwininą, każdy słoik zaopatrzony numerkiem i datą świniobicia. Obecnie jadano rocznik czterdziesty. Klotylda z dumą oprowadzała ją po tym królestwie szlachtowanych świń, marynowanych owoców i jarzyn. Jej dumą była całkowicie uzasadniona, zbiory imponujące, ale Joanna szła obojętna,

odmawiając podziwu.

Miesiąc wyznaczony na czekanie mijał, znikły bóle w krzyżach – następstwo długich godzin pracy w polu – po wrzodach zostały blizny. Szybko – lecz nie za szybko – pojmowała niemiecki język, coraz więcej знаła słów, kleciła nawet zdania, stosując nieodmiennie okolicznikową formę cudzoziemskiego narzecza. (Janek tłumaczył, że jest to mowa łatwa, jedno niemieckie słowo starczy za dwa polskie, Joasia spamięta, mówił, *einmal* – raz, *einmal* – wiadro. *Beze* – miotła, *beze* – zły. *Schmeks* – smakuje, *schmeks* – słonina.)

Poszła z Schulzem na policję, gdzie wydali jej ausweis opatrzony pieczęciami i odciskami palców, który legalnie potwierdzał, że jest Joanną Pilecką. Po raz pierwszy odczuła coś w rodzaju cichej satysfakcji.

Zaprzyjaźniła się z Marysią od grafa i w niedziele chodziła z Walkiem i Jankiem do hrabiowskiej posiadłości znajdującej się kilka kilometrów za miasteczkiem. Marysia była tam służącą, Jurek ogrodnikiem. W niedzielę Polacy u nich się schodzili. Zbliżała się wczesna wiosna, park zieleniał, sadzawki kryła młodziotka rzęsa. Marysia, wysoka i postawna, miała okrągły pokoić w zamkowej baszcie na drugim piętrze. Z dumą pokazywała Joannie porcelanowy nocnik ukryty w nocnej szafce. Widzisz, jaki mam komfort? Rankiem wylewała zawartość na korony wysokich drzew. Śmiały się obie. Joanna patrzyła na rozległy widok, na parkowe drzewa, alejki, trawniki i klomby, i dalej na łąki, łąki bez końca, przez które płynęła szeroko, potoczyście wciąż ta sama rzeka Ruhra.

– Co się tak patrzysz – pytała Marysia – tam nie ma niczego do oglądania.

Pewnego razu, schodząc z baszty, spotkały na krętych schodach samego grafa – przyjechał z wojska na urlop, w mundurze, z monoklem na niebieskim oku. Getto stanęło jej przed oczyma jak żywe. Graf jednym palcem unióś w górę jej podbródek, zdziwił się:

– *Die sieht aus wie eine Deutsche.*

W domku Jurka ogrodnika zmyła wodą ten dotyk.

Kiedy przyszła tam pierwszy raz, Jurek wypowiedział to słynne zdanie chwalcące Hitlera za porządek, jaki zrobił z Żydami. Siedzący pod oknem wysoki, ogorzały chłopak wykrzyknął:

– Jak możesz tak mówić! Jak ci nie wstyd – wiesz przecież, co on... z Żydami...

– Patrzcie – roześmiał się Jurek – a może ty Żyd? – Pomyślała wtedy: zapamiętaj sobie tego chłopaka, nie znała jeszcze imienia Gienka.

Nigdy więcej nie słyszała uwag o Żydach.

W te niedzielne popołudnia chłopcy grali w karty: zawadiacki, płowowłosy Jurek, Adam – elegancik z wąsikami, urodziwy, rumiany jak jabłuszko Józef, sam właściciel wielkiego gospodarstwa pod Poznaniem, Staszek z włosami nastroszonymi trwałą ondulacją i Gienek, stolarz z Łodzi, który wstawił się za Żydami. Walenty kart nie uznawał. Dziewczęta były tylko dwie – Marysia od grafa i ona, Joanna. Rozmawiały. Marysia zwierzała się jej co tydzień z miłości do Jurka, który obiecał, że po wojnie rozwiedzie się z żoną i weźmie z nią ślub. – Czy mogę mu wierzyć? – pytała i Joanna co tydzień starała się rozwiać jej wątpliwości. O szóstej niedziela się kończyła – wracali na wieczorny udój. Doiła już szybko i sprawnie. Krowy przeniosły się wiosną na łąki, rano, w południe i wieczór chodziła z Jankiem na daleką wajdę. Ręczny wózek z bańkami na mleko hałaśliwie terkotał po kocich łbach, bańki brzęczały. Zewsząd słychać było w miasteczku ten sam terkot i brzęk. Na wajdzie pachniała ziemia. Krowy zbliżały się ociężałym krokiem i czekały cierpliwie, aż się je uwolni od ciężaru mleka. Polubiła ich smutny, osowiały wzrok. Nosiły ludzkie imiona, jedna z nich nazywała się Hedwig.

Nie spieszyli się z powrotem. Powolutku, mówiła do Janka, dzień długi, jeszcze się dość narobimy („narobimy” mówiła, nie „napracujemy”), a stara niech czeka. Częstowała go papierosem, zadowolony kładł się na ziemię i ćmił. Papierosy przynosił jej Gienek. Ćmiła także. Ziemia pachniała, pachniał wiatr. Jej związki z naturą stały się bliskie i intymne jak nigdy. Potrzebne stały się kolory,

zapachy, obudził się nagle głód piękna. Uważała te doznania za niegodne, uważała, że odczuwając w ten sposób, zdradza tych, których zostawiła w Polsce.

Z nastaniem wiosny spojrzenia chłopców zrobiły się lepkie, wyczekujące. Dorodny, rumiany jak jabłuszko Józef, patrząc na kręcący się po podwórzu drób, wzdychał: kogutowi to dobrze, raz hyc na jedną, raz hyc na drugą... Śmiał się dobrodusznym, tubalnym śmiechem. Mówiła teraz często o swojej wierności dla narzeczonego w Polsce i o ich wzajemnej wielkiej miłości. Z Gienkiem odbyła na ten temat długą rozmowę. Marysia od grafa z naganą w głosie szeptała do ucha: – A co ty wciąż taka święta? Głupia jesteś, tyle naszego, co użyjemy, wiosna to czas miłości.

Pewnego razu zaskoczył ją odwiedzinami Walenty, pora była późna, leżała już w łóżku. Stał w drzwiach, trochę pobladły, pachnący konwaliowym mydłem. Spytała: – A gdyby tak ktoś do twojej żony... późną nocą... co byś na to powiedział? – Przez kilka dni chodził urażony.

Wieczorami, udając się do swojej sztaby na pięterku, przystawała na chwilę pod drzwiami do pokoju bambrów. Nasłuchiwała. Głos radiowego spikera dochodził stłumiony i niewyraźny. Zegar głośno tykał. *Schwere Kämpfe...* Gdzie toczyły się te ciężkie walki? Czy wciąż pod Stalingradem? Nie chwyciła treści. Do gazet nie miała dostępu, pytała Walentego – sam niewiele wiedział, a za dużo wypytywać nie chciała o sprawy, które Joanny nie powinny były zbytnio interesować.

Pewnego razu, nasłuchując pod drzwiami, usłyszała *Siódmą* Beethovena, jej drugą część. Szybko uciekła. Dławiła ją ta muzyka cały wieczór.

W sztabie zamykała drzwi na klucz – zostawała sama na samą z sobą, bez Joanny.

Pisała przy stoliku pod oknem, za którym stała stodoła, nocą czarna, nie niebieska (co dzień rano patrzyła na jej wrota koloru morskiej wody), pisała listy do Jadwigi, niekiedy do Anki.

Pisała listy do Mariana i ojca, a napisawszy, darła je na drobne kawałki. Pisała notatki, które chowała pod obluźnioną deskę podłogi, na desce stawiała krzesło z miednicą i dzbankiem na wodę. Musiała potem te notatki zniszczyć.

Trzy miesiące upłynęły, od kiedy – natychmiast po przyjeździe – wysłała do Halinki list z nowymi adresami, swoim i Jadwigi. Halinka milczała. Wieczorami myślała o tym milczeniu, bała się go bardziej niż niektórych obrazów, które przepływały jej przed oczyma i przenikały do snów. Zasnęła szybko, zmęczona, zawsze z opuszczonymi w dół rękoma, które wciąż jeszcze drętwiały, nieczułe jak kawał drewna.

\*

Wiosną, w kwietniu chyba, nadszedł list od ojca do Jadwigi. Jako nadawca figurował dyrektor podstawowej szkoły w Z. i dopiero po wojnie dowiedziałyśmy się, że był to drugi list, jaki ojciec do nas napisał. Pierwszy, pożegnalny nie doszedł, bo nie został wysłany. Ten pożegnalny list napisał ojciec po odejściu ze schronu w rodzinnym grobowcu Ukraińca pszczelarza, dokąd pszczelarz przeniósł go z piwnicy, gdzie zimowały pszczoły, i zapowiedziawszy, że zjawiać się będzie co tydzień z odpowiednim zapasem żywności, zamknął na klucz kutą w żelazie bramę rodzinnej krypty. Kiedy po dwóch tygodniach ją otworzył, zastał ojca jeszcze przy życiu, wycieńczonego do ostatka. Ojciec nocował potem w stodołach, noc tu, noc tam, daremnie szukając stałego schronu. W jednej z tych stodół napisał do nas pożegnalny list oraz inny list, do swego przyjaciela, dyrektora szkoły podstawowej, z prośbą o pomoc w wyszukaniu schowka. „Nie będę miał ci za złe – pisał – jeśli nie będziesz mógł spełnić mojej prośby. Trudności są olbrzymie. Ale musisz mi przyrzec, że po wojnie oddasz załączony list moim córkom”.

Dyrektor szkoły podstawowej, przeczytawszy list ojca doręczony mu przez młodziutkiego pastuszka, odpisał: „Daj mi pięć dni czasu”. Wspólnie z przyjacielem, byłym senatorem chłopskiej partii, znalazł dla ojca schronienie na wsi, a list pożegnalny podarł.

„Najdroższa panno Jadziu – dniami i nocami myślę o Pani z miłością i tęsknotą i jak wędrowiec spragniony na pustyni wody wyczekuję chwili, kiedy się spotkamy. Mieszkam teraz na wsi, odżywiam się mlekiem i razowym chlebem” – tak pisał z podziemnego schowka.

Kiedy otwierałam list Jadwigi (Margareta, córka Schulzów, przyniosła go do kuchni i rzuciła na stół ze słowami: „Myślisz, że jestem twoim listonoszem, że co dzień będę ci listy przynosiła?”), wypadła najpierw kartka zapisana dobrze znanym, kanciastym, wysokim pismem. Atrament był zielony i te zielone, wysokie litery skakały przed oczyma jak koniki polne, nie byłam w stanie przeczytać ani słowa. Wybiegłam z kuchni. W stajni, na słomie długo czytałam list ojca.

Wkrótce potem Jadwiga otrzymała małą paczkę nadaną w Z. Nazwisko nadawcy nie było nam znane, znana była natomiast zawartość paczki: granatowa, wąska sukienka należąca do ciotki Stefanii. Oprócz sukienki niczego więcej w paczce nie było. Ciotka Stefania dawała w ten sposób sygnał: żyję, istnieję. Bo i jakimi słowami miała pisać? Wysyłając sukienkę – przez kogo, nie wiadomo – była jeszcze w getcie, ale już wkrótce, prawdopodobnie jeszcze zanim jej sygnał dotarł do Jadwigi, rozstrzelano ją razem z wszystkimi na wygonach koło stacji. Przejęta listem i sygnałem z getta, nie pomyślałam w pierwszej chwili, że Halinka, przekazując nasze adresy do Z., Agafii zapewne, sama nie napisała ani słowa. A tylko ona mogła mi donieść, co z Marianem. I dopiero wieczorem jak obuchem uderzyła mnie myśl, dlaczego wołała milczeć.

\*

Pojechałam do Jadwigi. Tym razem Schulz niespodziewanie wyraził na mój wyjazd zgodę (bez zgody bauera policja nie wydawała przepustek), od której dotychczas wykręcał się, jak tylko mógł. Walenty zaś, słysząc, że wybieram się do koleżanki w odwiedzinach, oświadczył, że pojedzie ze mną. – Chyba – dodał z przekąsem – chyba że moje towarzystwo jest ci niemiłe. – Zdawałam sobie sprawę, że jego obecność zniszczy nam spotkanie, na które czekałyśmy tyle czasu, uniemożliwi swobodną rozmowę, ale wiedziałam także, jak bardzo wrażliwy jest Walenty i jak łatwo go dotknąć. Nie chciałam (bałam się?) go urazić.

A jednak to nie jego obecność, względnie nie tylko jego obecność zniszczyła nasze spotkanie, które teraz, po otrzymaniu wieści od ojca, byłoby zapewne radosne – gdyby nie zniszczył go inny list, który nadszedł tuż przed niedzielą przewidzianą na odwiedzinach u Jadwigi.

Nie list właściwie, ale niebieska koperta adresowana do Pauliny i opatrzona dopiskiem zwrotu listu Anki do kuzynki w Sudetach. Dopisek, drobnymi gotyckimi literami (przez bauera w Sudetach pisany? przez miejscowego listonosza?), brzmiał: *Paulina Kostecka zur Zeit Gestapo*. Dobrą chwilę trwało, zanim odcyfrowałam ciasno zbite ze sobą litery, ale jedno słowo – Gestapo – od razu skoczyło mi do oczu, tak że zanim przeczytałam pozostałe słowa, odgadłam ich treść. *Paulina Kostecka zur Zeit Gestapo*. „Nie umiem odczytać dopisku na kopercie – pisała Anka – nie rozumiem, dlaczego list wrócił?”.

Moja ręka drżała. Ogarnięta nagłą słabością, usiadłam, i tak już ta chwila została: ja siedząca przy stole w kuchni Klotyldy Schulz z niebieską kopertą w ręku, pochylona nad nią w skupieniu, z uwagą, obok Margareta (bo to ona jak zwykle przyniosła list i rzuciła go na stół), a na podłodze wiadro z ziemniakami, które przed chwilą obierałam.

Gestapo! Instynkt natychmiast podsunął słowo „uciekać”, uciekać, które już we mnie zostało i nie dawało spokoju, i z tym słowem jechałam potem do Jadwigi, a odświętnie wystrojony Walenty jechał ze mną, po raz pierwszy od dwóch lat wyruszał w taką daleką, bo aż jednogodzinną drogę pociągiem. Więc to nie tylko jego obecność zniszczyła spotkanie, które miało być radosne ze względu na wieść od ojca i w pewnym sensie było też takie, jako że Jadwiga od chwili otrzymania listu ojca żyła w nastroju radości, której nic nie było w stanie zaćmić. Ani dopisek: *Paulina Kostecka zur Zeit Gestapo*, ani

słowo „uciekać”, które natychmiast jej rzuciłam.

– Myślę, że to nie ma z nami nic wspólnego.

– Jak to? – pytałam. Byłyśmy same w jej sztubie, krótko, kilka chwil tylko, gdyż bauerka nie pozwalała przyjmować w sztubie gości. – Pomyśl... ta paczka, którą Paulina przysłać miała Ance do obozu przez znajomą Niemkę... pomyśl tylko, jeśli Niemka przyjechała tam po naszej ucieczce, to znaczy...

– Od tego czasu minęło pięć miesięcy! Przecież Paulina mogła wpaść z innego powodu i zapewne tak było, nie sądzę, że jej aresztowanie ma jakiś związek z naszą sprawą. Sudety daleko.

I znów powracała do listu ojca, mówiła, że dodał jej sił, nie zdajesz sobie sprawy, jak mi pomógł, nie wiesz, jak bardzo mi tu źle. Wiedziałam, jak bardzo jej źle, pisała o szykanach Niemki, ale każdy jej list kończyło zdanie „poza tym w porządku” i w obliczu tego zdania wszystko inne traciło wagę, schodziło na drugi plan. Tylko to było ważne: nikt jej nie podejrzewał – ani wstrętna bauerka, ani Stefan, Polak, ani Serb Branko, ani Wiktor, Rosjanin.

Była ich tam czwórka niewolników – posiadłość wielka, mąż bauerki na froncie. Gospodarkę prowadził Stefan i to właśnie ratowało Jadwigę, bo Stefan pomagał jej i chronił przed szykanami. Wysoki, silny, energiczny – Niemka liczyła się z nim, bała się go stracić.

Spacerowaliśmy potem wszyscy razem wolnym krokiem, jak chłopcy na niedzielnej przechadzce, prowadząc skąpą rozmowę o gospodarskich sprawach i o bauerach. Wymieniałyśmy ukradkiem spojrzenia z Jadwigą – musiały starczyć za słowa. Była mizerna, szczuplutka, w wąskiej granatowej sukience ciotki Stefanii. Ręce miała starej spracowanej kobiety. Na stację wracaliśmy sami. Jadwiga i Branko poszli do krów, Stefan z Wiktorem do koni. Z okna na pierwszym piętrze bauerka patrzyła za nami niechętnym wzrokiem.

Walenty siedział w pociągu markotny, Stefan nie przypadł mu do gustu. – A twoja koleżanka – powiedział – trochę do Żydówki podobna.

– Muszę jej to powtórzyć. Uśmieje się – odrzekłam.

\*

Napisałam do Anki, żeby przyjechała, chciałam z nią porozmawiać. Zjawiła się w następną niedzielę nieco zmizerniała, ale wciąż jeszcze śliczna. Ku memu zdumieniu podzielała w pełni zdanie Jadwigi, powtórzyła nawet te same słowa.

– Biedna Paulina, ale to nie ma z nami nic wspólnego... poza tym Sudety... tak daleko. – Nie, nie sądziła, że należy uciekać, uważała, że przesadzam...

Słuchałam z chęcią i ulgą. Słowo „uciekać” wędło we mnie powoli, pewnego razu stwierdziłam: umilkło. (To właśnie tej niedzieli Walenty wypowiedział na dworcu słowa, których nie mogłam zapomnieć.)

\*

Miały więc rację Anka i Jadwiga – minęły już trzy tygodnie, od kiedy wrócił list pisany do Pauliny. Nie myślałam o tym więcej. Raz jeden siedziałam we śnie pod wierzbą płaczącą na brzegu naszej małej rzeczki i Anka nadeszła z niebieską kopertą w ręce. – *Zur Zeit Gestapo* – powiedziała głośno po niemiecku i szła dalej w swoim niebieskim, kloszowym płaszczu. Niebo odbijało się w rzece, której woda przybrała niebieski kolor, ale nagle spostrzegłam, że to nie rzeka, tylko wrota stodoły za oknem mojej sztuby.

W porannym dzwonku Klotyldy wyczułam alarm. Stała u progu schodów z zaciśniętymi w kreskę ustami, z trudem hamując złość. Klotylda rzadko dawała upust złości, a jeśli, robiła to w spokojny,

ironiczny sposób. Nasze wzajemne stosunki były chłodne, lecz poprawne. Nie zabiegałam nigdy o jej względy, ona zaś nigdy nie podnosiła głosu. Była oschła, lecz sprawiedliwa. Tym razem krzyknęła.

– Co ty sobie myślisz? Czy nie wiesz, że nie wolno ci przyjmować żadnych wizyt? W dodatku męskich.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

– Nikt mnie nie odwiedza. Nikt, nigdy.

– Nie kłam!

– Nie kłamię – krzyknęłam oburzona.

– A kto był dziś w nocy pod twoim oknem? Kto wołał? Kto gwizdał? Na kogo czekałaś?

Patrzyłam na nią zdumiona.

– *Niemand rufen, niemand pfeifen. Vielleicht Sie träumen?*

– *Träumen? Herr Schulz* wybiegł na podwórze, ale twój nocny gość zdołał uciec. Słyszeliśmy oboje, jak biegł w stronę ulicy.

\*

Dzień był duszny i gorący, po niebie przewalały się żółtoszare chmury, od ziemi szedł wilgotny gorąc. Wyszliśmy w pole natychmiast po obiedzie.

– Burza będzie, ani chybi – prorokował Walenty, wskazując na rój drobnych muszek wirujących w powietrzu. – Zmokniemy przy tej zasranej robocie...

Schulzowie i Margareta wyprzedzili nas o spory kawał drogi – szli różnym, ochoczym krokiem, z motykami na ramieniu. Wlekliśmy się za nimi ospale, głusi na pokrzykiwania.

– Niech sobie wołają – pokpiwał Janek – a my powolutku, nie ma durnych.

– Mocny jesteś w gębie, wśród swoich, a jak do czego przychodzi, robisz w portki – zaśmiał się Walenty.

Janek nie odpowiedział. Wiadomo, Walenty zawsze ma rację i kłócić się z nim nie ma sensu, bo i tak na jego wyjdzie. Żal mi często głupkowatego, poczciwego Janka, do którego nie dociera nic poza potrzebą snu i głodem żołądka. Żyją z Walkiem od trzech lat w jednej sztubie równie sobie obcy jak pierwszego dnia. Walenty krzywi się trochę na takie głupkowate towarzystwo, nie wypada mu przyjaźnić się z dorożkarskim koniem (Janek miał ponoć dorożkę w letniskowej miejscowości, czym często się chwali).

– Z nim zawsze tak – zwrócił się do mnie – narzeka, wymyśla, ale boi się, że hej! Łatwo być mocnym po polsku, kiedy cię nie rozumieją.

– No cóż, ja nie znam, jak Walenty, ichniego języka.

– To się przyucz, patrz na Joasię, piąty miesiąc dopiero tutaj, a już zaczyna mówić. A ty co? Tyle umiesz, żeby starego o *Tabak* poprosić albo zameldować w polu, że idziesz *scheisse*.

Droga szła skrajem wzgórza. W dole dymiła fabryka, a dalej wśród łąk płynęła Ruhra. Łąki i lasy nabrały soczystych kolorów, czuło się, że wiosna ustępuje latu.

– Jak się rozżłoszczę, to do fabryki pójdę, tam fajrant o szóstej, wyspać się można, a tu co – krowie ogony wiecznie pucować i giemizę żreć, takie gównno.

– Ja tam krowom pod ogony nie zaglądam – zapysznił się Walek.

Miał w pogardzie moją i Janka robotę w oborze.

– Jaka różnica, krowom czy koniom – wtrąciłam.

– Jaka różnica? Dziewczyno, coś ty...

Wolałam nie podtrzymywać dyskusji o hierarchii stajenno--oborowej. A myślałam, że zgłębiłam już wszystkie jej tajniki. Byłam w spokojnym, dobrym nastroju. Od nadejścia niebieskiej koperty z gotyckim dopiskiem minęły trzy tygodnie.

Anna i Jadwiga miały rację: aresztowanie Pauliny nie miało z nami nic wspólnego. Przy drodze rosną żółte polne kwiaty, narwę ich, postawię w sztabie. Widać już zagon długi, sięgający pod las, cały w zielonych rzędach młodych buraczków. Klotylda i Margareta klęczą – przerywanie odbywa się na kolanach – Schulz stoi w obwiązanych dokoła kolan workach i czeka. Jest wściekły, klnie pod nosem. Ta scena powtarza się za każdym razem: przychodzimy na pole stale z opóźnieniem. Początkowo awanturowali się i krzyczeli, ale widząc, że to nie odnosi skutku, ograniczają się teraz do cichych, gniewnych pomrukiwań.

Wiążę onuce ze starych worków, okręcam je sznurkiem. Spadło kilka wielkich kropel deszczu – zapowiedź ulewy.

– *Herrgott!* Ruszajcie się prędzej, do licha! Waldemar i Janek – do pani! Johanna pójdzie ze mną.

To było coś nowego – zdziwiliśmy się wszyscy troje.

– Uważaj, żeby stara nie przetrąciła ci kości – zaśmiał się Walenty.

– Głupi jesteś – odpowiedziałam machinalnie. Dotychczas pracowaliśmy zawsze we trójkę: Walek, Janek i ja. Co oznacza ta innowacja? W gardle lekki skurcz – sygnał niepokoju. Klękam posłusznie obok Schulza, od chłopców i obu kobiet dzieli nas kilkanaście metrów. Wyrwam uważnie młode buraczki rosnące w kępkach, zostawiając po dwie, trzy najładniejsze sadzonki, muszą mieć miejsce – *Lebensraum!* – by rozrósć się w pękate buraki, które jesienią zwiezie się do piwnicy. Jesienią! Co będzie jesienią – kto to wie?

Deszcz pada na razie rzadki i drobny, ziemia jest grząska, sunąc na czworakach, zostawiam za sobą głębokie ślady kolan i dłoni. Schulz przerwał pracę, wstał, patrzy na mnie.

– Powiedz, Johanna, twoja koleżanka, ta, która odwiedziła cię niedawno, *wie heisst sie* – Anna? – to Żydówka, prawda?

Patrzę mu w oczy, rozbawiona tym pytaniem (zawsze ta sama wstępna reakcja: rozbawienie. Za każdym razem to samo się powtarza).

– *Was?* – Opieram się mocno ręką o ziemię, by ukryć drżenie.

– To jest Żydówka – *eine Jüdin*, rozumiesz chyba, co mówię!

– *Was Chef sagen* – odpowiadam obrażonym głosem. – *Anna nix Jude.*

– I ta druga – jest także Żydówką. Uciekłyście razem, *stimmt?*

– Tak. *Ich das schon sagen.* Uciekłyśmy z transportu.

– A może nie z transportu, tylko z obozu przy fabryce?

– *Nix Lager.* Uciekłyśmy z transportu.

– *So, so.* Ty jesteś jasną blondynką, Johanna, ale... – Wytrzymuję spojrzenie. – Ale co? – Z mojej twarzy nie schodzi przepisowy wyraz rozbawionego zdumienia. Schulz klęka, rozmowa skończona.

Wyrwam buraczki i śpiewam na cały głos. – Co się tak drzesz? – woła Walenty. Drę się, bo chce mi się krzyżeć. Jak w obozie, jak w obozie... A poprzez walenie serca, poprzez łomot w uszach czuję zwykły dziecienny żal i chce mi się płakać. Znaleźli – nie udało się, cały trud na nic. Wszystko w gruzach. I nagle olśnienie, myśl, że to Anka, Anka była dziś w nocy pod moim oknem, to ona gwizdała, chciała ostrzec, zawiadomić. *Paulina Kostecka zur Zeit Gestapo*, adres Anki w rękach Gestapo – młyny Gestapo miałą powoli, lecz dokładnie, trzy tygodnie minęły za ledwie (za ledwie czy – już?), pierwsza reakcja była słuszna – uciekać, nie powinnam była ulec argumentom, że Sudety daleko i że to nie ma z nami nic wspólnego. Klotylda powiedziała: ciężkie, męskie kroki. Może był to wysłannik Anki? Nieważne. Ktoś chciał mnie ostrzec, powiedzieć...

Już jestem spokojna. Śpiewam *Oczy czarne* i słyszę, jak Walek mówi do Klotyldy: – *Johanna ist lustig, Johanna hat einen Schatz, sie ist verliebt* – i po raz pierwszy jestem mu wdzięczna.



Deszcz spędził nas z pola. Lunął gwałtownie, pachnący, wiosenny. Ten zapach dławił. Biegliśmy, ociekając wodą.

– Czego stary chciał od ciebie?

– Mówił, że musi mnie pilnować, bo jestem leniwa.

– I z tego tak się śmiałaś?

– No chyba, niech pilnuje.

Biegnąc, układałam w myślach plan, jutro uciekamy, szczęście, że jutro niedziela, po południu pojedę do Jadwigi i razem z nią dalej, dziś muszę zdobyć dla Jadwigi buciki, mam *Bezugschein* na *Holzschuhe*, ale w drewniakach nie może jechać, muszę przekonać szewca, żeby sprzedał mi skórzane, już raz dał się przekonać – wiśniowe czółenka są tego dowodem, więc może i tym razem uda mi się... jak to: „może się uda?”, musi się udać, Jadwiga musi mieć skórzane buciki na podróż i będzie je miała, na daleką podróż, nie wiadomo jeszcze dokąd. Nie wiadomo także, w jaki sposób się dowiedzieć, czy Anka naprawdę uciekła, nie możemy jej zostawić samej, a nuż domysły, że to ona gwizdała w nocy pod moim oknem, ona lub ktoś przez nią wysłany, nie są słuszne i prawda jest inna? Jak to – nie wiadomo, w jaki sposób się dowiedzieć? Nie kłam. Wiesz przecież, że tylko jeden jest na to sposób, wiesz to od dłuższej chwili, i biegnąc w deszczu, myślisz: Gienek, od dłuższej chwili wiesz, że bez pomocy nie dasz rady, a tylko Gienka możesz o pomoc prosić, tylko Gienka, który za pierwszą twoją wizytą u Marysi i Jurka wystąpił w obronie Żydów, a ty pomyślałaś: zapamiętaj sobie tego chłopca, który ponadto pozostał przyjacielem, mimo tej długiej rozmowy-odmowy, jaką z nim odbyłaś na temat kochania. Nie kłam więc. Więc już nie kłamię sama przed sobą, tylko myślę: on mi pomoże, powiem mu prawdę. Nie chcę go oszukiwać. Po raz pierwszy, wbrew świętym zasadom, dopuszczę kogoś do naszej tajemnicy, być może brak mi sił na udźwignięcie nowego ciosu.

Już zjedliśmy kolację, już zmyłam naczynia. Po deszczu słońce świeci, w sobotę fajrant wcześniejszy. Z pokoju bambrów dochodzi muzyka i *plattdeutsch* Klotyldy, Margareta kręci loki na niedzielę, w łazience pali się w piecu na rodzinną kąpiel (po kolei, w jednej i tej samej wodzie będą się kąpali).

Miała dotychczas, bo niosąca zapowiedź wolnych niedzielnych chwil, atmosfera sobotnich wieczorów jest mi nagle nienawistna, jej przytulność i spokój – odpychają. Siedzę w sztabie bez ruchu, bez myśli. Trzask zamykanych drzwi budzi mnie z odrętwienia: Schulz wyszedł do miasta. Dokąd? W jakiej sprawie? W sobotnie wieczory nigdy nie opuszczał domu. Wyjmuję z szuflady listy Jadwigi, spod obluźnionej deski zapiski i notatnik, drę na drobne kawałki, wrzucam do ustępu w oborze. Potem melduję Klotyldzie, że idę do szewca po buciki.

Staruszek szewc cieszy się wśród Polaków dobrą opinią, ponoć można się z nim zawsze dogadać, dziś jednak mówi *ausgeschlossen*, nie może. Ale podróżowanie w drewniakach jest jak najbardziej niewskazane, ach *Herr Joseph*, wołam – czy pan zapomniał, że te śliczne wiśniowe *Lederschuhe* mają bardzo wysokie obcasy? Czy pan już kiedyś próbował chodzić po całym dniu ciężkiej pracy na wysokich obcasach?

Staruszek Joseph śmieje się z tego dowcipu, he, he..., *sind alle Polen so witzig?* Jeszcze chwilę będzie się bronił, ale w końcu sięgnie pod ladę. – *Der letzte Mai...*

Na ulicy zrobiłam kilka kroków w kierunku domu gospodarza Gienka... i zawróciłam. Nie. Nie będę go wciągała w nasze sprawy. To na pewno była Anka, któż inny mógłby być? Ujrzałam nagle policjanta siedzącego za stołem w kuchni Klotyldy, czekającego na mnie, i pudełko z butami rozśmieszyło mnie.

Z bocznej uliczki głos Gienka zawołał: – Dokąd to? Zaczekaj! – Wracał z pola, bardziej niż zwykle ogorzały, szedł elastycznym krokiem, wysoki, silny, spokojny. Pokazałam mu buciki – gwizdnął z podziwem.

– Wspaniałe, jutro je włożysz, pójdziemy na spacer. – Nie odpowiedziałam, więc spytał: – Co ci

jest?

- Nic.
  - Nie oszukasz mnie. Pokłóciłaś się ze starą? Gwiżdź na to.
  - Z nikim się nie pokłóciłam.
  - Ale coś ci dolega, widzę przecież. Powiedz mi, może będę mógł pomóc, przecież wiesz...
  - Przyjdź wieczorem do wąwozu za ogrodami, powiem ci.
  - Coś poważnego?
- W jego głosie zabrzmiała troska.

\*

W sztubie otworzyłam okno. Wiatr przyniósł z ogrodów zapach maciejki. Do spotkania z Gienkiem miałam jeszcze godzinę. Położyłam się na łóżku i wspomnienie ostatnich dni obozowych, wspomnienie czekania, wróciło z niezwykłą siłą. Leżałyśmy na pryczach bezradne, przeżywając śmierć w chwilach zwątpienia, zmartwychwstając z każdym przebłyskiem otuchy. Ale tam byłyśmy wszystkie razem, a teraz jestem sama i Jadwiga jest sama... Zerwałam się: Schulz wrócił. Wrócił sam. Słyszałam jego podniesiony głos dobiegający z dołu, opowiadał coś Klotyldzie, Margareta zaśmiała się głośno, radio umilkło, kroki ucichły. Poszli spać.

Zeszłam ostrożnie po schodach. Drzwi ze stajni na podwórze były zamknięte na klucz. Przesunęłam ręką po belce biegnącej wzdłuż ścian – nie omyliłam się: klucz znalazłam w kącie, daleko od drzwi. Zawróciłam do pokoju chłopców. Janek leżał na łóżku i wpatrzony w sufit kopcił fajkę. Pozazdrościłam mu tej spokojnej beczynności. Walenty pisał list, na mój widok odłożył ołówek.

- Siadaj, czemu nie przyszłaś? Wszyscy tu byli, ale poszli już spać.
- Wychodzę jeszcze. Wrócę za godzinę, chciałam was prosić...
- Wychodzisz? To coś nowego. A co narzeczony? – zakpił.

Udałam, że nie słyszę.

– Wiesz, stary zamknął drzwi na podwórze, ale znalazłam klucz. Proszę, zamknij za mną, jak wrócę – zawołam.

– Zamknął drzwi, mówisz... A to skurwysyn. To także nowe obyczaje.

W wąwozie usiadłam na zwalonej kłodzie drzewa i czekałam. Niebo wisiało czyste, usiane gwiazdami, w powietrzu stał jeszcze zapach deszczu. Co powiem Gienkowi? Jak mu powiem? Żałowałam nagle swego kroku, nie czułam się zdolna do tej spowiedzi, bałam się słów, które będę musiała wypowiedzieć na głos. Gienek nadszedł szybkim krokiem, usiadł, objął mnie ramieniem. Ubiegłam jego pytanie. Powiedziałam:

- Wiesz, ja jestem Żydówką.
- No to co?

Byłam przygotowana na wyraz zdumienia, na zmieszanie, chwilę kłopotliwego milczenia – na wszystko, tylko nie na te zwykłe, normalne słowa. Napięcie ostatnich godzin nagle się załamało. Zagryzłam wargi – za Boga nie chciałam płakać.

– Więc co z tego, że jesteś Żydówką? – powtórzył. Słuchał uważnie, nie przerywając ani słowem, dopiero teraz zdumiony. Uśmiech znikł z jego twarzy – dopiero teraz zrozumiał. Zachnął się, gdy powiedziałam, że proszę go tylko, by się dowiedział, czy Anka uciekła.

– Nie mów głupstw i nie bądź dziecinna – zawołał. – Pojadę do Anki, pojadę też do Jadwigi, ja a pojadę, nie ty, tobie nie wolno. A dla mnie to drobnostka.

Jutro rano pojedzie do Anki, a po południu do Jadwigi i powie jej, żeby wieczorem była na dworcu, gotowa do drogi... jemu nic nie grozi, lubi nawet takie historie...

A potem jeszcze spytał, czy ten mój narzeczony naprawdę istnieje, czy też i jego wymyśliłam sobie,

tak jak wymyśliłam Katarzynę i Joannę.

Wracam wzdłuż ogrodów, pachnie maciejka, pachnie rezedą. Ostrożnie otworzona furtka, ostrożne, na palcach kroki przez podwórze. Pod oknami chłopców (ich sztuba, w gospodarskiej części obejścia, leży daleko od mieszkania Schulzów) wołam Walentego. Schodzi natychmiast. Jest zły.

– Gdzie ty się włóczysz po nocach, dziewczyno, uważaj, dobrze ci radzę, jeszcze dopytasz się kłopotów.

Nie zdejmując ubrania, rzucam się na łóżko. Tylko jutrzejszy dzień jeszcze. Przygotować sukienkę, wyczyścić plamy na płaszczu pamiętającym nocę w lesie. Pojedziemy na południe, na sam dół, w okolice jeziora, w pobliże szwajcarskiej granicy.

O ile wcześniej nie zjawi się policja.

\*

Idąc w południe z Jankiem na wajdę, ujrzałam Gienka – szedł, pogwizdując, z rękoma w kieszeniach. Pomyślałam, że zmienił zdanie lub też nie może – nie chce? – pojechać, i bolesne ssanie odezwało się w dołku.

– Widzi Joasia, kto idzie? – ucieszył się Janek. – Będą papierosy!

Gienek oznajmił, że idzie na łąkę sprawdzić, czy trawa dobra pod kosę, ale skoro nas spotkał – posiedzi trochę, nie spieszy się. Usiadłam przy krowie z wiadrem między kolanami, ułożył się obok, w trawie. Poczekaliśmy chwilę, aż Janek, uszczęśliwiony sulimą, oddali się.

– Nie możesz jechać?

– Anka uciekła. Nie ma jej.

Krowa wierzgnęła, rozgniewana wywinęła ogonem – szybki, nerwowy skurcz moich palców sprawił jej ból.

– Byłeś tam?

– Nie byłem. Spotkałem na dworcu znajomego chłopaka, sam mi powiedział, nawet pytać nie musiałem. Bądź co bądź – nowina.

– Co... powiedział?

– Ano, że była u nich taka jedna, pracowała u najbogatszego bauera, ale wzięła i uciekła. Ponoć Żydówka była i dlatego... Policja jej szukała. Śliczna dziewczyna, nic do Żydówki niepodobna.

Najpierw było nas sześć, potem cztery, potem trzy. Przestań, mówię sobie, po co to głupie liczenie, wiedziałas przecież, że uciekła, chciałas sprawdzić tylko na wszelki wypadek, dla spokoju sumienia.

Nie była czuła, chłodna raczej, a jednak wtedy na dworcu, w ostatniej chwili, pociąg już wjeżdżał na peron... Rudawe błyski w jej włosach i słowa Walentego, prorocze, niedobre, że tak się zegnamy, jakby na zawsze. Dlaczego na zawsze? – Wiem – na zawsze.

– Spodziewałas się przecież, że uciekła, więc o co ci chodzi? – mówi Gienek.

Naprawdę nie wiem, o co mi chodzi, może o to, że nie próbowałam przekonać jej i Jadwigi, a raczej że uległam ich argumentom, bo tak było łatwiej, wygodniej, może o to mi chodzi, że jest późno, kto wie, czy nie za późno.

Krowa kopnęła wiadro, mleko się wylało, wsiąkło w trawę.

– Czekam w wąwozie o ósmej. I nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Nadszedł Janek, zapaliliśmy jeszcze po sulimie.

– Gienek to morowy chłop – medytował Janek w powrotnej drodze. – Nie narobi się za wiele, pańskie papierosy pali, babom się podoba...

Klotylda wypytała dokładnie: czy wychodzę po południu? Przecież niedziela. Dokąd idę? Do Niederwiesen. Z Walentym? Z Walentym. – Punktualnie o szóstej masz być z powrotem. – Jak gdyby przed szóstą nie można było uciec...

W parku grafa rododendrony zakwitły, trawniki zrobiły się miękkie jak dywany. Jurek stolik wystawił przed drewniany domek, słońce przygrzewa. W sześćdziesiąt sześć grają, na słońcu się grzeją. Wszystko niby jak każdej niedzieli, ale inaczej. To nie Joanny oko patrzy, nie Joanny ucho słucha. Rubaszne śmiechy, niewybredne żarty, wiecznie te same rozmowy, tępy niedzielny spokój parobków-niewolników. Szczęśliwcy!

Marysia: – Adam pisał do ciebie?

– Pisał.

– Ty mu się podobasz, a on tobie?

Jak by się Adam zachował, gdybym mu powiedziała? Nie powiedziałabym mu nigdy. „Jest w tobie coś obcego, nie wiem, na czym to polega, dziwna jesteś dziewczyna” – mówił. Nie chcę wiedzieć, jak by się zachował.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka niedotykalna, to po prostu nienormalne. Napisał już, że cię kocha?

– Nie.

– Jak napisze, to mi powiesz?

– Powiem. Komu jak komu, ale tobie powiem.

Tobie mogłabym powiedzieć prawdę, jesteś dobrą, przyzwoitą dziewczyną, dla której nie istnieje nic prócz miłości. Joanna bardzo ciebie lubiła. Ale masz długi język, a twój Jurek uważa, że jedyną zaletą Hitlera jest, no, już wiesz co...

– W ogóle masz szczęście. Gienek durzy się w tobie, ale tak między nami: Adam jest przystojniejszy, ja bardzo lubię wąsiki.

Marysia mruży oczy przed łagodnym słońcem, wiatr znad Ruhry rozwiewa jej cienkie włosy. Pełna, różowa twarz o małych oczkach przypomina miłą marcypanową świnkę. Przykro mi, że muszę prosić o zwrot pieniędzy, które jej pożyczyłam. Mam wszystkiego trzydzieści marek, a nie wiadomo, ile ma Jadwiga.

– Kochana, oddam ci po pierwszym, kupiłam Jurkowi dwie koszule w kraty, wiesz, bo on strasznie był rozgniewany, nawet rękę na mnie podniósł... bo Jurek...

Wracam ze Staszkiem, dumnym ze swojej nowej trwałej, którą zrobił na lato. Jest na szczęście małomównym chłopcem i jedyne zdanie, jakie wygłasza, dotyczy wojny i brzmi: gadają, że szkopy w dupę biorą na froncie.

\*

Fajrant. Kuchnia wysprzątana, przed drzwiami stoi rząd świeżo wyszorowanych baniek na mleko, których nie będę już dźwigała. Teraz jeszcze na chwilę do chłopców z pożegnalną wizytą. Jutro się dowiedzą .

Nie mogę chwili usiedzieć, na stojąco zapalam papierosa, Gienek już wrócił, za dwie godziny spotkam się z Jadwigą, wsiądziemy do pociągu.

– Stary jedzie jutro do Iserlohn – mówi Walenty – będzie można pomarudzić z robotą.

Schulz jedzie do Arbeitsamtu, po nową robotnicę.

– No to do jutra – mówię i szybko odchodzę. Jutro się dowiedzą.

Włożyłam nową sukienkę, włosy splotłam nad czołem w warkocze, zabrałam buciki dla Jadwigi, zabrałam płaszcz i torebkę z połówką podkowy i trzydziestoma markami. Na strychu przysunęłam drabinę do otworu na zrzucanie siana i zesłam wprost do stajni, omijając kuchnię i sąsiadujące z nią pokoje bauerów. Z podwórza wyszłam schodami na ścieżkę wzdłuż ogrodów. Obejście Schulzów widoczne stąd było jak na dłoni, wieczór jasny, czysty. W oświetlonym oknie zamajaczyła postać Janka w białej koszuli.

Gienek już czekał. Siedział na kłodzie drzewa, w tym samym miejscu, gdzie wczoraj słuchał mojej spowiedzi. Nie słyszał moich kroków, drgnął jak oparzony, kiedy dotknęłam jego ramienia. Zrozumiałam natychmiast, że coś się stało, pomyślałam z rozpaczą, że Jadwigę zabrali, przyjechał za późno.

– Ona jest bardzo chora, w tym stanie nie może jechać. Policja była u niej... – powiedział to cichym, miękkim głosem, tak jakbym to ja, a nie ona, była chora, i ton jego głosu bardzo mnie roz-drażnił.

– Opowiedz od początku – powiedziałam sucho. Popatrzył na mnie zdziwiony, a że nadal stał bez słowa, dodałam ze złością: – Mów już, słucham.

Rozmawiał ze Stefanem, który wiedział o wszystkim – Jadwigi nie widział. Jest chora, ma wysoką gorączkę, nie może jeść, nie może pić, nie przyjmuje pokarmów. Zemdlała. Ukrywa przed bauerką swój stan – Stefan pomaga jej, wyręcza we wszystkich ciężkich robotach. Musi ukrywać, jak bardzo jest chora, musi pracować: zachorowała tuż przed zjawieniem się policji. Bauerka zawołała ją: – *Komm, du verfluchte Jüdin* – na dziedzińcu przed domem stali dwaj gestapowcy. Stefan podsłuchał potem rozmowę Niemki z policją. Tylko na usilne prośby bauerki zgodzili się zostawić Jadwigę do czasu, gdy Arbeitsamt przyśle nową pracownicę. *Einige Tage*. Odeszli, zabrali Jadwigi *ausweis*. Natychmiast po ich odejściu Niemka zawiadomiła Arbeitsamt. *Du verfluchte Jüdin* – mówiła do Jadwigi.

Milczę, skamieniałam. Nie wygrzebiemy się.

– Stefan przyjedzie w środę wieczorem, powie, kiedy Jadwiga będzie mogła uciekać.

Trzy dni! Nie wygrzebiemy się.

– Musi zebrać siły, musi – mówię.

– Jest bardzo chora, zrozum.

– Musi mieć siły, musi.

– Uspokój się.

Chciałabym Gienkowi wytłumaczyć, że nie na niego się złościę i nie na Jadwigę. Dopiero przy furtce ogrodowej proszę, żeby się nie gniewał. – Co ja bym bez ciebie zrobiła? – pytam nie tyle jego, co siebie. Rezeda, maciejka... – jak w domu nad rzeką. Tylko żaby nie kumkają. W pokoju chłopców jeszcze jasno.

Muszę się przespać godzinę, a potem spokojnie wszystko przemyśleć – wciąż jeszcze wierzę w zbawienne działanie snu. Z głębi podwórza czyjś śmiech. To Walenty, śmiejąc się, pyta, czemu z płaszczem na randki chodzę, czy mój kawaler nie umie mnie rozgrzać.

\*

Dni wypełnione podwójnym czekaniem – na wiadomość od Jadwigi i na przyjscie policji. Mozolnie przedzieram się przez czas, jakbym się przez zasy śniegu przedzierała, krok po kroku, godzina po godzinie, ani chwili wytchnienia w żmudnej pracy czekania. Chyba że nocą. Nocą bezpieczniej, bo niby dlaczego mieliby się fatygować w godzinach przeznaczonych na sen? Nocą rozumowałam: może i Schulzowi pozwolili zatrzymać mnie do czasu, gdy dostanie nową robotnicę, ale już o brzasku, z pierwszym światłem mówiłam sobie, że tak czy owak, przyjść muszą, choćby po to, by zadać mi te same pytania, co Jadwidze, i już o brzasku rozpoczynałam czekanie, a równocześnie wesoło zbiegałam z pięterka, ładowałam ochoczo bańki na wózek, krowy doiłam, świnię karmiłam i nie odczuwając bólu w krzyżach, na który po kilku godzinach pracy narzekali Janek i Walenty, przemierzałam na kolanach zagony buraków, gdyż wciąż jeszcze trwał okres ich przerywania. W wysiłku fizycznym szukałam ulgi, chronił przed pracą wyobraźni.

Z tych dni żmudnego czekania został obraz z łąką i pociągiem, to było tego dnia, kiedy powoli nadciągała burza – pod czarnymi, brzemiennymi w deszcz chmurami grabiliśmy na łące siano.

Wzdłuż łąki przesunął się długi wąż pociągu. Patrząc, jak znika z oczu, poczułam nagle – wyraźnie, dotkliwie – bliskość zagrożenia, niemożność wydostania się z jego kręgu. Daremne szamotania, daremne wysiłki! Obręcz ścisnęła żebra, świat umilkł, pociemniał, zaległa ciężka, gęsta cisza. Rzuciłam grabie na ziemię, szarpnęłam bluzkę, z trudem złapałam oddech.

\*

Marysia niespodziewanie odesłała pożyczone pieniądze. Poprosiłam Gienka, by kupił u „swego” Niemca dwa kapelusze i dwie pary rękawiczek. Był to Niemiec, który sprzedawał Gienkowi różne rzeczy dla jego siostry – pracowała w fabryce pod Berlinem – nie było więc obawy, że zakup wzbudzi podejrzenia. Rękawiczki z cienkiej skórki miały szpiclowski kolor beż i podobnie jak czapeczka były niezwykle eleganckie. Słomkowy kapelusz z wielką kresą obiecał dostarczyć za kilka dni. Gienek uśmiechał się, rozbawiły go te kapelusze, litościwy ton zniknął z jego głosu.

\*

W środę wieczorem wykradłam się z domu przez okno w oborze – nie chciałam prosić chłopców o zamykanie i otwieranie drzwi, wiedziałam, że wrócę późną nocą. Długo mocowałam się z oknem, ognojone buciki starannie czyściłam trawą. Poszliśmy z Gienkiem ścieżką prowadzącą równolegle do kolejowego toru, Stefan miał tędy nadejść i jak najszybciej potem wrócić na stację, by zdążyć na ostatni pociąg. Było ciemno, ścieżka zarośnięta trawą, nieuczęszczana. Szliśmy szybko, by zaoszczędzić mu drogi. Świetlik żarzącego się papierosa błysnął w ciemności, potem doszedł zdyszany oddech biegnącego. Chwycił mnie za rękę, powiedział: – Jest jeszcze za słaba, ledwo trzyma się na nogach. Napisała ci list.

Wyjął z kieszeni złożoną w czworo karteczkę – w ciemności nie mogłam jej przeczytać. Nie udało się, pomyślałam. Było mi zimno.

– Prosi, żebyś nie czekała na nią.

W błysku zapalniczki chwyciłam niespokojne, pytające spojrzenie.

– Powiedz jej, że czekam pojutrze o dziesiątej wieczorem na dworcu, że musi przyjechać, musi.

Od papierosa i ciemności kręciło mi się w głowie. Potrząsnął przecząco głową.

– Wykluczone. Nie zdajesz sobie sprawy...

– Więc kiedy?

– W niedzielę. W niedzielę będzie też łatwiej wykraść się z domu. Będziesz czekała?

– Więc w niedzielę o czwartej po południu na dworcu. Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

Trzymam mocno obie jego dłonie, powtarzam w kółko machinalnie: – Stefan, Stefan, dziękuję ci, dziękuję.

Wracamy. Wciąż jest mi zimno. – Słyszysz, jak świerszcze grają? – pytam Gienka, ale on nie odpowiada, nie mówi też jak co dzień: nie martw się, tylko szybko, bez słowa odchodzi.

\*

Walenty usłyszał i przybiegł zaraz z nowiną: dostali jeszcze jedną dziewczynę do roboty, na przyszły tydzień ma przyjechać. Rosjanka.

\*

Zbudziłam się długo przed świtem, niebieskie wrota były jeszcze czarne. Spałam zaledwie godzinę.

Jadwiga siedziała na ławie u Halinki, mówiła: jedź sama, ona mnie nie chce.

Dziś o czwartej mamy spotkać się na dworcu pobliskiego miasta. Stefan przyrzekł. Liczyłam dni i nie mogłam się nadziwić: dopiero tydzień minął. Ze zdziwieniem patrzyłam w lustro – nie zostawił po sobie żadnego śladu. Tyle, że schudłam.

W drodze na wajdę uprzedziłam Janka, że wieczorem spóźnię się na udój, przyjdę wprost na łąkę. Mrugnął porozumiewawczo, zaśmiał się śmiechem wtajemniczonych.

– Ja, żeby Joasia wiedziała, nie taki jestem jak Walenty. Mnie nic do tego, ale takich wyrażen to się, za przeproszeniem, nie używa.

– Niby jakich?

– Nigdy złego słowa na Joasię nie powiedział, a teraz... to kurwa, mówi, co noc pieprzy się z kimś, a potem woła, żeby drzwi otwierać. Jemu pewnie złość, że to nie z nim.

Na obiad była słodka piwna zupa – po kilku łyżkach wybiegłam do obory i zwymiotowałam. Głośno (za głośno) śpiewając, zmywałam statki, wyczyściłam – aż świecił jak lustro – kuchenny blat, zamiotłam kuchnię. Była pierwsza trzydzieści. W szufladzie stolika zostawiłam niedokończony list bez adresu. „Moja kochana, jak się rozzłoszczę, to ucieknę. Haruję od rana do nocy, dość mam buraków i krów. Pojadę do koleżanki, do Lipska, obiecała znaleźć mi pracę w restauracji. Nie wiem jeszcze...”.

Drugi list, do Gienka, zabrałam ze sobą.

Zesłam ostrożnie z pięterka – osiemnaście stopni, liczyłam je pierwszego dnia, przy szorowaniu – pod drzwiami pokoju bambrów przystanęłam. Cicho było, zegar tykał – odpoczywali po niedzielnym obiedzie.

Wyszłam jak zwykle przez stajnię na podwórze, a potem szłam drogą moich nocnych wypraw wzdłuż ogrodów – stały pyszne, w pełnym rozkwicie.

Gienka jeszcze nie było. Położyłam się w trawie, oczy osłoniłam przed słońcem.

Pierwszy, najtrudniejszy krok... Potem wszystko toczy się siłą rozpędu, trzeba tylko przekroczyć granicę, zza której nie ma powrotu. Tak było w getcie, tak było w obozie, tak będzie za godzinę na dworcu... Myślałam spokojnie, bezosobowo, jak gdyby nie mnie te sprawy dotyczyły, jak gdybym nie ja miała wkrótce – po raz trzeci – tę granicę przekroczyć. Gotowa byłam usnąć, tak dobrze i miękko leżało się w trawie. Cień przysłonił słońce – nade mną stał Gienek. Głos mu drżał i rękę miał wilgotną. Wyjął z kieszeni flaszkę owocowego wina.

– Musisz się napić, na szczęście.

– Nie mogę, nie gniewaj się, nie mogę.

Wraz z Gienkiem wróciło podniecenie. Znów dławiło w gardle.

– Musisz. Wykradłem to wino z piwnicy specjalnie po to, by się z tobą napić.

Łyknęłam. Było kwaśne i gorzkie.

– Za pomyślność waszą!

Przechylił głowę do tyłu, wino zabulgotało we flaszcze, potem – śmiesznie – w gardle.

– Nie ma kapelusza? – spytałam. Kapelusz był bardzo ważny. (Tak ważny jak niegdyś chustka, na której wśród zielonych liści kwitły pąki czerwonych róż.)

– Jest, ukryłem go w krzakach...

Był piękny, z brązowej słomki, z szeroką kresą, którą zdobił bukiet polnych kwiatów. Włożyłam go i Gienek się roześmiał:

– Wyglądasz jak prawdziwa Niemka.

A ja powiedziałam głośno: – *Zweimal Bonn, bitte, dritte Klasse.*

Pociąg do Bonn przez Kolonię odjeżdżał o czwartej dwadzieścia.

Godzina była upalna, południowa. Słońce paliło w plecy. Zapomnianym ruchem przytrzymałam kresę kapelusza przed wiatrem, którego nie było. Kremowy kolor rękawiczek odbijał od moich

opalonych ramion. Bawiło mnie to.

Po maturze dostałam pierwszy kapelusz i przeglądając się w lustrze, unosiłam rękę do białej kresy. Moje ramiona spalone były słońcem, pokój w słońcu, za otwartymi drzwiami ogród w słońcu. Z ogrodu wołano: chodź nad rzekę... Dzień był upalny, taki jak dzisiejszy...

Usiedliśmy blisko dworca, pod kolejowym mostem. Wyjęłam ausweis i poprosiłam Gienka, żeby go po moim wyjeździe zniszczył. Potem dałam mu list.

– Tym listem możesz się bronić, że o niczym nie wiedziałeś...

(Śmiał się rozbawiony. Nie bój się, nie jestem frajer.) W liście przeproszałam Gienka, że go haniebnie oszukałam i opuszczam bez pożegnania. „Miłość, jaką ci okazywałam, była tylko podstępem, by wyłudzić pieniądze na podróż. W ostatniej chwili ruszyło mnie sumienie, wyznaję: nie kocham cię i porzucam. Jadę do Lipska, do koleżanki, ale nie mów o tym nikomu”.

Dochodziła czwarta, trzeba było iść. Na placu przed dworcem roiło się od ludzi – niedzielni mieszczanie jechali *aufs Land*. Nad stolikami kawiarni stały żółte parasole. Roznoszono lody.

Pierwsza fala podróżnych wypchnęła Stefana. Był sam. Szedł ku nam – poważny, napięty.

Obiecał przywieźć Jadwigę, ale był sam. Słońce zgasło. Chwyciłam Gienka za rękę.

– To nie może być... – wykrztusił.

I w tej chwili ją ujrzałam. Szli osobno. Przelękałam się – tak bardzo była zmieniona – znękana twarz, cera ziemista, pończochy jak obwarzanki dokoła chudych nóg. Chce mi się płakać, ale nie ma czasu, teraz już na nic nie ma czasu. Całujemy się chłodno, ledwie, ledwie.

– Po co brałaś te rzeczy – krzyczę szeptem, wskazując na małe zawiniątko w jej rękach. Boję się na nią patrzeć, jedno czułe słowo, nieopatrzny gest, a załamamy się obie. Ma spieczone wargi, oczy błyszczą. Ma gorączkę.

Stefan przemycił ją do lasu, tam się przebrała. Bali się wsiąść do pociągu we wsi, szli piechotą do następnej stacji – przez las. Z trudem doszła.

– On mnie uratował – mówi Jadwiga, i jeszcze raz do Stefana: – Uratowałeś mnie.

Na nic nie ma już czasu, ani na dziękowanie, ani na wzruszenie, zegnamy się szybko, w gorączkowym, nerwowym pośpiechu, żalosne strzępki zdań: „za wszystko, za wszystko, gdyby nie ty...”.

Odeszli. – *Zweimal Bonn, bitte, dritte Klasse...* – Ręką w rękawiczce szpiclowskiego koloru bez wyjęłam z obrotowej miseczki bilety, szeptem powiedziałam do Jadwigi:

– Idziemy.

Wsiadliśmy do stojącego na peronie pociągu.



## VI

Jadwiga nazywać się będzie Barbara Faleńska, ja – Maria Walkowska. Miejsce i daty urodzenia zatrzymałyśmy nasze własne. Na obmyślanie życiorysów nie starczyło już czasu.

\*

Jedziemy w jasnym słońcu, a zasłona światła równie szczelna jest co mgła – pamięć jakby od blasku oślepla. Z pierwszego odcinka drogi niewiele zostało. Obraz Jadwigi siedzącej przy drzwiach przedziału pełnego podróżnych i mój przy oknie. Kapelusz widoczny na mojej głowie, dlatego zapewne, że taki ważny, wierzę święcie, że to za sprawą kapelusza i rękawiczek kasjer nie spytał o *ausweis*. Tylko tyle. Żadnych innych punktów oparcia, pamięć ślepa, głucha. Później – za godzinę? dwie? – pojawi się w pamięci rzeka (mam pamięć wrażliwą na rzeki) i słowa, jakie na jej widok powiedziałam w myślach po niemiecku: *das ist der Rhein*, echo dawnych słów o innej rzece, *das ist die Ruhr*. A potem dwaj cywile przy schodach do tunelu na dworcu w Kolonii, gdzie przesiadaliśmy się na pociąg do Bonn. (Natomiast katedry ani śladu, a przecież musiała przesunąć się za oknami pociągu i zaraz zniknąć, wiem, bo wiele lat później sprawdziłam.)

Dwaj cywile bardzo wyraźni. Stoją i patrzą przechodzącym w twarze, wyraźny także mężczyzna z długimi baczkami, Francuz zapewne, którego zatrzymali, i mój głos w chwili, gdy ich mijamy, mówiący: *heut ist aber schwül*, bo czuję na całym ciele zimny pot. Starannie wymawiam słowo *schwül*. Nie *schwil* – *schwü-ül*, mówi profesorka niemieckiego, powinnaś słyszeć różnicę, jesteś przecież muzykalna. Była to dobra, lecz ostra profesorka, trzykrotnie spaliła Iwana przy maturze, a kiedy potem Iwan wstąpił do dywizji SS-Galizien, uciekła – drżąc przed jego zemstą – do innego miasta. *Heut ist aber schwü-ül*. Unoszę rękę do kresy kapelusza, i w tej swobodnej, nieco sztucznej pozie, która podkreśla elegancki szczegół mojej garderoby, przechodzę obok tajniaków. Ich jowialne twarze zostały w pamięci.

Jest to pierwszy pełny obraz z podróży na południe. Kiedy w Bonn oddaliśmy bilety, odetchnęłam z ulgą. Teraz nikt już nie mógł sprawdzić, skąd przyjeżdżamy. Długo i z trudem (okulary zostawiłam w pociągu) studiowałam rozkład jazdy: za godzinę odchodził pociąg do Frankfurtu, kierunek zgadzał się z naszym planem. Włożyłam rękawiczki, podeszłam do kasy. Swobodnie, z wprawą modeluję głos, kasjer i tym razem nie żąda dokumentów. A potem szybko opuszczamy dworzec – schodzimy z oczu żandarmom, uciekamy od przygodnych rozmów i pytań.

W pobliżu dworca niewielki skwer. Słońce stoi nisko, zbliża się godzina wieczornego udoju. Janek czeka na wajdzie i klnie, Klotylda krzyknie, widząc, że sam, beze mnie przyciągnął wózek z mlekiem, a Schulz pobiegnie na policję. Stefan zaś, zdumiony, woła do bauerki uzgodnione z nami słowa: – Jak to, nie ma jej w domu? A gdzie ona jest? W łóżku przecież leżała, nie miała siły wstać. – *Die verfluchte Jüdin ist weg* – telefonuje bauerka – *sie ist geflohen*.

Na skwerze żywej duszy, można by teraz wszystko sobie powiedzieć, ale słowa przychodzą z trudem i zaraz milkną. Coraz więcej milczenia. Oddech Jadwigi ciężki, gorący, nogi w obwarzankach pończoch. Mówi:

– Myślałam, że umrę...

Siedzę bez ruchu, odwracam wzrok od chudych nóg.

\*

Pociąg do Frankfurtu miał dwie godziny spóźnienia, więc poszliśmy znów do miasta, tym razem w stronę śródmieścia. Mówiłam: może uda nam się zobaczyć dom, w którym urodził się Beethoven, to przecież miasto Beethovena. Lecz kiedy znalazłyśmy się w starych uliczkach, Ludwig van Beethoven wyleciał mi z pamięci, chciałam czym prędzej wrócić na dworzec, bałam się, że zbłądzimy, zgubimy drogę i że pociąg odjedzie bez nas.

Zmrok zapadał, peron był pusty, godzina do odjazdu. Semaforey świeciły i gasły, zerwał się chłodny wieczorny wiatr. Jadwiga oparła głowę o moje ramię – nigdy dotychczas tego nie robiła. Musisz wyzdrowieć, mówiłam do niej w myślach, musisz... Mężczyzna i kobieta usiedli obok nas i rozpoczęły rozmowę. Jasne było: nudzili się, chcieli w ten sposób skrócić czas czekania, ale rozmów należało się wystrzegać, nawet tych najbardziej niewinnych i przypadkowych. Zdziwili się nagle:

– Taki inny akcent. Pani chyba nietutejsza?

– Pochodzę z Wiednia.

– Ach, walce wiedeńskie są bardzo piękne – odrzekł mężczyzna, otworzył czarny futerał, który uprzednio wzięłam za walizkę, i wyjął akordeon. Stojąc przed nami, grał walce wiedeńskie, dopóki pociąg nie wpadł na peron.

Pociąg był pusty, bez trudu znalazłyśmy wolny przedział. Konduktorka, oddając bilety, powiedziała uprzejmie: – Tyle miejsca, mogą się panie dobrze wyspać. – Zasunęłam na drzwiach firanki. Najpierw była Ruhra, potem Ren, a teraz będzie Men. Roześmiałam się głośno. Jadwiga już spała. Postanowiłam czuwać w obawie, by nie zasnąć i nie dać się zaskoczyć, ale mnie też zmorzył sen. Ocknęłam się z trudem. Jadwiga siedziała na ławce, bardzo blada. Pomyślałam, że gorączka spadła jej we śnie. – Zaczesz się – powiedziałam – i wyczyść paznokcie.

Przeglądając się w czarnej szybie, czesałyśmy zmierzwione włosy.

Zajechałyśmy o czwartej nad ranem. Dworzec stał wymarły, mroczny – olbrzymi, pustka i mętne światło potęgowały jeszcze jego rozmiary. Ludzie spieszyli ku wyjściu, znikali, hala opustoszała. Nikt nie przyjeżdżał, nikt nie odjeżdżał, nikt oprócz nas nie czekał na pociąg. Byłyśmy widoczne – jak na scenie. Należało odjechać jak najszybciej, najbliższym pociągiem, ale była to martwa pora i najbliższy pociąg odchodził dopiero nad ranem.

Kupiłam bilety – usprawiedliwiały naszą obecność na dworcu o tej porze. Zaspany kasjer patrzył złym wzrokiem – nikt jeszcze biletów nie kupował. Zeszłyśmy po schodach do toalety, uważałam, że tam będzie bezpieczniej niż w pustej hali. Długą chwilę siedziałyśmy na wiśniowym pluszu, wśród błyszczących lusterek, które odbijały nasze twarze i postacie. W rurach szemrał cienki strumyk wody. Było tu zacisznie i wytwornie, kanapka z pluszu miękka, ale nie mogłam znieść nachalnej obecności naszych postaci w lustrach, małpowania własnych gestów i grymasów. Drażniło mnie to. Wróciłyśmy do wielkiej hali, wciąż jeszcze pustej, i usiadłyśmy na najmniej rzucającej się w oczy, na uboczu stojącej ławce. Widocznie zdrzemnęłam się, gdyż nagle ujrzałam, że nie jesteśmy same. Obok nas siedzieli dwaj młodzi chłopcy. Siedzieli z głowami pochylonymi na piersi, ale nie spali, odgadywałam ich myśli – te same co nasze: *Schutzmann*, *Ausweis*, pociąg... Gwizd przerwał ciszę. Drgnęli, jednego poniosły nerwy – zerwał się z ławki. Jego twarz mówiła wszystko, a ziemista cera była świadectwem lagrowej brukwi. Drugi szarpnął go za rękaw, usłyszałam wyraźny szept: „jeszcze nie ten”. To byli

Rosjanie. Popatrzyli na nas: słyszały? Odnajdywałam w ich spojrzeniach nasze własne – była w nich niepewność, strach, nadzieja. Ale teraz należało wstać i odejść.

W chwili gdy przechodziłyśmy przez pustą halę, wyrosła przed nami postać żandarma. – *Ausweis bitte*. – Jego głos doszedł mnie już z oddali, poprzez gwałtowny szum w uszach, nogi zwiotczały. Co podszeptało mi słowa? Czy byłam ich świadoma? Nie wiem, nie wiem...

– *Ach so was* – usłyszałam swój własny głos, również z oddali dochodzący, wzburzony, nieco ironiczny – *schon wieder?* Ile to razy mamy się legitymować w ciągu jednej godziny? Za kogo pan nas ma właściwie? *Mein Mann ist an der Front!* Może pan nam uprzejmie wskaże, gdzie tu jest poczekalnia. Jedziemy z Lubeki do Heidelbergu i jesteśmy bardzo zmęczone, *ganz erschöpft*. *Und die Dame* – wskazałam na Jadwigę – *fühlt sich so elend*.

Słowa płynęły gładko, potoczyście, jak gdybym całe życie mówiła wyłącznie po niemiecku. Co podszeptało mi ton osoby obrażonej, lecz spokojnej, pewnej swojej racji? Nie wiem, nie wiem...

– Myślałam, że oszalałaś – Jadwiga z trudem dławiła nerwowy śmiech. – *Mein Mann ist an der Front!*

Siedziałyśmy ukryte za wielką skrzynią w jednym z bocznych korytarzy. Może naprawdę oszalałam? Nie wiem, nie wiem... Żandarm – zgodnie z moim życzeniem – zaprowadził nas do poczekalni. Przeczekawszy chwilę, uciekłyśmy stamtąd, bojąc się, że się rozmyśli i wróci. Ukryte za skrzynią, zakrywałyśmy dłońmi usta, by ściszyć śmiech, który nami trząsał, śmiech, którego nie mogłyśmy powstrzymać.

## VII

Chodziłyśmy po tym pięknym mieście i nad rzeką cały dzień, od rana do wieczora, z przerwą na drzemkę, a wieczorem wróciłyśmy na Górę, na spanie. Chodziłyśmy najpierw w słońcu, potem w deszczu i chwilami – wtedy kiedy świeciło słońce – było naprawdę tak, jakbyśmy przyjechały tu tylko po to, by zwiedzić to piękne miasto.

Bo miasto spodobało nam się ogromnie, i to od razu, od pierwszego wejrzenia, kiedy stojąc na placu przed dworcem, nie widziałyśmy go jeszcze wcale – widziałyśmy tylko jedną jego ulicę – cienistą, zadrzewioną, której asfalt i drzewa wilgotne były od nocnej rosy, była to bowiem godzina poranna i nocna rosa jeszcze nie obeschła. Ale nie widząc miasta, czułam, że jest ono inne od tamtych na północy, powietrze tu było inne, łagodne i bardzo czyste – a najważniejsze, że łagodne – wietrzyk ciepły. Powiedziałam do Jadwigi, która w chwili przyjazdu była jeszcze Jadwigą, ale wkrótce przeobrazić się miała w Barbarę: – Widzisz, wiedziałam, że tu będzie ładnie, i dlatego to miasto wybrałam – a ona popatrzyła na mnie zdumiona, tym samym wzrokiem co wtedy, kiedy spytałam, czy podoba jej się mój kapelusz. I mówiłam dalej, że jest to znane miasto słynące ze starego uniwersytetu i ze swych winnic, a także rzeki opiewanej w ludowych pieśniach. – Zaraz – mówiłam – obejrzymy sobie wszystko: uniwersytet, rzekę, winnice i Górę. – A może i tu urodził się jakiś Beethoven? – spytała Jadwiga (jeszcze nie nazywałam jej Barbarą), więc zrozumiałam, że dość ma zachwyków, i przypomniałam sobie, że jest chora. Zamilkłam, ale nie zdjęłam uśmiechu z ust, bo przez cały czas podróży należało się uśmiechać i wyraz twarzy mieć pogodny.

Poszłyśmy szeroką, cienistą ulicą przed siebie, wycieczkowym krokiem. Jadwiga stukała głośno obcasami za wielkich na nią czółenek i ten stuk denerwował mnie ogromnie, przypominał mi Adama i nasze spotkanie w parku, „nie szkoda ci tych nowych bucików na taki deszcz – spytał – dziwna jesteś, do innych dziewcząt niepodobna”. Wolałam nie przypominać sobie tej chwili. Denerwowało mnie również zawiniątko, jakie Jadwiga nosiła pod pachą, sznurowane buciki zabrane nie wiadomo po co, wiedziałam też, że ma na sobie dwie suknie i trzy halki (mogła sobie na to pozwolić, bo bardzo była chuda), i to także mnie złościło. Ale choć zdawałam sobie sprawę, że nie buciki i halki są prawdziwą przyczyną mej złości, nie przestawałam się złościć, tak że początek chodzenia przeszedł w niedobrym, niechętnym milczeniu. Dopiero kiedy spojrzałam na twarz Jadwigi, moja złość ulotniła się bez śladu, co było jeszcze gorsze, bo ustąpiła miejsca czułości, a teraz za nic w świecie nie wolno było rozczulać się ani mięknąć. Powiedziałam:

– Pójdziemy na Górę, odpoczniemy, obmyślimy, co dalej.

– Dobrze – odpowiedziała posłusznym tonem, zgadzała się na wszystko, miała wysoką gorączkę, była apatyczna.

Szłyśmy pustą ulicą wśród wilgotnej zieleni drzew, w porannym słońcu, mijając fasady uspiionych domów. Czułam, jak z każdym krokiem opada ze mnie zmęczenie, cieszyłam się cichym porankiem, bezpieczną pustką ulic. Przypomniał mi się nawet pewien bardzo odległy w czasie spacer poranny,

a przypomnienie było tak nagłe i wyraziste, że ulica, którą szłam, wydała mi się tamtą ulicą, chwila obecna – dawną.

Uspokoiliam się trochę, bo szliśmy teraz pod górę, czyli w dobrym kierunku. Jadwiga tłumaczyła szeptem, dlaczego nie chce rozstawać się z bucikami, dlaczego wzięła je ze sobą, policzki miała w ogniu, oddech gorący. Pusta dotychczas ulica zaludniała się powoli, z domów poważnym krokiem wychodzili ludzie, mężczyźni bardzo uroczyści i sztywni, w ciemnych, świątecznych ubraniach, ich stateczne małżonki w kapeluszach i rękawiczkach oraz dobrze odżywione, grubawe ich dzieci w skarpetkach po kolana, a wszyscy szli z godnością i namaszczeniem. W ciszę poranka wpadła ciężka kropla dzwonu, najpierw jedna, potem wiele innych kropel, i nagle nie było już ciszy, tylko dzwonienie donośne i dźwięczne. Pachniały akacje, wietrzyk snuł się leciutki, pewnie od rzeki, a stojące przy tej pod górę wiodącej ulicy domy traciły z wolna charakter miejskich kamienic, chowały się w krzewy i kwiaty wypielegnowanych ogrodów. Potem nie było i domów, tylko po obu stronach drogi sama zieleń. Jeden z zakrętów odsłonił horyzont i wtedy ujrzałyśmy miasto. Było piękniejsze, niż przypuszczałam. Leżało u naszych stóp, w szerokiej kotlinie, ciasno stłoczone w śródmieściu, zbiegające ku rzece spiętej klamrą starego mostu. Rzeka była zielona, tu i ówdzie połysk miała złoty. Na przeciwległym brzegu wznosiły się lesiste wzgórza – to od nich rzeka brała swą zieleń, a nisko, u podnóży wzgórz kwitły białe owocowe drzewa.

– Widzisz, widzisz... – szeptałam do Jadwigi, tak jak gdyby moją zasługą była uroda tego miasta, które leżało ciche i łagodne na dnie zielonej doliny, nad wielką zieloną rzeką. Zapomniałam o wszystkim i stałam się także łagodna i cicha, przymknęłam oczy: powietrze miało zapach kwiatów. Była to krótka chwila, mimo swej błogości bardzo bolesna. Otworzywszy oczy, ujrzałam profil Jadwigi na tle zielonych wzgórz i biało kwitnących drzew, jej płonąca, rozpaloną twarz i plamy na granatowym, szkolnym płaszczu. – Buciki zostawimy na razie w zaroślach – powiedziałam i znów poszłyśmy w górę, leśną dróżką nabrzmiałą korzeniami drzew.

Usiadłyśmy w miejscu ustronnym, na kłodzie powalonego drzewa. Trawa była miękka, bujna, poprzez gęste krzewy z trudem przezierало słońce. Wyjęłam z kieszeni płaskie blaszane pudełeczko od Gienka. Były w nim jeszcze dwa papierosy. Jadwiga radziła, żeby je schować na później, na trudną godzinę, ale mnie bardzo chciało się palić. Papieros nie smakował mi jednak, przez cały czas myślałam, że to ostatni. Paliłam powoli, odwlekałam chwilę decyzji. Jadwiga wyjęła z torebki gęsty grzebień i rozpoczęła szukanie wszy, których od czasu obozu nie mogłyśmy się pozbyć. Milczałyśmy. Patrzyłam na jej czerwone policzki, spierzchnięte wargi, chciałam powiedzieć coś dobrego, ale nie mówiłam, patrzyłam, jak szuka wszy, aż w końcu krzyknęłam, żeby przestała. Po co? Przecież i tak nie wiadomo, co będzie. Schowała grzebień do kieszeni szkolnego płaszcza.

Zwilżyłyśmy chustkę do nosa w rosie, umyłyśmy twarz, szyję, ręce. Kapelusze i rękawiczki leżały na trawie. Byłyśmy gotowe i teraz nie można już było odkładać na później obmyślenia życiorysów i planu dalszej podróży. Jadwiga opłótła rękoma kolana i czekała, co powiem. Na jej dłoniach nabrzmiały żyły, miała ręce starej kobiety i ja także miałam takie ręce. Dzwony, które dotąd brzmiały bardzo donośnie, umilkły, cisza zrobiła się pełna, tylko w zaroślach pogwizdywały czasem ptaki. – Chłopcy wracają teraz z wajdy – odezwała się Jadwiga, a ja na skutek jej słów zobaczyłam czerwoną, ogorzałą twarz Gienka. „Nie wiedziałem, że jesteś taka morowa” – roześmiał się ubawiony. Nie byłam bynajmniej morowa, byłam pełna strachu, ale przypomnienie jego słów dodało mi teraz energii.

– Uciekamy ze zbombardowanej fabryki – powiedziałam. – Nasze dokumenty spłonęły podczas nalotu. Chcemy pracować u bauera, panicznie boimy się bomb. Ta fabryka mogła być w Wuppertalu, na przykład, albo w Düsseldorfie.

– Wiem od Stefana, że w Dortmundzie spłonął Arbeitsamt. Uważał, że powinniśmy to wziąć pod uwagę.

– Wobec tego: uciekamy z Dortmundu. Jeśli to prawda, że Arbeitsamt zbombardowany, nie będą

mogli sprawdzić dokumentów. To była fabryka amunicji, jak się nazywała, nie wiemy, jesteśmy wsiowe idiotki. Byłyśmy tam sześć miesięcy.

Przeszłość Barbary i Marii skwitowałyśmy – dzięki wprawie i doświadczeniu – bez trudu: umiejscowiłyśmy je na wsi, w chłopskiej rodzinie, przy czym Barbara pozbawiona została rodziców, a Marii wyrzekł się ojciec dróżnik pod wpływem złej macochy. Ale to tylko wstęp. Co dalej? Jak pokierować losem dziewcząt, które uciekły z obozu przy fabryce w Dortmundzie? Kiedy i dokąd jechać? Jechać? A miasto, a rzeka? Winnice? Nie, stanowczo nie chciałam myśleć o wyjeździe, nie chciałam rezygnować z tego miasta, jego widok rozbudził głód piękna. W Waldwiesen biegałam do ogrodu wczesnym rankiem, by przyglądać się delikatnym, różowym kwiatom brzoskwini. Nigdy przedtem nie byłam tak bardzo wrażliwa na urodę natury. Zjawiska dawniej naturalne przyprawiają teraz o skurcz gardła, o uczucie bolesnej słodyczy, jakiej doznałam przed chwilą, gdy zakręt drogi odsłonił miasto. Zbyt piękne jest ono, by je natychmiast porzucić. Do wieczora mamy czas. Niech ten dzień, nienależący już do Jadwigi i Joanny, nie będzie jeszcze dniem Barbary i Marii. Niech będzie dniem bezimiennych, nienotowanych w żadnej kartotece, nieistniejących więc.

– Wieczorem zdecydujemy, co robić – powiedziałam. – Może nie pojedziemy dalej? Może zostaniemy tutaj? Ile kilometrów przejechałyśmy? Trzysta? Czteryście? Może to wystarczy?

– Jak to? – przelekła się Jadwiga. – Mówiłaś przecież, że im dalej, tym lepiej, i chciałaś jechać aż na sam dół, w okolice jeziora, nad granicę.

Chciałam i chcę nadal – myślałam. Ona ma rację. Bawię się tylko myślą o pozostaniu wśród pięknych wzgórz, nad wielką zieloną rzeką, przyjemnie byłoby tu zostać, nazwa tego miasta jest pełna zapachu, przywodzi na myśl leśne jagody i lasy, lubię ładnie brzmiące nazwy miast, ale wiem, że nocą pojedziemy dalej, na sam dół – jak mówi Jadwiga-Barbara, bo im dalej, tym bezpieczniej.

Tylko że na razie nie chcę o tym myśleć. O tym, to znaczy o schutzmannach na obcych dworcach, o przyćmionych, mrocznych halach z okienkami kas, o wielkich tablicach, z których dobrowolnie wybierzemy sobie kierunek i godzinę odjazdu, o chwili, w której wymówić należy bezbłędnym akcentem, niemal nonszalancko nazwę stacji, a potem dłonią w rękawiczce, kryjącej chropawość skóry i zabandażowany palec, szerniały od obierania nadmiernej ilości ziemniaków, zgarnąć z mosiężnej miseczki kartoniki biletów. A przede wszystkim o spojrzeniach ludzi w przedziale pociągu, który z każdym przejechanym kilometrem przybliży rzeczywiste narodziny Barbary i Marii, czyli chwilę, gdy spytane o nazwisko, wymówimy je głośno, nieodwołalnie.

Nie chciałam o tym myśleć i dlatego powiedziałam: do wieczora mamy czas. Było to jakby przyznanie urlopu, wakacji. Skurcz niepokoju ustąpił z twarzy Jadwigi, jej twarz wygładziła się ulgą.

Buciki ukryłyśmy w zaroślach i tą samą drogą, która nas tu przywiodła, wracałyśmy do miasta. Raźny krok, uśmiech na twarzy i cicho nucone *Es geht alles vorüber, es geht alles vorbei*, jak wtedy, kiedy była z nami Marysia-Anka. Na zakręcie znów mignęła rzeka i wzgórze, kolorowa pocztówka. Po rzece, rankiem zielonej i pustej, a teraz niebieskiej, sunęły kajaki i łódki.

Ten obraz miasta był oczywiście fałszywy. Patrzyłam na nie jak na miasto puste, pozbawione ludzkich oddechów, dźwięku mowy, przekreślałam istnienie jego mieszkańców, lecz przyjmując tę częściową, niepełną o nim wiedzę, zdawałam sobie sprawę, że dopełni się ona bez mej woli już niedługo i że w dobrze mi znanej chwili znużenia i nagłej rozpacz, zdarzającej się zazwyczaj u schyłku dnia, zachwyty ustąpi miejsca nienawiści, a radość – smutkowi.

Ale na razie nic mi oni nie przeszkadzali, ci ludzie tłocznie wypełniający chodniki, ci sami, których widziałyśmy rankiem spieszących do kościoła, tylko że teraz były ich tłumy, spacerowali w świąteczny dzień powoli i godnie, a dźwięk ich mowy inną miał melodię, miększą od północnej, pozbawioną groźnego szczęku, który na północy tak przerażał. Kobiety bez śladu kredki na wargach, starannie zaondulowane w drobne fale, wlokły za sobą smugę perfum. Zdumiewało obuwie – wypolerowane na glanc, lustrzane.

Jadwiga chciała pić, szukałyśmy kiosku, bezpieczniejszego od kawiarni. Ale przy tej rojnej ulicy nie było nigdzie kiosku, tylko stoliczki z rozpiętymi markizami, poszłyśmy więc w głąb miasta, w boczne uliczki, gdzie panowała cisza i pustka. Staruszek w staromodnym płaszczu prowadził jamnika na smyczy. Obaj zniknęli w bramie starego domu. Kobieta z niemowlęciem w wózku uśmiechnęła się do nas w przejściu, to znaczy – pomyślałam – wyglądamy przyzwoicie. Sklepy były zamknięte. Jadwiga mówiła szeptem: – Nie chcę niczego oglądać, chcę pić, pić...

Zawędrowałyśmy na pochyły plac, schodzący ku rzece; zeszyliśmy na jej brzeg. Miasto, z królującą nad nim Górą, skurczyło się, domy piętrzyły się jeden nad drugim, wyglądało teraz na ciasne, małe miasteczko, przyparte do muru zieleni. Kajaki, motorówki i łodzie sunęły po niebieskiej rzece, a bulwarem nadbrzeżnym szła procesja wciąż tych samych mężczyzn i kobiet, którzy mnie jeszcze nic nie obchodzili, nie czułam żadnego lęku, tylko cichutki cwaniacki śmiech był we mnie, proszę bardzo, spacerujemy sobie wśród was, nad waszą rzeką jak gdyby nigdy nic, a w Waldwiesen Klotylda pyta męża: – *Hat man sie schon erwischt, diese Jüdinnen?* – *Sei ruhig* – odpowiada jej Schulz – *mann wird sie schon erwischen, hab keine Angst.*

*Noch immer keine Angst!* To nastrój demobilizujący i perfidny – ale do wieczora trwają wakacje. Do przystani przybił właśnie stateczek, w torebce oprócz podkowy jest trzydzieści marek, starczy i na przejażdżkę, i na dalszą podróż. Przed nami stoi młoda kobieta z trzyletnim malcem, patrz, Hansi, jaka śliczna motorówka, Hansi, popatrz, jaki zwinny kajak. Chłopczyk w ubranku marynarskim ze złotymi guzikami, pewnie, że dziecko niewinne, ale ono też mówi już chyba *unser Führer* i *heil Hitler*, w oczach matki cielecy, błogi spokój, zauważyła, że się przyglądam, i już gotowa jest do pogawędki, niewiele ode mnie starsza, wykąpana na niedzielę, świeża, psiakrew, psiakrew, lepiej było nie pchać się między ludzi. Dostrzegam błysk przerażenia w oczach kobiety i słyszę jej okrzyk. Spokój, tylko spokój. Jadwiga klęczy na ziemi i pije wodę z rzeki. Spragnione zwierzę tak pije. Jej dłoń, którą chwytam, jest rozpalona. *Hedwig, Hedwig, ist dir schlecht geworden? Steh auf Hedwig, wir gehen nach Hause, du bist noch zu schwach... komm Hedwig, komm...* Dużo szybkich słów, zagadać, nie dopuścić do pytań, wmówić, że zasłała, wmówić, że nie piła.

Podnoszę ją z ziemi, osłaniam ramieniem, *nach Hause, nach Hause...* Ludzie rozstępują się przed nami, *es ist ihr schlecht geworden, danke, schon alles in Ordnung...* Kilka parsknięć śmiechem, kilka baczących, czujnych spojrzeń. Koniec podróży, koniec... Za chwilę odezwie się chłodny, grzeczny głos: *Ausweis bitte...*

– Nie gniewaj się.

– Cicho, ani słowa.

Nikt nie podszedł. Na szczęście pozbawieni są wyobraźni, nie byli w stanie uwierzyć, że piła rzeczną wodę w jasny, świąteczny dzień. Po prostu zemdląca, *es ist ihr schlecht geworden...*

– Nie gniewaj się.

– Nie. Zaraz pójdziemy do kawiarni. Musisz pić.

– Nie chcę kawiarni. Boję się. Chcę spać.

– Na drugim brzegu jest las. Tam się wyśpimy. Wszystko minie.

– Nikt za nami nie idzie?

– Nikt.

– Co będzie, jak ci umrę po drodze?

– Idiotka jesteś. Wyśpisz się, wyzdrowiejesz.

Pierwszy napotkany w tym pięknym mieście kiosk z napojami stał u wejścia na most. Jadwiga wypila dwie butelki piwa, wody sodowej nie było. Kobieta sprzedająca napoje przypatrywała nam się życzliwie, nieco zbyt nachalnie. Oddaliśmy się szybkim krokiem.

Leżymy w wysokiej trawie, wśród kwitnących czereśni. Cudownie pachnie. Przez gałęzie prześwieca w dole rzeka, ze ścieżki dochodzą śmiechy i strzępy rozmów. Świerszcze grają. Ostrzona kosa brzęczy. Jest samo południe, słońce w rozkwicie. Jadwiga śpi. Usnęła natychmiast, oddycha ciężko, ma obrzmiałą twarz. Powinna leżeć w szpitalu, jest bardzo chora. Ale musi wyzdrowieć, bo innej rady nie ma. „Wyzdrowieje, wyzdrowieje”, powtarzam w kółko. Nie wierzę w zaklęcia, ale teraz zaklinam. Powinnyśmy były uciekać natychmiast, gdy do Anki wrócił jej list pisany do Pauliny z dopiskiem „zur Zeit Gestapo”. *Eine Jüdin, das ist eine Jüdin, Maria*. Na sam dół pojedziemy, jezioro nazywa się Bodensee, ja nazywam się Maria Walkowska, a Jadwiga...

Obudził mnie deszcz. Padał drobniutki, szeleszczący, wiosenny. Zerwałam się, okryłam kapelusze płaszczem. Jadwiga już nie spała. Siedziała odwrócona do mnie plecami.

– Lepiej ci?

– Lepiej. Po raz pierwszy od dwóch tygodni odczuwam głód. To piwo mi pomogło. Jem mięso.

– Co ty gadasz, jakie mięso?

– Stefan dał mi na drogę konserwę. Miałam ją w kieszeni płaszcza, nie mówiłam ci... byłabyś krzyczała... Przedziurawiłam konserwę ostrym kamieniem i wydłubuję mięso patykiem. Słone, ale dobre.

– Wyrzuć to, natychmiast. Dwa tygodnie głodówki, gorączki, a teraz mięso na czczy żołądek. Wyrzuć! Potem znów będziesz piła wodę z rzeki.

– Nie wyrzucę, szkoda. To dobre mięso, ty także zjedz.

– Pójdziemy na obiad, ale wyrzuć to świństwo. – Wyrwałam jej konserwę z ręki i cisnęłam w krzaki. – Zbieraj się, pada deszcz, wracamy do miasta...

Wróciłyśmy przez most, lecz zamiast pójść w stronę śródmieścia, zaczęłyśmy oddalać się w przeciwnym kierunku. Deszcz drobno kroił, rzeka poszarzała, nadbrzeże opustoszało. Na przedmieściu – myślałam – znajdziemy jakąś gospodę, odpoczniemy trochę, wrócimy do miasta i będziemy chodziły do wieczora, a potem wsiądziemy do pociągu, który zawiezie nas na południe. Drzemka w trawie bardzo mnie pokrzepiła, a jeszcze bardziej krzepiąca była myśl, że Jadwiga zdrowieje. Strzegłam się jedynie przed myślą o jutrzejszym dniu – czułam w sobie jej ciężar – wiedziałam, że nie wolno dopuścić, by mną owładnęła, że koncentrować się należy tylko na chwili, która j e s t, nie wybiegać naprzód.

Pchnęłyśmy furtkę zaopatrzoną w przemyślną kołatkę i weszłyśmy do gospody w parterowym, rozległym domu, obrośniętym szczelnie winoroślą. W mrocznym wnętrzu, pod rzeźbionym drewnianym okapem uwijały się zwinne i smukłe kelnerki w czarnych sukienkach i mikroskopijnych białych fartuszkach. Sala była pełna. Na stolikach czerwieniało w kieliszkach wino, wonny dym snuł się w powietrzu. To nie była żadna wirtschafft, tylko elegancka restauracja zamaskowana wiejskimi pozorami. Jedyny wolny stolik, większy od innych, stał na środku sali. Usiadłyśmy przy nim. Zdjęłam mokry płaszcz, narzuciłam niedbale na ramiona, rozglądnęłam się dokoła. Dużo wojskowych, zaczerwienione twarze, głośny śmiech. Kelnerka wyrosła przed nami bezszelestnie, wytwornie czarno-biała, spojrzałam na jej ręce, wypielęgnowane, białe, i swoje ukryłam pod płaszczem.

– *Fleisch, bitte*.

To Jadwiga się odezwała, Jadwiga, która przez cały czas podróży milczy, udaje, że nie słyszy, że śpi, boi się wymówić słowo w ich języku, teraz nagle się odzywa, żądając mięsa, które jest na kartki. O niczym innym nie myśli, musi coś zjeść.

– *Was für Fleisch wünschen Sie?*

Głos kelnerki jest uprzedzająco grzeczny, ledwie w nim można wyczuć nutkę ironii.

– *Was würden Sie uns empfehlen?* – uprzedzam Jadwigę, otwieram torebkę i najpierw spokojnie, potem niecierpliwie szukam w niej żywnościowych kartek.

– *So etwas!* – Zapomniałyśmy naszych kartek z domu. Rozłożone w bezradnym geście białe,



wypielegnowane ręce, szybkie spojrzenie Jadwigi: ja m u s z ę. – Wobec tego zjemy coś, co można dostać bez kartek.

– *Kartoffelsalat?*

Już nieukrywana pogarda w uśmiechu.

– Proszę. Dwie porcje.

Na widok ziemniaków z cebulą Jadwiga z trudem opanowuje łapczywość i drżenie rąk. Pierwszy posiłek od dziesięciu dni! Zjadłybyśmy chętnie jeszcze jedną porcję, ale boimy się zdradzić, jak wielki jest nasz głód.

Zapłaciłyśmy kelnerce, lekceważącej nas teraz już całkiem wyraźnie, i wyszłyśmy z sali. W tej samej chwili poderwał się od stolika mężczyzna w wojskowym mundurze i wyszedł za nami. Być może chciał zaczerpnąć świeżego powietrza, być może... Idziemy wolnym krokiem, przystajemy, zapinamy płaszcze.

– Pamiętaj, uciekłyśmy z D. – przypominam Jadwidze szeptem.

Wojskowy patrzy na nas, stoimy w odległości kilku metrów.

– *Und jetzt schnell nach Hause* – mówię głośno, nie przyspieszamy jednak kroku, oddalamy się spokojnie.

Zmrok zapadł szybko i teraz, pod wieczór miasto wyglądało całkiem inaczej niż rankiem. Wyglądało jak zwykłe sobie miasto w chmurny, deszczowy dzień. Świeciły neony i wystawy sklepów, ludzie wchodzili i wychodzili z domów, restauracji i kawiarni, nad wejściem do kina widniała wielka twarz Christine Söderbaum. Chodziłyśmy beładnie to tu, to tam, zmęczenie ogarniało nas coraz większe i wciąż wracałyśmy nad rzekę, by odpocząć w spokoju. Nad rzeką było pusto, cicho. Stałyśmy, niewiele ze sobą rozmawiając, nie mówiąc ani słowa o sprawach ważnych, a za naszymi plecami była Góra, nasz niby dom w tym mieście, Góra z ukrytymi w jej zaroślach bucikami Jadwigi.

Nawrót ulewy zapędził nas do lodziarni (jadłyśmy lody malinowe, słodkie jak landrynki) i tam widziałam w lustrze nasze twarze. Jeszcze nie budziły podejrzeń, ale patrząc na nie, mówiłam w duchu: musimy natychmiast jechać dalej, jechać całą noc, tak by rankiem znaleźć się w okolicach jeziora, blisko granicy. Młody, wesoły chłopak spytał:

– *Was machen Sie heute Abend, Fräulein, wollen wir ins Kino gehen?*

– *Komm* – pociągnęłam Jadwigę, wyszłyśmy na ulicę, strumienie płynęły chodnikami, ludzie biegli, wtulając głowy w ramiona, biegli do suchych, ciepłych mieszkań, do lampy nad stołem, do książek w bibliotece...

Teraz nadszedł ten moment u schyłku dnia, ten trudny moment, któremu nie wolno się poddać. Szłyśmy w kierunku stacji coraz wolniej, w coraz większym znużeniu. Popatrz – mówiłam sobie – to naprawdę ładne miasto, nawet teraz, w deszczu i ciemnościach, ładniejsze jest od innych, ale to były czcze słowa, nie czułam niczego oprócz zmęczenia. Dopiero na placu przed dworcem Jadwiga zorientowała się, dokąd idziemy. A buciki? – spytała z takim lękiem i przerażeniem, że stanęłam i już nie wiedziałam, co lepiej: zawrócić na Górę czy jechać natychmiast. Pomyślałam o przyćmionej hali dworca i zobaczyłam siebie przed rozkładem jazdy, mrużącą oczy pozbawione szkieł, podchodzącą do kasy. – Wracamy na Górę – powiedziałam. Ruszyłyśmy tą samą co rankiem drogą. Jakby na dowód, że powzięta decyzja była słuszna, deszcz nagle ucichł i zapachniały akacje.

Wspinałyśmy się pod górę, Jadwiga szła przodem, chuda, zgarbiona, chwiejąca się na obcasach za wielkich na nią czółenek. Wyglądała jak stara kobieta. Miasto za każdym zakrętem wznoszącej się drogi opadało niżej, zapadało w mgłę i ciemność. Wieczór i mgła odmieniły Górę, prawie że nie poznałyśmy jej teraz i trudno nam było trafić na miejsce, gdzie Jadwiga ukryła swe buty. Mówiłam: – Zostaw je, po co ci one – ale nie chciała ustąpić, tłumaczyła zdyszczanym głosem, że musi je odnaleźć, że nie zostawi ich w zaroślach, mówiła o nich, jak gdyby to było dziecko, i prosiła, żebym zamknęła oczy tak jak w lesie, kiedy zgubiłyśmy drogę, wtedy gdy była z nami jeszcze Marysia-Anka.

Więc usłuchałam, stanęłam, zamknęłam oczy i odtworzyłam w myślach drogę do tych zarośli, trawa była mokra, buciki śliskie i miękkie. Nie było nawet w co ich zawinąć, gdyż gazeta rozlazła się w palcach jak pajęczyna, ale Jadwiga nie przejęła się tym, schowała buty pod płaszcz jak szczeniaka i tak je niosła.

Już wysoko zaszłyśmy, a wciąż nie było widać dobrego miejsca na spanie. Usiadłam więc na ławeczce, nie chciało mi się dalej iść, natychmiast zapadłam w sen, bardzo płytki, kontrolowany świadomością, wiedziałam, że śpię i że mam otwarte usta, a także, że to bardzo źle, że nie chcę już dalej iść i szukać miejsca na spanie, najgorzej jest, kiedy niczego się nie chce, najniebezpieczniej, ale nic na to poradzić nie mogłam i nie mogłam się obudzić. Słyszałam głos Jadwigi, który mówił: „Joanno, Joanno, obudź się, nie śpij”, głos pełen lęku wobec tak nagłego zapadnięcia w sen i otwartych ust, aż wreszcie szarpnęła mnie za ramię. Otworzyłam oczy i ujrzałam pochyloną nade mną obcą twarz. To była twarz Jadwigi zalana łzami.

– Nie becz – powiedziałam.

– Nie beczę, to deszcz.

Ten krótki, płytki sen bardzo mnie pokrzepił, zerwałam się z ławki i zaraz znalazło się dobre miejsce na spanie pod dachem z gęstych gałęzi. Kazałam Jadwidze zdjąć płaszcz, sama uczyniłam to samo. Jej płaszczem okryłyśmy nasze kapelusze, mój, szeroki, wystarczył na przykrycie nas obu.

Raz jeszcze wstałam, szukając wzrokiem świateł miasta, które leżało u naszych stóp. Były niewidoczne, wsiąkły w mgłę. Ptaków też nie było, przegonił je deszcz, który znów przybrał na sile i padał teraz ostrą strugą smaganą wiatrem.

\*

Zbudziło mnie słońce. Natychmiast sprawdziłam kapelusze – były suche, płaszcz ochronił je przed deszczem. Włożyłam kapelusz na głowę, wyjęłam z torebki lusterko. Przez chwilę przypatrywałam się sobie. W brązowym kolorze było mi do twarzy, pęki polnych kwiatów przypiętych do kresy wyglądały świeżo i radośnie. *Zweimal, bitte, dritte Klasse* – powiedziałam i uśmiechnęłam się do lusterka. Potem zdjęłam kapelusz, umyłam mokrymi liśćmi twarz i obudziłam Jadwigę. Zawołałam: – Barbara, wstawaj – po raz pierwszy wołałam ją nowym, trzecim z kolei imieniem, od tej chwili była Barbarą, Jadwiga przestała istnieć. I Joanna przestała istnieć, na jej miejsce przysłała Maria. (Przybieramy i odrzucamy imiona, układamy i zmieniamy życiorysy, tworzymy nowe postacie i mamy w ich tworzeniu absolutną nad nimi władzę i swobodę, my prawdziwe, my podwójne.)

Nad miastem blade niebo i blade podeszczowe słońce. Nie staję na zakręcie, nie patrzę na wzgórze i rzekę, choć piękne są zapewne w porannym świetle – nie interesuje mnie więcej to miasto.

– *Zweimal Karlsruhe, dritte Klasse* – i uśmiech. – *Zweimal Kalsruh?* – pyta kasjerka. Piekarz powie mi wkrótce, że Karlsruhe, każdą zgłoskę z osobna, *Karls* i *Ruhe*, *hochdeutsch* wymawiają tylko cudzoziemcy, a niegdyś wymawiali tak Żydzi, których Führer wysłał na łono Abrahama. („Ależ... ależ... co ty gadasz, do Ameryki ich wysłał” – podpowie przestraszona piekarczowa.) Wszyscy inni wymawiają swojsko, w dialekcie, *Kalsruh*, od razu zorientowałam się, że to błąd, wzrok kasjerki zatrzymał się na kresie kapelusza, potem spadł na skórkowe rękawiczki...

– *Bitte...*

O tak wczesnej porze pociąg jest pusty. Mechanicznie, bez słów, powtarzamy sytuację z wszystkich poprzednich pociągów – Barbara zasłania się płaszczem i udaje, że śpi, ja naprzeciwnie niej, wyprostowana, z rękoma na kolanach, patrząca w okno. Na peronie głosy: *hajo, hajo, geschta, hajo*. *Hajo* brzmi wesoło jak pokrzykiwanie na krowy, ale *geschta* przejmuje lękiem. Czyżby to słowo „Gestapo” zubożone o końcówkę? *Hajo, geschta stark geregnet*. „Wczoraj” oznacza to słowo w tutejszym dialekcie: Wczoraj padał silny deszcz, *hajo, hajo*, jak wesoło, „masz zafajdaną

wyobraźnię”, mówiła Stefa w obozie.

Za trzy godziny będziemy w Kałsrüh – jakie będzie to miasto? Czy spełni obietnicę zawartą w nazwie – *Ruhe, Ruhe, du bist die Ruh...* dlatego przecież spośród tylu innych leżących po drodze nad jezioro wybrałyśmy to właśnie, bo obiecuje spokój. Co powiedziałyby Marysia-Anka, gdyby była teraz z nami? Czy podobałaby się jej ta nazwa? Ance nie podobała się malownicza nazwa Iserlohn, wołała ostro brzmiące Arnsberg, a mnie odpychały zbite w gromadę spółgłoski *rns*, stałyśmy pod drogowskazem, ciemna noc; – posłuchaj: Iserlohn, to kojarzy się z łąkami. – Co z Anką? Dokąd uciekła? Najpierw było nas sześć, potem trzy, teraz jesteśmy dwie. Pociąg rusza cicho, łagodnie, lekkie skrzypnięcie wagonu i lekki skurcz w gardle i żołądku, zawsze ten sam, *Ruhe, Ruhe*, spokój...

Kobieta. Starsza, z aksamitką dokoła szyi, siwa głowa, pierścień na palcu. Rodowy pierścień czy też podarek od syna z *Ostfront*? Głupstwa, tak nie wolno, trzeba odpowiedzieć na uśmiech skąpo, chłodno, rozmowy są niepożądane. Oko Barbary wзира spód płaszcz, sygnalizuje: ja nie śpię, czuwam, wszystko widzę i słyszę, w każdej chwili jestem gotowa. Tamta kobieta w nocnym pociągu była młodsza, również w czerni, dużo jest teraz kobiet w czerni, dużo drogich pierścieni na palcach i drogich futer, *unsere tapferen Soldaten*, w gazetach całe strony *für Führer und Vaterland gefallen*.

– Bardzo mi miło.

(Niespokojne oko Barbary zza rękawa.) Kobieta w aksamitce na szyi mówi, że jestem podobna do jej córki. Uśmiech. Jej córka ma podobne włosy, jasne, popielate i taką samą nordycką urodę. *Gross, hell und schlank*. W obozie byłam jak patyk, a teraz po wikcie u Klotyldy jestem nordycko szczupła. Jej córka ma wkrótce przyjechać na urlop, bardzo za nią tęskni, przypominam jej córkę, dlatego mi się przygląda. Serce matki. Może to jej syn ściągnął pierścień z palca mojej umierającej matki? Nonsens. Moja matka umarła, kiedy mnie rodziła, Leokadia Walkowska z domu Więcek, ojciec rozpił się po jej śmierci i ożenił z Wacławą Piekarską, ojciec pił, macocha biła, niedobre miałam dzieciństwo, niedobrą młodość, wolałam wyjechać na ciężkie roboty, ja, Maria Walkowska. O co pytała matka podobnej do mnie córki? Nie dosłyszałam, zajęta rodziną dróżnika spod Bóbrki. Oko Barbary sygnalizuje: uwaga, Barbara słyszała, o co pytała ta baba. Baba? Żle. To moja rodaczka, nie powinnam o niej mówić „baba”. Zapomniałaś: nie jesteś w tej chwili Marią Walkowską, tylko *ein deutsches Mädchen*. Jak mogłaś... *Ein braves deutsches Mädchen*. Co mam na palcu, pyta starsza pani. Zraniłam się w fabryce...

– Ach, pani pracuje w fabryce, *in einem Rüstungsbetrieb*?

– *Ja, ja* – i uśmiech. A palec poraniony od obierania nadmiernej ilości ziemniaków w kuchni Klotyldy Schulz, *ja, ja... in einem Rüstungsbetrieb*. Jest zachwycona. Obie jesteśmy zachwycone. Nasze dzielne dziewczęta! – Moja córka, zanim wyjechała na Wschód, również pracowała w fabryce zbrojeniowej. – Trochę za daleko zaszła nasza rozmowa. Patrzę w okno, zieleń i zieleń, piękny kraj żyznej ziemi, zielonych krajobrazów, *ein schönes Land, ein tapferes Land, heil, heil*. – *Bitte?* – Pyta, czy pozwolę jej poprawić opatrunek na palcu, bandaż się rozwiązał, chciałyby choć w ten sposób przysłużyć się dzielnej dziewczynie podobnej do jej córki. Bandaż jest brudny, jego końce zwisają żałośnie. Uciekając, pamiętałam, by założyć opatrunek na palec dzielnej niemieckiej dziewczyny, bo w dzisiejszych czasach w dzielnych niemieckich domach ziemniaki obierają dzicy cudzoziemcy ze Wschodu, ale wczoraj, na Górze zapomniałam zmienić go na czysty i starannie zawiązany. Co pomyśli niemiecka matka na widok mego szerniałego, posiekanego kozikiem palca? – *Ach nein*, dziękuję, nie trzeba... ja sama... – ale oto moja dłoń w jej suchych palcach, pierścień sypie skrami. – Boli, boli, proszę nie rozwijać bandaża do końca. – Ach, nie chciała sprawić mi bólu, przeprasza. – *Vielen Dank* – i uśmiech. Ale na tym dosyć. Odwracam głowę, wyglądam przez okno, potem przymykam oczy. Spać. *Ein deutsches Mädchen* śpi, Maria Walkowska czuwa w pogotowiu, a ja wciąż czuję ucisk w gardle.

*Ruhe*? Miasto, którego nazwa nosiła w sobie zapowiedź spokoju, przywitało nas złowrogimi sztandarami – nad dworcowym placem powiewały swastyki. Jakieś złowrogie święto obchodziło to zdradliwe miasto, należałoby natychmiast je opuścić. A my jak na przekór idziemy przez plac, nad naszymi głowami czarne zygzaki, idziemy w kierunku ulicy, zostawiamy dworzec za sobą. Jeszcze nie padło ani jedno słowo, a wiemy: nie zobaczymy jeziora. Niespodziewanie, w milczeniu podjęta została decyzja – nasze twarze, nasze twarze ujrane w jasnym świetle poranka, niezdatne są już do podróży. A także – równie niespodziewany lęk przed bliskością granicy, która nagle odstrasza (a przedtem przyciągała), w pobliżu granicy kontrola będzie ostrzejsza, większa podejrzliwość. Dopiero teraz wpada ci to na myśl? Bo dotychczas wciąż: jezioro, jezioro, jak gdyby można je było po prostu przepłynąć. Głupia! – To był głupi plan – mówię na głos – i niebezpieczny.

Siedzimy na ławce, przed nami ulica, poranny ruch. Patrzymy na auta i tramwaje. Chodnikiem płynie fala młodych dziewcząt z teczkami szkolnymi w ręku, grube, starannie splecione warkocze spływają po ich plecach. Żeńskie gimnazjum musi być w pobliżu. Odprowadzamy dziewczęta tępym wzrokiem. Są radosne i świeże i wciąż napływają falami. Ocieężałość nas opadła i apatia. Trzeba wstać i dać się złapać (lepiej jest zostać złapanym niż samemu się zgłosić) – najlepiej na przedmieściu lub w blisko leżącej małej miejscowości, nie w samym mieście. A my wciąż jeszcze na ławce. Poranek dojrzał, słońce wyszło zza chmur, tramwaje dzwonią. Fale dziewcząt przepłynęły. Teraz mija nas starsza kobieta i mijając, przystaje, patrzy na nas, jakby się wahała, czy podejść i zapytać, ale odwraca się, idzie dalej, z kwiatami w ręku, są to żółte żonkile. Piękną miała twarz i piękne oczy, na ramionach wzorzysty szal – nie widziałam tu takich kobiet. Może malarka? może aktorka? Zapamiętałam jej twarz. (Całe to siedzenie na ławce na tle złowrogich dekoracji dworcowego placu, fale dziewcząt, żółte żonkile, ocieężałość naszą pamięć dokładnie zachowała.)

Tramwaj zawiózł nas na odległe przedmieście, stanął przy okrągłym placu. Spodobał mi się ten plac, rozległy, zadrzewiony, korony drzew jak kopuły, na prawo za drzewami długi budynek z szarego kamienia, przypominający z wyglądu klasztor. Nikt oprócz nas nie wysiadł na tym przystanku. Dochodziło już południe, słońce mocno teraz grzało.

– Tu damy się złapać – powiedziałam.

– Przez kogo? – spytała Barbara. – Nie ma przecież żywej duszy.

W tej samej chwili spod drzew wynurzył się żandarm, szedł niespiesznym krokiem, żwir chrzęścił pod jego nogami. Ruszyliśmy mu naprzeciw, wyraźnie i głośno mówiąc po polsku, że kartofli nam się zachciewa i klusek, i jeszcze inne zdania, a wszystkie o jedzeniu. Nic innego nie przychodziło nam do głowy. Żandarm nas minął, zniknął za drzewami, ale po pewnym czasie znów wynurzył się w pobliżu. Pełnił widocznie na tym placu służbę. Długo krążyliśmy wokół niego, daremnie czekając na słowa *Ausweis bitte*. Milczał. Więc podeszliśmy same. *Pole, essen*.

Prowadził nas w kierunku szarego budynku, który przypominał wyglądem klasztor. „*Polizei*” głosił napis nad starą drewnianą bramą, którą żandarm otworzył przed nami, a potem zamknął. Widoczne jest to jak na filmowej taśmie, zwłaszcza moment otwierania i zamykania starej, być może niegdyś klasztornej bramy, i bardzo wyraźny jest mrok, jaki nas potem ogarnął. W mroku weszliśmy na piętro, a tam do wielkiego pokoju, który był pełen żandarmów i ich grubego śmiechu. Na nasz widok zamilkli. Jeszcze godzina upłynie – godzina przesłuchania – zanim znajdziemy się tuż nad przepaścią, zanim żandarm chudy i wysoki, z twarzą drapieżnego ptaka zacznie nakręcać numer Gestapo i zanim ślepy przypadek sprawi, że nakręcanie numeru przerwie, a słuchawkę odłoży na widełki. Godzina walki z tłumaczką o zaciętej twarzy, bystrą i mądrą, mądrzejszą od żandarma-ptaka. Nie wierzyła. – *Unerhört!* – wołała – *sie lügt, das sind Lügen*. – Mądra była i perfidna, tłumacząc, kłamała, chciała naszej zguby. Przegrałyśmy tę godzinną walkę. *Ich rufe Gestapo an*. To przypadek zwyciężył, idealna

zbieżność w czasie dwóch czynności: nakręcania numeru Gestapo przez żandarma-ptaka i wejścia do pokoju komendanta posterunku. Komendant gruby, mały. Żandarm odłożył słuchawkę. – *Da stimmt etwas nicht* – powiedział. – *Merkwürdiger Fall. Ich rufe Gestapo an.* – Gruby komendant podejdzie do nas, będzie stał i patrzył, odejdzie i znów do nas wróci, i w końcu rozkaże: – *Rufe Arbeitsamt an* – i żandarm-ptak ponownie sięgnie po słuchawkę.

\*

Jadąc tramwajem z powrotem do miasta, pytałam siebie, czy nie zbyt pochopnie oskarżyłam je o podstęp i zdradę. Jechałyśmy, jak już niegdyś na północy, z urzędnikiem Arbeitsamtu, którego wezwano, by nas zabrał. – *Dorf, Kuh melken, nix Fabrik.* – Kiwał potakująco głową i zerkał na kapelusz, który trzymałam w ręku. Nie pytał o nic. To tłumaczka, mądra, perfidna, wciąż o kapelusz pytała, intrygował ją. Raz, drugi i trzeci wyskakiwała z pytaniem: – A kapelusz komu ty ukradła? W domu ty też chodziła w kapeluszu? – Nie wiadomo, dlaczego tak ją intrygował. Bo że wciąż znieścacka pytała o nazwę fabryki, było zrozumiałe.

– Więc jak się nazywała ta fabryka w Dortmundzie?

– Mówiłam już: *gemba*.

– Nie udawaj. *Gesellschaft mit begrenzter Handlung* to nie jest nazwa. Nie udawaj, że nie wiesz. Dobrze ci radzę, przypomnij sobie nazwę fabryki. I nie kłam. Kłamiesz. *Sie lügt*.

– Tam stało napisane literami: wielkie „G”, małe „m”, małe „b” i wielkie „H”. Razem *gembha*, coś jak po naszymu gęba.

– *Schlau ist sie... schlau...*

Klarissa, mówił do niej żandarm-ptak. – *Lassen Sie das Klarissa, es hat keinen Sinn, ich rufe Gestapo an. Gestapo wird sie schon singen lassen...*

W Arbeitsamcie wsunęłam kapelusz pod płaszcz i znów swoje: – *Dorf, Kuh melken...*

– *Ja, ja, Kuh melken* – zniecierpliwiał się urzędnik. – Będziecie pracowały w jednej wsi, każda u innego gospodarza. Zaraz przyjedzie po was autem *Herr Bauernführer*.

\*

(„Miejsce, gdzieomalże nie skończyło się wszystko”... – zwykła była potem mówić, mając na myśli długi budynek z szarego kamienia na okrągłym zadrzewionym placu. Dlaczego właśnie to miejsce? Były przecież inne, w równej, o ile nie większej mierze zasługujące na tego rodzaju określenie. Czy to ze względu na ślepe zrządzenie losu?

Jeszcze po wielu latach, kiedy jechała tamtędy pociągiem – po raz pierwszy jechała przez ten kraj, nie zatrzymując się, przejeżdżając tylko – z biciem serca stała w oknie i czekała. „Blisko stąd jest miejsce, gdzieomalże...”. Zielone łąki, czerwone dachy... Pociąg przeleciał w pędzie, nie zdążyła nawet odczytać nazwy stacji. Po trzydziestu latach pojechała na spotkanie z tym miejscem, tylko z tym jednym.)

## VIII

To jest prawdziwa wieś: małe domki wzdłuż jezdnej drogi, która łagodnie opada i znika w lesie. Na podwórzach kopce gnoju, starannie przyklepane łopatą, dokoła łąki i pola. Pośrodku wsi kościół i rozłożysta lipa, zarząd gminy, mleczarnia. Pod lipą ławeczka. Na kościelnej wieży ruchomy kogut, którym kręci wiatr. Wóz jadący drogą ciągną krowy, nie konie – konie w tej wsi posiada tylko *Bauernführer* i kowal, wszyscy inni robią w polu krowami. To jest prawdziwa wieś niezbyt bogatych chłopów. Tylko sadów brak – jabłonie, grusze, śliwy stoją na polach lub przy polnych drogach. I lesiste łagodne wzgórza na horyzoncie.

Auto zatrzymało się pod lipą, z domu w głębi podwórza zbiegła po drewnianych schodach chuda bauerka z wolem u szyi, za nią troje małych dzieci, z obory wyszedł bauer w gumowych butach, widły zatknął w kopiec gnoju, uniósł rękę. *Heil Hitler*.

– Oto wasza Polka. *Do isch sie, eure Polin* – wskazał *Bauernführer* na Barbarę.

Dziękowali mu wylewnie: – *Viele Dank Fridolin, viele Dank, a nettes Mädele*. – („*Mädele, Gäbele, Läftele*, gadają jak Żydzi – śmiał się Zygmunt od kowala – i sami do Żydów podobni. Czarni, cherlawi, jakbyś do Palestyny przyjechał”.)

Trzy domy dalej, za ladą w sklepiku, stała Hermina, gruba, ruda, w wykrochmalonym fartuchu. Piekarz przybiegł z piekarni w piwnicy, wypisz, wymaluj, jak mawiał Zygmunt: czarny, mały. Przemilczał Hitlera, mruknął *guten Tag*, a Hermina szybko zagadała, jak dobrze, że wreszcie dostali kogoś do pracy, trudno im, nie są młodzi. – Jak jej na imię? – *Marija*. – *Das ist also unsere Marija. A feines Mädele*.

Wieczorem w mansardowej, przestronnej sztabie napisałam na kartce papieru: „Czy znajdę tu spokój? Tak bardzo pragnę spokoju” – i kartkę tę dawnym nawykiem starannie ukryłam. Została pod materacem łóżka, pusta, z tą jedną linijką drobnego maczku u góry. W przeciwieństwie do czasów, kiedy byłam Joanną, nie odczuwałam potrzeby pisania. Maria zdobyła nade mną przewagę. Tej pierwszej nocy przyśniła mi się polana leśna, na której stał drewniany domek, niezamieszkały, zamknięty na cztery spusty, otoczony niskim drewnianym płotem. W niedzielę poszliśmy z Barbarą na spacer do lasu i tam – nagle – ujrzałam swój sen. Uznałyśmy to za dobrą przepowiednię.

\*

Za oknem ciemnej, małej kuchni widać obejście. Jest ciasne i zaniedbane. W oborze dwie krowy. Sąsiadujący z kuchnią pokój z trudem mieści dwa łóżka. Od frontu, obok sklepu – *gute Stube*, świętość zamknięta na klucz, a w niej oszklone *Vertiko*, duma Herminy. Nie pozwalała mi jej sprzątać, sama odkurzała bibeloty i meble. Tylko w wyjątkowych wypadkach przyjmowano tam gości, za mego pobytu zdarzyło się to dwukrotnie. Natomiast co niedziela Hermina zasiadała tam przy oknie w świątecznej sukni, świątecznym fartuchu, z książką w ręku – otwartą, ale nieczytaną – obserwując

zza lekko uchylonej firanki przechodzących gościńcem. Życie we wsi znała z rozmów w sklepie i niedzielnych posiedzeń przy oknie. Sklep opuszczała tyl-ko w okresie żniw i wykopków i chętnie podkreślała fakt, że pochodzi z miasta. Z respektem niepozabawionym ironii patrzono na ukrytą za firanką żonę piekarza, skorego do żartów, do kobiet i do polityki. Był nałogowym pijakiem. Monolog, jaki – przed wojną jeszcze – wygłosił po pijanemu w wirtschafcie, przypłacił pobyt w obozie. Sam mi o tym powiedział (w narzeczu cudzoziemców) zaraz na początku, kiedy jechaliśmy krowami w pole. *Marija, du Polin, du verstehen, ich sagen Hitler nicht gut und ich ein Jahr Lager*. Siedział rok w Dachau, Hermina wykupiła go za wory mąki. Ludzie traktowali go z lekceważeniem, trzymali się odeń z daleka. Był człowiekiem porywczym i zapalczywym. Do wirtschafu już nie chodził, zawile pijackie monologi wygłaszał w kuchni. – *Er predigt schon wieder* – biadała Hermina i w pośpiechu zamykała okna. W miarę zbliżania się końca – zmienił się. Nie szeptał już do mnie „*Hitler nicht gut*”, wołał: „my wam jeszcze pokazemy” – tak jak gdyby wbrew przekonaniom nie mógł pogodzić się z myślą o ostatecznej klęsce.

\*

Wszystko jest inne niż na północy w tej małej wsi u podnóża łagodnych wzgórz – krajobraz, ludzie, ich język. I my jesteśmy inne. Zaprawa i wiedza zdobyte u grossbauerów dodają pewności siebie i spokoju. Barbara – już zdrowa – po raz pierwszy nie czuje ciężaru swoich czarnych włosów i ciemnych oczu: wielu mieszkańców wsi ma podobne oczy i włosy, a na dodatek panuje tu głębokie przekonanie, że uroda Polaków jest ciemna, *die Polen sind schwarz*, mówi piekarz, i nie on jeden, w oczach mieszkańców wsi Barbara jest okazem typowej Polki. Pozbawiona ciężaru ciemnej urody i szykan Niemki niczym nie przypomina Elżbiety i Jadwigi. Odżyła. Jej nowa bauerka przy każdej okazji prawi dzieciom o dobroci wodza, bauer nosi partyjną odznakę, ale Polkę traktują przyzwoicie, długo czekali na parobka ze Wschodu. Barbara odżyła, jest pełna energii, silna. Nie ma już między nami milczenia. Mówię jej często: teraz ty decydujesz.

I Maria jest inna. Istnieje prawie że bez mojej kontroli, niekiedy nawet góruje nade mną (niekiedy!), na przykład wówczas, gdy będąc sam na sam z Barbarą, wtrącam nagle wiejskie zwroty, mówię nie własną, lecz przyswojoną na użytek osób trzecich mową, lub gdy jadąc wozem w pole, czuję w sobie błogi spokój i myślę, że mogłabym potem tak właśnie żyć: prosto i spokojnie, bez wszystkiego, co było mi dawniej do życia potrzebne – w kręgu wyznaczonym przez pola, łąki, grabie, krowy...

Nie lubię Marii górującej niekiedy nade mną, choć przecież uparcie i konsekwentnie dążyłam, żeby nią zostać.

Coraz rzadziej mówimy „o ile...”, coraz częściej pytamy, czy będziemy jeszcze kiedyś takie jak dawniej. Strach, że nas odnajdą lub rozpoznają, nie zniknął, zsunął się tylko w głąb i drzemał. Niekiedy zrywał się gwałtownie – komiwojażera wziął za tajniaka, podobnie jak handlarza byłem, który konferował z piekarzem przy zamkniętych drzwiach. Zrywał się i znów zasypiał. Z upływem czasu spał coraz głębszym snem. Ale nawet pod koniec, po zajęciu Zagłębia Ruhry przez Anglików, czyli wówczas, kiedy powinien był się ulotnić, jego wątle resztki tkwiły jeszcze w nas. Tkwiły do ostatka, do dalekiego (na razie) dnia, kiedy dwa pancerne auta armii de Gaulle’a przejechały przez wieś, a *Ortsgruppenführer* Gottfried wdrapał się na dach swego domu i w szparę między dachówkami zatknął drąg z białym prześcieradłem.

\*

Pierwszy zjawił się u nas Piotr, przyszedł z Waldbachu na wieść, że przywieźli dwie Polki, i odtąd już

zawsze przychodził niedziela po niedzieli, dopóki na tartak nie spadło sześć bomb. Miał kołyszący chód marynarza, ale był murarzem z Warszawy. Przychodził w czarnym ubraniu, w staromodnej kamizelce, w kapeluszu, nieco uroczysty, melancholijny, delikatny. Miał czterdzieści lat, cichy głos. Był sierotą. Gnębiło nas potem, że nie powiedziałyśmy mu prawdy. Często powtarzał, że znalazł w nas rodzinę. Przywoził nam drobne upominki, które sprzedawano w sklepie bez kartek, kolorowe grzebyki, lusterka, bukietiki sztucznych fiołków. Nie powiedziałyśmy mu prawdy.

Piotr sprowadził Olka z żoną i Rudolfa, Polaka z Francji – wszyscy oni pracowali w tartaku.

Siedzieliśmy u Barbary na połamanej kanapie, w jej malutkiej sztubie z widokiem na lipę i kościół z kogutem, lub na polance leśnej, gdzie stał ów drewniany myśliwski domek, który mi się przyśnił, zanim go ujrzałam. Czasami czytaliśmy wiersze z książki przywiezionej przez Olka z Polski. Z górnej wsi przychodziła wątpa, piętnastoletnia Helenka, raz w miesiącu zjawiała się Genowefa z obozu pod miastem. W obozie panował głód, przyjeżdżała po kartki na chleb i cukier, które kradłam w sklepie Herminy.

Olka nie było już w Waldbachu, kiedy na tartak spadły bomby – chorował, udało mu się dostać zezwolenie na powrót do Polski. Bomby spadły w samo południe. Piotr nie chciał zejść do schronu, stał na dziedzińcu i patrzył w niebo, a razem z nim Rudolf. Zamiatalam podwórze, kiedy zadrżały we wsi szyby w oknach. Ciężko rannego Rudolfa zabrał polowy szpital, szukałyśmy go na próżno. Ktoś przyniósł ostatnie słowa Piotra: „Do schronu? Żeby mnie z Niemcami zasypało?”.

Pogrzeb odbył się nazajutrz wieczorem. Ksiądz nie zdążył dokończyć modlitwy, samoloty nadleciały, krążyły nisko. Kryliśmy się między nagrobkami. Było ciemno, duszno, Helenka płakała ze strachu.

\*

Front podszedł blisko i zamarł za Renem, w Alzacji. Widzę (jak gdyby wczoraj) Marię idącą do Luizy Hess po wódkę dla piekarza, człapie trepami, jeszcze nie skończyła doić, jest w stajennym fartuchu i w chustce stajennym zwyczajem zsuniętej na czoło, człapie do sąsiadów, którzy w piwnicy pędzą wódkę i jabłczane wino. Piekarz pije teraz zachłannie.

Luiza Hess, chuda i czarna, podobna do Włoszki, do Hiszpanki, do Cyganki, tylko do Niemki niepodobna, zeszła do piwnicy po wódkę, a Maria w stajennym stroju stoi (jak gdyby wczoraj...) przy drzwiach. Nie jest w pokoju sama. Przy stole piją wino naukowcy ze zburzonego nalotem miasta, którzy mieszkają w pustym jeszcze budynku nowej szkoły i nie wiadomo, czym się zajmują. Słuchy chodzą, że nową bronią obiecaną narodowi przez wodza, i ludzie obawiają się, że obecność naukowców ściągnie na wieś bomby. Jest ich czterech, trzech asystentów i profesor o ascetycznej twarzy. Maria widzi ich kątem oka, nie chce na nich patrzeć, ignoruje ich obecność. Szkoła, w której mieszkają, stoi w sąsiedztwie domu piekarza, zna więc tych czterech, zna ich maniery Herrenvolku, ich spojrzenia, które patrzą na wskroś, jak gdyby nie istniała. Nie patrzy w bok, gdzie stół, tylko prosto przed siebie. Przed sobą ma fortepian, na którym blady wymoczek asystent gra jakiegoś walca. Niechętnie patrzy na fortepian, ale chcąc uniknąć widoku siedzących za stołem, jest do tego zmuszona. A Luiza jak na złość marudzi w piwnicy. Słońce zachodzi, oślepia, stoi cała oświetlona wpadającym przez okno czerwonym słońcem.

*Ein primitives Volk.* To głos profesora. Kątem oka dostrzega jego ascetyczną twarz. Prymitywny, brudny, leniwy. Żyją w nędzy. I po chwili: prawdopodobnie nigdy jeszcze nie widziała grającego na fortepianie. Może objaśnisz jej, Hans? Wymoczek zwany Hansem roześmiał się: – Chodź, zobacz, wystarczy nacisnąć klawisz palcem. Chcesz spróbować?

Pomyślała: nie rób głupstw, nie bądź idiotką, i nieposłuszna sobie podeszła do fortepianu. Blady Hans uderzył jeden, potem drugi klawisz i znów zapytał, czy nie miałyby ochoty spróbować.



Wyciągnęła rękę. Wysokie „c” zabrzmiało jak jęk – fortepian był rozstrojony. Za jej plecami ktoś parsknął śmiechem, a Hans spytał: – Podoba ci się? *Schön?* – Odpowiedziała: – *schön* – i jeszcze raz, nagle ucieszona, rozbawiona: – ładnie, ładnie, *schön*.

(To wtedy właśnie coś się w niej przesunęło, poruszyło – tak to odczuła.)

– *Ein primitives Volk* – powtórzył głos profesora. Roześmiała się głośno i śmiejąc się, uderzała jeden klawisz po drugim, a do siebie wołała przerażona, zdyszana, przestań, nie rób tego, jeszcze jest czas.

Od stołu dobiegł śmiech, dwa śmiechy brzmiały teraz w pokoju – ich i jej.

Odsunęła łokciem bladego Hansa, usiadła, uderzyła akord *As-dur*. Nie śmiała się już, serce głucho waliło. Grała poloneza Chopina. Po ośmiu taktach przerwała. Ręce jej drżały, musiała je ukryć w kieszeniach fartucha. W pokoju była cisza. Nie spojrzała na siedzących za stołem. Luiza do niej podbiegła, coś wołała, o coś pytała, miała zdumioną twarz. Uśmiechnęła się do niej – lubiła czarną i wesołą Luizę Hess – zabrała flaszkę wódki i wyszła, głośno człapiąc trepami.

Barbara zbladła, nie powiedziała słowa. Przez ułamek chwili miała znowu bolesną twarz.

W nocy nie zmrużyłam oka. Co powiem? Jak wytłumaczę? Przypomniała mi się podejrzliwość piekarza, kiedy przyłapał mnie na czytaniu gazety. „Okłamujesz nas... udajesz... Dlaczego? Co to oznacza?”

Wytłumaczyłam mu wtedy, że uczę się czytać, próbuję składać litery w słowa. Uwierzył. Co powie teraz? I co ja powiem? Leżąc bez snu, pogrążona w myślach, usłyszałam nad ranem daleki, głuchy odgłos milczącego od tygodni frontu. Tej nocy ruszyła ofensywa.

Nazajutrz opowiedziałam Herminie i piekarzowi rzewną historię o narzeczonym, który był organistą w kościele. To on uczył mnie grać na fortepianie. Kochałam go głęboko, ale porzucił mnie dla innej. Hermina opowiadała ją potem w sklepie. „Nasza Marija miała narzeczonego, który grał w kościele na organach” – mówiła. W jej głosie brzmiał odcień dumy.

\*

Byli blisko, przekroczyli Ren. Niebo otwierało się łuną, głos frontu dobiegał mrukliwy, głuchy. Za dnia słychać było suche trzaski pokładowej broni, samolot zniżał się tuż nad pole, widać było wyraźnie twarz pilota. Barbara przybiegła raz brudna i blada, odpryski ziemi ją przysypały, odłamek zranił w nogę. Wróciło dawne „byle przetrwać”, ale teraz chodziło tylko o bomby i suche trzaski *Bordwaffe*.

Wojsko zajechało nocą, na dziedzińcu przed kuźnią dymiła polowa kuchnia, pod kasztanami stały zamaskowane gałęzmi auta. Dwaj wojskowi wyprowadzili Siergieja od ogrodnika za wieś, widziałam, jak go prowadzili z białą twarzą, bez kropli krwi. Podobno coś powiedział. Nikt go więcej na oczy nie widział. Po kilku dniach wojsko opuściło wieś.

– My jesteśmy prości, przyzwoici ludzie – powtarzała Hermina – nie wyrządziliśmy nikomu krzywdy, my się nie boimy. Na niewinnych nie będą się mścili. *Sie werden uns doch nicht verhungern lassen.* – Raz i drugi sama wydoiła krowy.

Kilka bomb spadło na drogę, na pola, kamień wyrwany siłą wybuchu przebił dach domu piekarza, tu i ówdzie zerwało dachówki – to wszystko.

Tej nocy, która okazała się ostatnią, Barbara została u mnie. Od frontu dzieliło nas kilka kilometrów, w Waldbachu byli już Francuzi. Nad ranem umilkła strzelanina, umilkły wybuchy, nastąpiła cisza. Wyszliśmy z piwnicy przed dom. Świt był szary, pachniało świeżą ziemią. Od strony lasu szedł cichy pomruk. Ogromny samolot wytoczył się znad drzew i sunął po bladym niebie nisko, powolnym i cichym lotem. Zatoczył krąg nad łąkami, zniknął za lasem i wrócił, i znów krążył.

– To już – powiedziała do Barbary i ze ściśniętym gardłem śledziłam ten spokojny, cichy lot.

Do przyjazdu wspomnianych dwóch pancernych aut upłynie jeszcze kilka godzin. Przyjadą o dziesiątej rano.

Jest pierwsza niedziela kwietnia, dzień piękny, ostre słońce. Pancerne auta jadą wolno z górnej wsi do dolnej, z dachu Gottfrieda zwisa białe prześcieradło. Stoję i czekam. Więc tak wygląda ta chwila: dwa auta na pustej wiejskiej drodze. Niczego nie czuję, tylko gardło mam ściśnięte, obolałe. Dopiero gdy auta przejadą tuż obok, dopiero wtedy ogarnie mnie radość. Ale jeszcze wciąż boję się krzyknąć na głos prawdę. Zawołam *vive la France, nous sommes Polonais*, żołnierze odpowiedzą *vive la Pologne*, auta pancerne, nie zatrzymując się, pojedą dalej i znikną za zakrętem drogi, która wchodzi w las.

Do wieczora nikt więcej się nie zjawił. Z dachu Gottfrieda znikło prześcieradło, wieś była taka jak zawsze, można było pomyśleć – nic się nie zmieniło.

Było już ciemno, kiedy przyjechał czołg i stanął pod lipą na noc. Ujrzawszy go z okna mojej sztuby, Barbara zerwała gałąź rozkwitłego jaśminu i zaniosiła ją francuskim żołnierzom.

Odeszliśmy nazajutrz wczesnym rankiem.

Hermina patrzyła zdumiona na omotane postronkiem do wiązania snopków pudełko po margarynie – był w nim cały mój dobytek. Pod pachą ścisnęłam torebkę z *ausweisem* i połówką podkowy. – Jak to... odchodzisz? Akurat teraz, kiedy w polu tyle roboty? – Nie rozumiała. Czy źle mi u nich? Myślała, że zostanę do żniw. Piekarz milczał, pełen złości.

Barbara czekała pod lipą, ona również z pudełkiem w ręku.

Wyszliśmy na główną szosę wiodącą do miasta, którą ciągnęły już tłumy cudzoziemców w radosnych okrzykach, w wielojęzycznym śpiewie.

WRÓCIŁY. Wróciły i już są w mieście, gdzie mieszka teraz ich ojciec, wracają razem, tak jak niegdyś razem odeszły, odeszły w ciemności, wracają w ciemności, wtedy z nastaniem, teraz u schyłku nocy, za chwilę rozpocznie się świt.

Ach, nie bądź patetyczna, co z tobą? Odejdźcie z nastaniem nocy dyktowane było bezpieczeństwem, powrót o świcie rozkładem pociągów. Tylko bez symboli, bez sentymentów.

Ach, w takiej chwili wszystko jest dozwolone, to jest wyjątkowa chwila, w takiej chwili patos nie jest patosem i nawet łzy są dozwolone, ale o te akurat trudno, bo wciąż jeszcze nie umie płakać. Przez cały ten czas płakała tylko jeden raz, wtedy gdy Jadwiga napisała: „uciekaj sama, ty pójdiesz do ojca, ja do matki...”. I nawet kiedy Martine z UNRRY przyniosła wiadomość i powiedziała: – usiądź, Marishka – a ty pomyślałaś, że skoro każe ci usiąść, to znaczy, że przywozi złą wiadomość, i posłusznie usiadłaś (w pokoju eks-esesmańskim, który był teraz twoim pokojem, w dawnych koszarach SS, w obozie UNRRY dla dipisów), a Martine po chwili milczenia rzekła wzruszonym głosem: *votre père est vivant, votre père a survécu ...* – nawet wtedy ani łzy. *Elle est devenue très pale, mais c'est moi qui avais des larmes aux yeux...* Tak samo niedługo potem – wiadomości przysły niemal równocześnie, jedna po drugiej, jedna dobra, druga zła, obydwie po długich miesiącach oczekiwania – gdy rozerwała kopertę i przeczytała imię Mariana oraz nieznaną jej nazwę Majdanek. Stała przy oknie, za którym rosły sosny w dawnym esesmańskim lasku, *madame* Durand, sekretarka obozu dipisów, przechodziła pod sosnami i ujrawszy ją, wesoło pomachała ręką. Majdanek. Nigdy nie słyszała tej nazwy. Wiedziała: Oświęcim, Treblinka, Bełżec. Wiedziała: Bergen-Belsen, Mauthausen, ale nie Majdanek. O Majdanku nie wiedziała.

Zaraz zacznie świtać, będzie można wyjść. Siedzą w poczekalni dworcowej obcego miasta, w którym mieszka ojciec przesiedlony z Kresów Wschodnich na zachód, zwany – już zdołały usłyszeć – dzikim zachodem.

Ostrzegano je: nocą niedobrze chodzić po mieście, siedziały więc razem z innymi w poczekalni. Te dwie z daleka – szeptano. Z obozu może, może Żydówki, teraz dużo Żydów wraca, a mówili, że...

Już wkrótce zacznie świtać, zaraz wyjdzie na miasto i będzie szukała ulicy Łąkowej, a Barbara zostanie przy dwóch walizkach, w których są ciepłe unrowskie koce, ciepłe unrowskie swetry i spodnie, partytura *Pasji świętego Mateusza*, kilka książek oraz ciepły, z australijskiej wełny szlafrok – podarek Belgijki Martine dla ojca. A obok waliz, oparte o ścianę zjazdowe narty Barbary.

Na horyzoncie wąskie różowe pasmo.

Wszystko jest dozwolone w tej chwili powrotu o świcie z długiej, żmudnej podróży, po długim szukaniu, po długim czekaniu i po dziesięciu dniach jazdy towarowym pociągiem, który je wiozł z powrotem. Towarowy pociąg je wywiózł, towarowy przywiózł. Wszystko jest dozwolone w chwili powrotu z podróży, z której nie raz i nie dwa mogły być nie wrócić. Zapisać tę chwilę wiernie.

Miasto ciemne, pusty plac, podchodzący w górę do mostu, na którym majaczą kamienne rzeźby,

a rzeka w dole cicha i niewidoczna. I domy ciemne.

Człowiek spotkany na moście wskazał kierunek. Trzecia ulica w prawo nazywa się Łąkowa. Łąki... łąki... – pamiętasz? Cóż to – jeszcze wciąż magia nazw i dawne praktyki? Wstyd.

Ach, niczego się nie wstydzi w tej chwili (i nie jest bynajmniej pewna, czy magia straciła swą moc), nie wstydzi się nawet owych „ach”, którymi rozpoczyna zdania, a których zazwyczaj starannie unika.

Na rogu dwie tabliczki, dawna, niemiecka: Wiesenstrasse, nowa, polska: Łąkowa.

Ulica szeroka i płaska, wysokie domy, brzuchate balkony, trawniki przed wejściem, drzewa, wszystko nagle widoczne (mimo ciemności) wyraźnie, dokładnie.

Numer sześć – trzeci dom od rogu. Biegnie teraz. Na sztachetach przed domem numer sześć widnieje biała plama, wie, co to takiego. Nazwisko ojca, godziny przyjęć od – do. Od piątej do siódmej ojciec przyjmuje pacjentów.

Siada na chodniku i siedzi, nagle osłabła.

Na horyzoncie różowe pasmo świtu, ale ciemność trwa. Jaka cisza! Wszystko w niej ucichło, wszystko umilkło. Jaki spokój...

Wstała z chodnika, podeszła do bramy, zadzwoniła. Po długiej chwili usłyszała – wewnątrz domu, na parterze ktoś otworzył drzwi, spytał, kto dzwoni i w jakiej sprawie. To był głos ojca. Odpowiedziała: – To my.

Jej głos był słaby, ojciec nie słyszał jej słów. Pytał, czy wypadek jest nagły. Po raz drugi, już głośno powiedziała: – To my, to my.

Usłyszała – krzyknął. Słyszała jego kroki – biegł do drzwi. Biegając, wołał ich imiona.

# Epilog

W pamięci był to plac okrągły, a okazał się prostokątem. Nie do wiary, jak zmienił się ten plac, to znaczy, jak odmieniła go moja pamięć, nadając mu inny kształt, dodając suto drzew, które w pamięci gęsto sadzone, rosły tu raczej skąpo.

Nie do wiary również, że przeczułam jego bliskość – okrągłą, nie prostokątną – jeszcze zanim doszliśmy do rogu ulicy, a szliśmy na ślepo, niekierowani planem miasta, za jedyny wskaźnik mając linię tramwajową. Jeszcze zanim doszliśmy do rogu, przyspieszyłam kroku, a po chwili – biegłam.

Było to zachowanie dziwne, wężącego psa przypominające, tym dziwniejsze, że nic na trop nie prowadziło, żaden szczegół bliskości miejsca nie zwiastował, a otoczenie – sklepy, wystawy, kawiarnie – najzupełniej było mi obce, zwłaszcza że krzykliwe w kolorach, tak bardzo inne było od dawnego, w którym dominował kolor szary, kolor kamienia.

– To tutaj! – wołałam – to tutaj! – i biegłam.

W biegu potrąciłam kobietę z koszykiem zakupów w rękę – *unerhört!* – krzyknęła oburzona, a że B. pstryknął akurat aparatem, mam jej oburzenie uwiecznione i jej twarz wulgarną, grubo rysowaną, prostacką. Słusznie się oburzyła, bo któż tak biegnie dzisiaj tłocznią ulicą, w jasny dzień, potrącając przechodniów – co innego wtedy, wtedy nawet B., który za wszelką cenę unika zwracania na siebie uwagi, biegł rojną ulicą, w samo południe, a za nim gestapo (biegł pustym szlakiem ulicznym, utorowanym przez przechodniów, którzy sami usuwali się z drogi, a za nim dwaj z rewolwerami, dopiero przy Bramie potknął się, upadł, a tamci go dopadli). Dawno to było i w czasach, kiedy biegi uliczne na porządku dziennym i pościgi na porządku dziennym były, a uliczne polowania nikogo w zdumienie nie wprawiały. Lecz dziś?

Więc nie należy się dziwić oburzeniu kobiety z koszykiem, uwiecznionej na tle rojnej ulicy niewielkiego miasta wraz ze mną biegnącą, wołającą: to tutaj. Dziwić się raczej należy słownej zbieżności, owemu *unerhört*, które podobnie jak wtedy, tak i teraz padło pod moim adresem, w tym samym mieście, w tej samej tonacji oburzenia zawołane i w obu wypadkach przez kobietę. Tamta była tłumaczką.

Od razu zwróciłam na tę zbieżność uwagę, to znaczy okrzyk *unerhört* wrócił do mnie echem, ale już innym głosem zawołany, i ujrzałam zaciętą twarz tłumaczki, która wysłuchawszy odpowiedzi na zadane pytanie, nie przetłumaczyła jej, tylko okrzyk z siebie wydała: – *Unerhört! Sie lügt ja.*

I miała rację.

Na rogu ulicy stanęłam. Starczyło spojrzenie, żeby ten zmieniony kształtem plac rozpoznać, mimo że czekałam na widok Okrągłego, a po prawej stronie Okrągłego na budynek podłużny z szarego kamienia, ze starą prymitywną bramą drewnianą, którą żandarm przed nami otworzył, a potem zamknął. Zwróciwszy głowę w prawo, ujrzałam drzewo, pod drzewem ławkę, na ławce starszą kobietę z robótką w rękę. Opodal bawiło się dziecko. Podłużny budynek z szarego kamienia stał naprzeciwko, w głębi placu, za drzewami. Znikła również zieleń drzew ocieniających całą połąć placu, ich korony

w kształcie kopuły, pod którymi przechadzałyśmy się zmęczone i głodne, wymawiając głośno pojedyncze zdania w polskim języku. Nie była to rozmowa, tylko wabienie żandarma, który przechadzał się po placu wśród drzew powolnym krokiem, był to żandarm na służbie, przepisowo uzbrojony. Chcąc zwrócić na siebie uwagę, wabiłyśmy go językiem zwangsarbeiterów, ale on, dziwny jakiś i leniwy, nie kwapił się z podejściem ku nam, tylko krążył wśród drzew, a my to za nim, to przed nim, to obok, mówimy, że chleba to byśmy zjadły albo kartofli, cały czas tylko o jedzeniu, od dwóch dni bowiem niczego nie miałyśmy w ustach, nie licząc sałatki kartoflanej w gospodzie nad Neckarem. Chciałyśmy, żeby podszedł i rozkazał: ausweis, gdyż wygląd nasz i nasze twarze nie pozwalały na dalszą podróż, a doświadczenie uczyło, że korzystniej jest zostać przez policję złapanym niż samemu się na policję zgłosić.

Plac prostokątny, budynek w głębi. Ani drzew sadzonych gęsto, ani kopulastych – kilkanaście cienkich pniaczków, słabo ugałęzionych, strzępiastych. B. pstryka i pstryka, żeby uwiecznić Miejsce, a ja swoje: – To tutaj, to tutaj, tylko całkiem inaczej.

– Czekaj – mówię – zacznijmy od początku. Przyjechałyśmy tramwajem, przystanek u wylotu na plac zgodny z pamięcią. Tutaj wysiadłyśmy. Dokoła pusto, południe, białe słońce. Po prawej stronie za drzewami podłużna budowla z kamienia, ta sama, która teraz stoi w głębi, naprzeciwko przystanku.

– Może przystanek przenieśli? – pyta B. – Może był po innej stronie placu?

– Nie. Przystanek się zgadza. Budynek przenieśli.

– Ach, nie denerwuj się, szkoda zdrowia, szkoda też czasu, to są przecież nieważne szczegóły. Chciałaś zobaczyć Miejsce.

Ale ja chcę, żeby wszystko się zgadzało, żeby było jak wtedy. To znaczy: żeby plac się zaokrąglił i zadrzewił, i żeby budynek z kamienia wrócił na swoje miejsce. Bo jest to niezawodnie ten sam budynek – masywny, ciężki, z małymi oknami i brama doń wiodąca wypisz, wymaluj taka sama jak ta, którą żandarm przed nami otworzył, a potem zamknął.

Było tu wtedy sennie i pusto, żwir chrząścił pod naszymi stopami i pod stopami żandarma, na placu ani żywej duszy, tylko my troje, jak na scenie. Najpierw nasze wejście, nasze krążenie wśród drzew, potem nagle wynurzający się spod liściastej kopuły żandarm, idący niespiesznym krokiem w naszym kierunku, głuchy na kartofle albo kluski... kluski albo chleb...

– Nie bądź dziecinna – mówi B. – zastanów się – czego ty właściwie chcesz? Atmosfery sprzed trzydziestu lat? To przecież nonsens. – I idzie w głąb placu, w kierunku budowli, a ja – pełna nieufności – idę za nim.

Przez trzydzieści lat żandarm prowadził nas przez okrągły, gęsto zadrzewiony plac do budynku stojącego na prawo od tramwajowego przystanku. Czy od dzisiaj będzie nas prowadził w innym kierunku? I przez jaki plac? Okrągły? Prostokątny? Zadrzewiony? Łysawy? Względnie, czy dochowując wierności pamięci, nie będzie mnie uwierała świadomość, że jest to obraz z defektem, ze skazą?

Niechętnie zbliżam się do budynku z kamienia. Nad bramą widnieje biała tablica.

– *Schule* – mówi B., który ma lepszy wzrok.

– Coś ty... jaka szkoła, to jest posterunek policji. *Po-li-zei*. Ale B. powtarza: *Schule*, i kiedy podchodzimy bliżej, ja także czytam: *Schule*.

Stoimy przed starą drewnianą bramą, co do której nie istnieje żadna wątpliwość, że to jest brama, którą żandarm otworzył przed nami (a potem zamknął), w chwilę po tym, jak zniecierpliwione podeszłyśmy do niego i rzekłyśmy głośno: – *Pole. Essen*.

Drewniana brama zamknięta. B. zwraca uwagę na kilka okratowanych okien na pierwszym piętrze, więc wszystko się zgadza, mówi, dawniej była tu policja, a teraz jest szkoła. Policję przenieśli zapewne do nowoczesnego budynku. Radzi wejść do środka, obejrzeć, i widocznie jest to słuszna rada, bo brama nagle sama się przed nami otwiera i na jej progu staje mężczyzna w średnim wieku,

w prążkowanym granatowym ubraniu.

– Pewnie stróż szkolny – mówi B. – Zaraz go spytamy.

Za plecami mężczyzny widać mroczne wnętrza.

– *Entschuldigen Sie, bitte* – pyta B. – *war das einmal ein Polizeigebäude?*

Mężczyzna patrzy na nas zaskoczony.

– *Ja... ja, das stimmt schon... Während des Krieges war hier eine Polizeistation und nach dem Kriege auch, bis 1950...*

Za chwilę zapyta, dlaczego interesuje nas posterunek hitlerowskiej policji, a ja nie mam ochoty udzielać informacji.

– *Danke* – mówię chłodno, wymijam go i szybko wchodzę do środka. Mrok ten sam co wtedy, szerokie drewniane schody (na schodach: my przodem, za nami żandarm), na piętrze długi ciemny korytarz z drzwiami po obu stronach. Mur gruby i łukowate sklepienia. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi.

– Sprawdzimy potem pochodzenie tej budowli, jest bardzo stara – mówi B.

Na pierwszych z brzegu drzwiach tabliczka: *Lehrerzimmer*. – To jest właśnie pokój, do którego wprowadził nas żandarm. Otworzył drzwi i wtedy – (opowiadam, a B. słucha, słyszał to już wiele razy, ale słucha raz jeszcze, naprawdę słucha, z uwagą, jak to on) – i wtedy ujrzałam pokój obszerny i jasny, tuż przy wejściu biurko, przy biurku chudego żandarma o ptasiej twarzy, a pod ścianą, na krzesłach, innych żandarmów, było ich tam bez liku. Przerwaliśmy naszym wejściem wesołą rozmówkę, bo jeszcze gromko się śmieli, gdyśmy na progu stanęli, ale zaraz umilkli i w milczeniu słuchali meldunku: *Ausländer ohne Ausweis. Kein Wort Deutsch*.

Przyglądali się nam. Ten z ptasią twarzą mrużył oczy.

– Spróbuj, może pokój otwarty – rzekł B.

Klamka ustąpiła, zatrzymaliśmy się w progu. – No... popatrz... – mówię z wyrzutem.

Pokój jasny, obszerny, pośrodku długi, wąski stół nakryty zielonym sukniem i krzesła dokoła. Przy drzwiach, tam gdzie dawniej biurko – mały okrągły stolik i wyścielane fotele. W oknach begonie. Wtedy okna były puste. – No, popatrz... popatrz... *Lehrer-zimmer*.

Zaraz nas ujrzałam. Siedziałyśmy po prawej stronie pod ścianą, w głębi długiego pokoju, i już stała przed nami tłumaczka z zaciętą twarzą, natychmiast wezwana, ta, co to ledwie zaczęła tłumaczyć – „*unerhört, sie lugt...*” – krzyknęła (i miała rację), gdy na pytanie, skąd uciekłyśmy, wymieniłam miasto D. „*Unmöglich* – wołała – taka długa sztreka przejechać bez niemiecka mowa, bez przepustka. Jak wy jechali... jak wy bilety kupowali?...” I znów stanowczo: „*sie lugt*”. A potem przeinaczała nasze odpowiedzi, tak że z logicznie skonstruowanej, mimo że nieprawdziwej, opowieści pozostał zlepek chaotycznych wątków, a my, rozumiejąc wszystko, siedziałyśmy z obojętną miną. Ptasie żandarm przyglądał się nam, mrużąc oczy, aż i on w końcu krzyknął: „*Ich rufe Gestapo an! Gestapo wird Sie schon singen lassen!*” – podniósł słuchawkę telefonu i numer nakręcał.

W tym momencie odzywa się we mnie coś w rodzaju słabości, dalekie echo tej, jaką odczułam, usłyszawszy słowa żandarma.

– Za dużo palisz – mówi B. z wyrzutem w głosie.

Ale właśnie wtedy, gdy żandarm o twarzy ptaka nakręcał numer Gestapo, drzwi, na których progu obecnie stoimy oparci o futryny (ja z papierosem w ręku), właśnie wtedy drzwi się znów otworzyły i do pokoju wszedł jeszcze jeden żandarm, przysadzisty, z wielkim brzuchem. Los nagle zatrzymał się w biegu, zawisł w próżni, a biegł już ku przepaści, zawisł na kilka – pięć? sześć? – minut i potem równie nagle dokonał zwrotu.

Dlatego tu jestem. Dla tego właśnie zwrotnego momentu, cyrkowego popisu naszych losów. Rozstaj dróg, kulminacyjny punkt.

Czemu milczę, pyta B.

– Przecież wiesz, jak było. – Nagle nie chce mi się mówić.

Prostokątny plac cały w słońcu. Przed bramą przechadza się mężczyzna w granatowym ubraniu. Czeka na nas, jest ciekawy. Pyta, czy zadowoleni jesteśmy z oględzin.

– So, so – mówimy grzecznie, lecz obojętnie.

– Ja także mówię po polsku – odzywa się nagle, trochę jak gdyby zawstydzony. – Byłem tu na robotach i ostałem się, ożeniłem. Żona Niemka. Pracuję w szkole jako stróż. Słyszałem, że państwo mówią po polsku, więc... No i jak tam teraz w Polsce?

Wyjaśniamy, że opuściliśmy Polskę przed wielu laty, mieszkamy w Izraelu, jesteśmy Żydami.

– A można spytać, dlaczego państwo właśnie tutaj?... – głową wskazuje na szkolny budynek.

– Żonę tu aresztowali – mówi B. – Chciała zobaczyć.

– I wypuścili panią?

– Wypuścili. Można i tak powiedzieć...

– No, to miała pani wielkie szczęście. – Kiwa głową, patrzy wścibskim wzrokiem. Ale nie pyta wprost, tylko dodaje: – Bo ja tu pracowałem u bauera. Dużo Polaków tu pracowało i dużo innych cudzoziemców.

Na prostokątnym placu strzępiaste drzewa, matki siedzą na ławkach, dzieci grzebią się w piaskownicy. Za chwilę okaże się, że przychodził do Olków, grał z nimi w karty i słuchał patriotycznych wierszy recytowanych przez Olka żonę.

– Nie... nie... ja tutaj nie byłam.

Na pożegnanie uścisnęliśmy sobie ręce. Był wzruszony spotkaniem.

– Dlaczego nie chciałaś mu powiedzieć – pyta B. – na pewno znaleźlibyście wspólnych znajomych.

– Mam dość.

Po drugiej stronie placu zatrzymałam się obok przystanku i spojrzałam w prawo. Starsza kobieta siedziała na ławce z robótką w ręku, u jej stóp bawiło się dziecko. Tuż za nią, w cieniu kopulastych drzew, majaczył zarys masywnej budowli z szarego kamienia.



Ida Fink z ojcem i siostrą





Ida dwudziestolatka



Zawsze uśmiechnięta



Z siostrą, zaraz po wojnie



Z siostrą



Ida po pięćdziesiątce



Z córką Miri





# IDA FINK

## PODRÓŻ

FINK MOBILIZUJE W SWYCH CZYTELNIKACH  
MIŁOŚĆ ŻYCIA, BY POMÓC IM ZROZUMIEĆ ISTOTĘ GWALTU,  
JAKIM JEST NIENAWIŚĆ.

PIOTR ŚLIWIŃSKI „TYGODNIK Powszechny”

# Spis treści

<a href="#">Okładka</a>
<a href="#">Karta tytułowa</a>
<a href="#">Karta redakcyjna</a>
<a href="#">Spis treści</a>
<a href="#">Dedykacja</a>
<a href="#">I</a>
<a href="#">II</a>
<a href="#">III</a>
<a href="#">IV</a>
<a href="#">V</a>
<a href="#">VI</a>
<a href="#">VII</a>
<a href="#">VIII</a>
<a href="#">IX</a>
<a href="#">Epilog</a>